

Demokracja przeciw demokracji (1994)

Spis treści

I. Demokracja koleżków.....	2
I. Zdrada notabli.....	3
2. Pojednanie podzielonej elity.....	5
3. Spuścizna i deprawacja	10
4. Alternatywa: jest, czy jej nie ma?.....	13
5. Bilans.....	18
5.1. Dygresja już historyczna.....	18
5.2. Ciąg dalszy. Bilansu.....	21
6. Historyczny, powtarzalny błąd.....	23
II. Demokracja społeczna.....	24
I. Wielkość i małość.....	24
2. Państwo demokratyczne: silne i funkcjonalne.....	26
3. Porządek konstytucyjny i porządek w państwie	30
4. Integracja czy dominacja?	34
5. Integracja Międzymorza i zjednoczenie Europy.....	37
6. Gospodarka i społeczeństwo.....	43
7. Kanony strategii gospodarczej	45
8. Potrzeby narodowe.....	56
9. Nowa elita – młode pokolenie.....	61
III. Przede wszystkim Polska.....	63
I. Kłębowski polityczne: pieniądze i doktryny.....	63
2. KPN: samotna i niezłomna.....	78
3. Czas burzy i naporu.....	93
4. Przesłanie	120

Największą ich ambicją zbytek, jedyną namiętnością złoto... Mniejsza o to, jakiego pana słuchają, jakiego państwa prawa przestrzegają, byleby tylko znaleźli pieniądze, które można ukraść, i kobiety, które można uwodzić, wszędzie są w ojczyźnie. Nadajcie odmienny kierunek namiętnościom Polaków, a nadacie duszom ich narodowe oblicze.

Przepoić cały naród duszą konfederatów i tak mocno ugruntować republikę w sercach Polaków, by się utrzymała pomimo wszelkich wysiłków jej ciemiężców.

Jan Jakub Rousseau (1770)

I. Demokracja koleżków

Macie, coście chcieli.

Tak, z goryczą, można powiedzieć. Tak, z satysfakcją, mówią niektórzy.

Chcieliście demokracji - no to ją macie. Razem z panowaniem się i arogancją tych, którzy rządzą. Razem z bezhołowiem i nieodpowiedzialnością władzy. Razem z bezkarnością skorumpowanych polityków, urzędników i aferzystów. Razem z mafiami, przestępczością zorganizowaną i bałaganiarską. Razem z bezsilną państwem. Razem z wolnością przekraczającą wszystkie granice anarchii. Hulaj dusza bez kontusza - wszystko wolno, piekła nie ma.

Chcieliście gospodarki rynkowej - to ją macie. Więcej towarów niż pieniędzy. Więcej pieniędzy niż pracy. Więcej podatków. Więcej podwyżek cen. Więcej obniżek realnych zarobków. Więcej bezrobocia. Więcej nędzy. Każdy może mieć wszystko, jeśli jest tylko dostatecznie bogaty.

Przez dziesięć lat miliony Polaków z godną podziwu determinacją czynnie obalały ustrój totalitarny. Komuna była zaprzeczeniem demokracji i racjonalnej gospodarki. Zniewalała i pauperyzowała człowieka. Dalej tak być nie mogło. Monopartyjna dyktatura płatnych zdrajców wreszcie upadła. Za nią poszły inne, sam niepokonany Kraj Rad wylądował w śmietniku historii.

Dokładnie w cztery lata po upadku komunistycznej władzy rządu nad Polską przejęła koalicja stronnictw wywodzących się bezpośrednio z PRL. Z okazji pięćdziesięciolecia zniewolenia sowieckiego działacze SLD, najliczniejszej partii sejmowej, ogłosili w Lublinie, że czas totalitaryzmu PRL był najwspanialszym w dziejach Polski okresem rozwoju gospodarki i kultury, demokracji i dobrobytu. Jedni się śmieli, inni kiwali głowami, większość przyjęła z całkowitą obojętnością. Parę dni później na obchodach rocznicy Powstania Warszawskiego - półwiecza zamordowania Polski przez Niemcy i Rosję - honorowymi gośćmi byli Prezydent Niemiec i wysłannik Prezydenta Rosji.

W różnych miastach nowowybrane rady powołują zarządy złożone z przedstawicieli SLD, Unii Wolności, nieraz także - jak w Łodzi - ZChN oraz list samorządowych. Mamy już ekspertów, bezbłędnie określających, którzy samorządowcy wywodzą się z PZPR, którzy z KLD, a którzy z Porozumienia "Centrum". Wybitny polityk prorządowej opozycji (czy też opozycyjnej opcji rządu) wyjaśnił, że w Polsce dokonuje się pozytywna, demokratyczna synteza polityczna, wsparta na bazie prywatyzacji i gospodarki rynkowej - oraz dał wyraz żalowi, że ludzie tego nie doceniają. Społeczeństwo bowiem, jak zwykle, przeszkadza.

Po co jedliśmy tę żabę?

1. Zdrada notabli

Wiosną 1989 r. przy okrągłym stole w obecnym Pałacu Prezydenckim oraz w Magdalence ścierały się dwie wizje reformy PRL. Obie były nieprzemysłane do końca, przygotowane ledwo w zarysie, niekompletne - ale w generalnym charakterze wyraźne. Komitet Obywatelski, złożony głównie z doradców "Solidarności", domagał się szerokich rewindykacji społecznych, uspołecznienia zarządu gospodarką, uznania kluczowej roli związków zawodowych, poprawy jakości życia ludzi pracy. Był to program wyraźnie prospołeczny. Komunistyczny rząd bronił polityki realizowanej już od pewnego czasu, zgodnej z warunkami postawionymi przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy (do którego PRL została właśnie przyjęta), a dążącej do restrukturalizacji gospodarki i wprowadzania mechanizmów rynkowych przy poważnym ograniczeniu konsumpcji wewnętrznej, czyli obniżeniu poziomu życia. Był to program wyraźnie technokratyczny, nie biorący pod uwagę potrzeb społecznych. Dyskutujące strony nie dokonały jasnego wyboru. Pod tym względem ustalenia okrągłego stołu są mgliste i wewnętrznie sprzeczne. Doszło natomiast do kompromisu politycznego. Komuniści musieli uznać istnienie Komitetu Obywatelskiego jako drugiej siły politycznej w kraju i oddać mu 35% mandatów w Sejmie. Porozumienie było jasne: rządy nad Polską zachowuje PZPR, udzielając koncesji na stworzenie legalnej, konstruktywnej opozycji.

Wydarzenia następnych miesięcy przekreśliły to ustalenie, mimo że obie strony robiły wiele, aby je ocalić. Do głosu, na chwilę, doszło społeczeństwo. W czerwcu 1989 r. co najmniej 75% głosujących poparło kandydatów Komitetu Obywatelskiego, powszechnie odbieranych jako kandydatów "Solidarności", gdy najwyżej 25% oddało głosy na kandydatów PZPR. Nie zmieniło to uzgodnionego podziału mandatów w Sejmie, ale było wyrokiem na PRL. Komuniści nie byli w stanie sformować rządu, zwłaszcza że opuścili ich dotychczasowi wierni sojusznicy: ZSL i SD. W sierpniu 1989 r. premierem został doradca "Solidarności" i Lecha Wałęsy - Tadeusz Mazowiecki, we wrześniu powołano nowy rząd - pierwszy niekomunistyczny rząd w kraju od 1944 r., - z udziałem ministrów z PZPR. Ale ta partia rozpadała się. Jesienią i zimą KPN zajął 140 budynków komitetów PZPR (łącznie z budynkiem KC PZPR) i przekazał je na cele społeczne; każdy mógł dostrzec, że potężna niedawno partia nie była zdolna nawet do obrony własnych siedzib. Dobiło to psychicznie przegranych. W lutym 1990 r. martwa już PZPR rozwiązała się bez głosu sprzeciwu. W lipcu ministrowie b. PZPR odeszli z rządu, a przynajmniej jeden zapisał się do dawnej opozycji. PRL w niesławie zeszła ze sceny. Wcześniej jeszcze, w końcu grudnia, nazwa państwa została zmieniona: przywrócono Rzeczpospolitą Polską i koronę Orłowi.

Dokonało się.

Wszyscy byli szczęśliwi. Ludzie modlili się w kościołach za nowego premiera. Wskaźnik popularności Tadeusza Mazowieckiego przekroczył 80%. Rząd miał pełne poparcie. Co więcej, społeczeństwo ofiarowało mu entuzjazm milionów. Z takim kapitałem można zdziałać cuda.

To, co działo się, było rzeczywiście swoistym cudem. Mało kto zauważył, nawet chyba większość ministrów początkowo nie była tego świadoma, ale pierwszy niekomunistyczny rząd Rzeczypospolitej z całym zapałem, na jaki było go stać, zaczął wprowadzać w życie program gospodarczo-społeczny przygotowany przez ostatnie rządy komunistyczne.

Aby nie było wątpliwości, powtórzmy wyraźnie:

Rząd Tadeusza Mazowieckiego nie podjął nawet próby wprowadzenia w życie prospołecznej polityki, którą strona solidarnościowo-opozycyjna postulowała przy okrągłym stole, ale natychmiast i bez jakiegokolwiek dyskusji czy wyjaśnienia zaczął kontynuować technokratyczną, w istotnej mierze aspołeczną politykę komunistycznych rządów Messnera i Rakowskiego.

Czy była różnica? Tak, była - ale bardzo szczegółna.

Przygotowany przez komunistów program reformy gospodarczej mógł być zrealizowany tylko kosztem bardzo dużego obniżenia stopy życiowej. Ryzyko było wyraźne: rewolucja i całkowite obalenie władzy. A na drzewach, zamiast liści, będą wisieć komuniści - śpiewano na manifestacjach jeszcze wiosną 1989 r. Komuniści bali się. Bardzo bali. Jesienią 1987 r., zaraz po tym, jak ustawowo otwarli drogę do prywatyzacji majątku państwowego, zwrócili się w referendum z pytaniem do społeczeństwa, czy godzi się na reformy, które w przyszłości przyniosą powszechny dobrobyt, ale na razie pogorszą warunki życiowe. Odpowiedź była jednoznaczna: większość Polaków tego nie chciała. W roku następnym, w trzech falach masowych strajków ludzie wypowiedzieli się jeszcze bardziej stanowczo, a komunistyczna władza była o włos od obalenia. Uratowało ją wrześniowe 1988 r. porozumienie, którego efektem był okrągły stół.

Jedną z przyczyn zgody komunistów na udzielenie Komitetowi Obywatelskiemu koncesji na legalną opozycję była nadzieja, że w ten sposób władza podzieli się z NSZZ "Solidarność" odpowiedzialnością za bolesne załamanie warunków egzystencji społeczeństwa; przewidywano, że głównym zadaniem NSZZ "Solidarność" będzie utrzymanie pracowników w ryzach. Pomysł absurdalny, ale doskonale mieszczący się w granicach wyobraźni absolwentów i wykładowców Wieczorowych Uniwersytetów Marksizmu-Leninizmu z Wyższą Szkołą Nauk Społecznych przy KC PZPR na czele; ostatecznie od kilkudziesięciu lat czemu służyły związki zawodowe? Niecierpliwym premierowi Rakowskiemu natychmiast postanowił skorzystać z nierozpiętego jeszcze parasola: wiosną i latem 1989 r. poszedł na całego: zadekretował całkowite urynkowienie żywności i płodów rolnych, zarządził kantorową wymienialność złotówki, otworzył granice celną dla zachodnich towarów i zwielokrotnił tempo prywatyzacji zwanej wówczas nomenklaturą.

Opozycja trzymała się jeszcze programu, jakiego broniła przy okrągłym stole. W lipcu Obywatelski Klub Parlamentarny przeprowadził w Sejmie ustawę o indeksacji płac, zapewniającą utrzymanie realnych zarobków (nominalne zarobki miały rosnąć w tempie inflacji). Jako zagranie taktyczne, posunięcie okazało się bardzo efektywne. Indeksacja była wprost przeciwna polityce rządowej, zderzenie mogło prowadzić do kompletnego załamania rynku. Komuniści poddali się, kolejny premier Kiszczak zrezygnował z formowania rządu.

Gdy w pierwszych dniach września 1989 r. spytałem Tadeusza Mazowieckiego, jaki program gospodarczy będzie miał rząd i kto pokieruje jego realizacją - premier wymownie rozłożył ręce. Niewiele dni później z Paryża przyleciał Waldemar Kuczyński i sprowadził Leszka Balcerowicza. Jeden został doradcą, a wkrótce ministrem przekształceń własnościowych, drugi szefem gospodarki - ministrem finansów.

Powstanie rządu Tadeusza Mazowieckiego przyjęte zostało aplauzem dziesiątków milionów; w kościołach i na ulicach ludzie płakali z radości. Chwila była

historyczna. Demokratyczny rząd niepodległego państwa miał całkowitą swobodę wyboru drogi którą podąży Polska.

Musiał tylko rozstrzygnąć alternatywę: - czy energię powszechnego entuzjazmu użyć jako siłę napędową dla budowy nowego państwa? - czy też masowe poparcie społeczne spożytkować jako gwarancję bezpieczeństwa dla realizacji przygotowanego przez komunistów programu?

Zadziwiające, ale nawet nie zastanawiano się nad tym. Sprawa nie była przedmiotem obrad Rady Ministrów, ani dyskusji w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym, ani debaty sejmowej. Po prostu, jak gdyby nigdy nic, przystąpiono do realizacji dotychczasowej polityki rządowej. Odziedziczono ją po komunistach, podobnie jak gabinety ministerialne i zakupione przez Rakowskiego rządowe Lancerie (tylko one stały się przedmiotem obrad rządu: wypada nimi jeździć, czy nie?). Komuniści odeszli - polityka pozostała.

Dlaczego mogło tak się stać?

2. Pojednanie podzielonej elity

Piętnaście lat temu, pisząc Rewolucję bez rewolucji, postawiłem pytanie: Program ugody czy program niepodległości? Przez ugodę rozumiałem pogodzenie się elit ponad głowami społeczeństwa, we własnym interesie, zgoda nie identycznym z interesem Polski i Polaków. Przez niepodległość rozumiałem trwale zrzucenie obcej hegemonii i obalenie komunistycznych rządów, tak aby Polacy - ogół obywateli Rzeczypospolitej - mogli swobodnie wybierać: w jakim ustroju chcą żyć i jakie programy realizować. Niepodległość nie jest bowiem wartością samą w sobie - pisałem - a tylko pewnym stanem zerowym: możliwością ułożenia własnych spraw po swojemu, własną decyzją i we własnym interesie. To samo pytanie - ugoda czy niepodległość - postawić można i dziś.

Ugoda elit przeciwko społeczeństwu - czy tak zawsze być musi? Bzdura, rzadko kiedy tak jest. Elity są niczym innym, jak warstwą przewodzącą w różnych dziedzinach: w polityce, gospodarce, kulturze - warstwą wytwarzaną przez naród i niezbędną, aby życie publiczne mogło funkcjonować. Od ich jakości zależy sposób i kierunek w jakim zdąża społeczeństwo i państwo. Stan, panujący dziś w Polsce, prowadzący do degeneracji i degradacji elit - nie jest normalny. To najgorsza, być może, pozostałość epoki zniewolenia.

Przez parędziesiąt lat narzucona, satelicka i totalitarna władza przykrawała i adaptowała elity społeczne zgodnie z interesem hegemonu, a także własnym, partykularnym. Od początku była to elita wyalienowana - całkowicie wyobcowana ze społeczeństwa, a także elita kompradorska - pośrednicząca między hegemonem a Polakami, w imieniu Moskwy rządząca krajem. Rdzeniem tej elity stała się grupa funków Kominternu, przywieziona w wojskowych sowieckich taborach, oraz spora gromada lewicowych lub faszystujących intelektualistów. Mniej było w niej zaprzańców, znacznie więcej ludzi zagubionych, ale plastycznych, nadających się do formacyjnej obróbki. Do tego doszły trzy kolejne generacje, wkraczające w życie dorosłe w normalnym rytmie pokoleniowym, który nałożył się na trzy periody polityczne: bierutowski, gomułkowski i gierkowski. Tych można było urabiać od podstaw.

Nie chcę wchodzić w opis inżynierii społecznej i obróbki umysłów jakie stosowano. Zaczynało się od negatywnej selekcji doboru. Znacznie ważniejsze było, że

przede wszystkim wpajano sposób myślenia i pojęcia (bo trudniej je zmieniać niż poglądy i oceny). Najgroźniejsza stała się swoista filozofia niemocy: Polacy nie są zdolni, aby osiągnąć jakiegokolwiek większe cele; jeśli już je podejmują, to kończy się dla nich narodową klęską [por. Immanuel Wallerstein: *Modern World System*, New York 1974 i 1980; tenże: *Historical Capitalism*, London 1983; tenże: *The Politics of the World-Economy*, Cambridge 1984]. (Ciekawe, kto i kiedy wystąpi z taką oceną Sierpnia 1980?) Wpajano miałki i oportunistyczny niby-pozytywizm: trzeba się dostosować do rzeczywistości, a nie silić na jej zmianę. Było to wprawdzie sprzeczne z naczelnym przesłaniem marksizmu, ale tym bardziej umacniało schizofreniczny charakter zabiegu.

Formowanie elity robiono tak, jak wszystko w komunizmie: raczej źle, niż dobrze, a na ogół byle jako i pod kątem doraźnych potrzeb; mętlik moralny i myślowy stawał się przez to jeszcze większy. W sumie efekty były nie zawsze zamierzone, ale ogólnie znaczne. Porównać je można z bardzo podobnym w założeniach urabianiem elit społecznych w Prywiślańskim Kraju, między Powstaniem Styczniowym a klęską caratu. W tamtym półwieczu efekty były nie małe, zważywszy że doprowadzono do tego, że ostatecznie, tuż przed podjęciem walki o niepodległość - największa siła polityczna w społeczeństwie za narodowy cel Polaków uznała bezwarunkowe wsparcie imperialistycznej i agresywnej polityki rosyjskiego zaborcy. Ale, mimo wszelkie przeszkody generałgubernatorów i policmajstrów, Kongresówka zaczęła się modernizować gospodarczo (wprawdzie w znacznie niższym stopniu niż Wielkopolska) i rozwijać kulturalnie. Ostatecznie ta najgorsza z najgorszych epok dała nam budzicieli ducha i myśli: Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego, a także Gierymskich, Paderewskiego, Skłodowską; także kreatorów myśli politycznej, jakże różnych: Świętochowskiego, Limanowskiego, Dmowskiego, Piłsudskiego. W niepełnym półwieczu PRL nic z tego; poza muzyką (Lutosławski, Penderecki) kompletne wyjałowienie i posucha. Jak przyznał kiedyś Jerzy Andrzejewski: Wykastrowali nas z talentu.

Urabianie było szerokie, w zamyśle miało objąć całą inteligencję, rozumianą jako ogół ludzi wykształconych. Szczęśliwie nie udało się, instynkt czy świadomość samoobrony przed praniem mózgow i niszczeniem charakterów okazały się wystarczająco silne. Dlatego właściwa elita była wąziutka, z tendencją do stawania się dziedziczną. Wprawdzie Gierek dopuścił trochę świeżej krwi, ale niewiele to zmieniło. Oficjalni luminarze nauki i kultury (w rzeczywistości często zwykłe miernoty), wysocy urzędnicy państwowi, kapitanowie przemysłu (jak o sobie mówili), redaktorowie naczelni wielkich tytułów prasowych, posłowie do parlamentu, ambasadorowie i oficerowie bezpieczeństwa, a nade wszystko aparaczkowie partyjni najwyższych szczebli, czynni zawodowo lub weterani-emeryci - wszyscy złączeni byli nakładającymi się na siebie siatkami powiązań koleżeńskich, służbowych, rodzinnych, politycznych, finansowych, kagiebowski, klanowych, mafijnych. Wewnątrz tego kręgu następowały nieprzerwane przetasowania: dziennikarz zostawał ministrem, aparaczkowie intelektualistą, intelektualista urzędnikiem, pracownik naukowy aparaczkowie, bezpieczniak profesorem wyższej uczelni, miernota sekretarzem KC czy wręcz Przewodniczącym Rady Państwa. Wokół tego zamkniętego środowiska, formował się szerszy krąg rodzinno-towarzyski, a na rozległym obrzeżu - półelita, adepti i chętni, aby znaleźć się w kręgu wybranych. Za nimi - ćwierćelita, grzejąca się

w blasku władzy, ale w rządach nad krajem nie uczestnicząca, ambitna, przewodząca w środowiskach zawodowych i lokalnych.

Przynależność do elity dawała ogromne przywileje. Wprawdzie bardzo długo zapewniały one temu środowisku głównie wysoką konsumpcję zbiorową, bo nadmiar własności prywatnej, jakby nie było, pozostawał w pewnej sprzeczności z literą marksizmu. Jednak w czasach gierkowskich, a jeszcze bardziej za Jaruzelskiego otwarto już szeroką drogę do zakładania prywatnego biznesu; ludzie z elity nie mieli kłopotu ani z zezwoleniami, ani z tanim kredytem, ani z dostępem do deficytowych materiałów, ani ze zbytem. Wreszcie w drugiej połowie lat '80 wszystkie ograniczenia runęły: majątek państwowy mógł być przekazywany (także za darmo) w ręce tych, którzy na to zasłużyli; ta pierwsza faza prywatyzacji nazwana została nomenklaturą. W kręgu komunistycznej elity pojawiła się nowa postać: biznesmen z milionem (co najmniej) dolarów i dobrym politycznym rodowodem. W najbliższym przetasowaniu, obok profesora, aparaczyka, intelektualisty i bezpieczniaka jeden taki z sukcesem gospodarczym został ministrem, gdy jeden z wicepremierów przebranżowił się na biznesmena.

W ruchu komunistycznym zawsze były zwalczające się frakcje. Dzieliły one także elitę. Przynależność do przegranej frakcji, albo czynna działalność przeciwko zwycięskiej frakcji mogła delikwenta zaprowadzić do więzienia, ale z elity nie wykluczała, ani nie pozbawiała przywilejów. Ktoś taki schodząc na manowce, stawał się parszywą owcą - ale był swój; siła solidarności grupowej była, i pozostała, olbrzymia.

Nie wdając się we wcześniejszą historię, przypomnieć trzeba dwa ostatnie konflikty polityczne, jakie rozerwały elitę komunistyczną. Pierwszy, bardzo długotrwały, dobiegł końca w latach 1967/68. Frakcja bardziej zideologizowana, która dawno kiedyś nazywała się mniejszościowcami, a pod koniec swego istnienia puławianami, na samym końcu określona została jako syjoniści, rozbita i potępiona za działalność antypartyjną, antyrządową i antynarodową (sic!). Osoby należące do frakcji, a przynajmniej o to podejrzewane, były masowo odsuwane od władzy, zwalniane ze stanowisk, a w licznych przypadkach wypędzane z kraju¹. Połączono to z potężną hecą antysemitką, w następstwie czego represję objęły sporą grupę osób, stojących często z dala od wewnątrzpartyjnych rozgrywek, ale obcych pochodzeniowo.

Część odsuniętych, wcześniej należących do opozycji wewnątrzpartyjnej, nie przerwała działalności politycznej i po pewnym czasie zaczęła formować opozycję pozapartyjną. Ale nie przeciwustrojową. Za swojego przeciwnika uznali przeobrażone (bo pozbawione frakcji puławskiej) PZPR, ale nie panujący system; uważali, że PRL trzeba - i można! - zreformować. Tendencje takie narastały dużo wcześniej. Obecnie niektórzy odwołują się zarówno do próby odczytania na nowo marksizmu, czyli tzw. rewizjonizmu, a także przypominają, że w kręgu lewicowych intelektualistów w początku lat '60 restytuowano, jako filię paryskiej, lożę masońską, z której miała wyrosnąć kadra późniejszej, KORowskiej opozycji; więcej w tym zapewne samochwalstwa i demonizacji, podbudowywanych skądinąd głośno krytykowaną spiskową teorią historii. Faktem jednak było, że w środowiskowo zwartym i mocno okrzepłym, zamkniętym dla przybyszów z zewnątrz - wewnętrznym kręgu elity zaczęły występować obok siebie dwie rywalizujące orientacje ideowe. Konflikt

¹ Charakterystyczne, że represją wobec elity było to samo, co stanowiło nieosiągalne marzenie zwykłych ludzi: móc wyjechać na Zachód.

polityczny stał się bardzo ostry, rządzący rozgrywali go okresowo brutalnie - ale solidarność środowiskowa została zachowana.

Być może wpłynął na to fakt, że większa część elity tak naprawdę nie opowiedziała się czynnie po stronie którejkolwiek frakcji. Zachowując pełną lojalność wobec tych, którzy aktualnie rządzą, z rosnącym niepokojem patrzyła w przyszłość. Kryzys ideologiczny, który w połowie lat '50 rozbił ruch komunistyczny, nie został zażegnany, a pogłębiał się wyraźnie. Coraz bardziej widoczne stawało się, że system sowiecki, archaiczny już totalitarny socjalizm, nie jest w stanie poradzić sobie z nowymi problemami. Nie łatwo było go jednak odrzucić. Jeszcze trudniej uznać, że historyczną rywalizację wygrał śmiertelny wróg - ahumanistyczny kapitalizm.

Zmianę przyniósł rok 1980. Bankructwo dotychczasowego systemu rządów okazało się oczywiste. Równocześnie nowa siła, wielomilionowy ruch "Solidarności" mógł być alternatywą wewnątrz systemu. W elicie władzy rozumowali tak przynajmniej niektórzy. Zwłaszcza, że skok nie musiał być wielki. W takim samym państwie ludu pracującego miast i wsi (jak określała Konstytucja PRL) wszechogarniająca PZPR mogła zostać zastąpiona przez wszechogarniającą "S". Jeśli tylko będzie dobre kierownictwo, nasze - to masy dadzą się łatwo zdyscyplinować. Ostatecznie taka była podstawowa doktryna działania politycznego w ruchu komunistycznym: stanąć na czele niezadowolonych, a po zwycięstwie zapomnieć o obietnicach rewolucji; przymusem ekonomicznym, a jeśli trzeba policyjnym podporządkować sobie społeczeństwo.

Wtedy właśnie, w latach 1980-81 nastąpił drugi podział. Znacznie wyraźniejszy niż w 1968 r. Poważna część dotychczasowej elity opuściła PZPR i przeszła na stronę "Solidarności". Niejednokrotnie robiono tak z oportunistu i wyrachowania politycznego, dominowało jednak coś innego: brak perspektyw dla kontynuacji rządów PZPR w dotychczasowej postaci - i świadomość, że "S" może otworzyć nowe perspektywy dla zreformowanej PRL.

Posierpniowy podział elity był o wiele większy i głębszy niż poprzednie. Przypieczetował go stan wojenny. Wrogość, a nawet nienawiść polityczna, która w 1968 r. wystąpiła tak silnie - teraz została radykalnie spotęgowana. Załamała się środowiskowa solidarność elity, a jej podział stał się faktem.

Ciągle piszemy o elicie, lecz zjawisko było o wiele szersze. Obok podziału samej elity, rozrywały się jej otoczki. I jeszcze więcej: sfera budżetowa, pracownicy umysłowi - środowiska inteligenckie w szerokim tego słowa znaczeniu, trzymane wprawdzie z dala od elity władzy, ale wypełniające istotne funkcje publiczne (nauczyciele, lekarze, inżynierowie, urzędnicy itd.) w ogromnej większości przeszły na drugą stronę formującej się barykady.

Podział w elicie odbywał się często przypadkowo. Gdyby Rakowski nie został wicepremierem - mógłby jeszcze w 1981 r. stać się solidarnościowym kandydatem na premiera; parę lat rozbieżności w czasie spowodowało, że wyrzucony z partii i sekowany za brak czołobitności Urban nie stał się pierwszym piórem demokratycznej opozycji. W jakimś albumie zestawiono dwa zdjęcia z lat '70: zespoły redakcyjne podziemnego "Biuletynu Informacyjnego KOR" i prorządowej "Polityki"; tych kilkudziesięciu ludzi wrzuciła do jednego worka historia, przemieszała, zakręciła i wysypała: jedni stali się piewcami stanu wojennego, ogromna większość podjęła z nim zdecydowaną walkę; ostatecznie, jedni i drudzy stworzyli potem obecny system wolnej prasy w Polsce - od "Nie" po "Gazetę Wyborczą".

Podział w elicie spowodował, zwłaszcza po ogłoszeniu stanu wojennego, zerwanie solidarności środowiskowej, a nawet wzajemną nienawiść². Wprawdzie rozsądniejsi nawoływali do porozumienia. A byli tacy po obu stronach barykady. Wystarczy przypomnieć wystąpienie Józefa Kępy, członka Biura Politycznego w latach '70, który podczas obrad KC PZPR we wrześniu 1980 r. wprost nawoływał do współpracy ze środowiskiem KORowskim. Po drugiej stronie, wcześniej, sugerował to Jacek Kuroń. Więcej tych propozycji wychodziło ze strony partyjnych dysydentów. Propozycje porozumienia bardzo długo były przez rządzących stanowczo odrzucane. Dopiero na jesieni 1988 r. gdy nic już nie mogło uratować władzy PZPR, doszło do trudnego, pełnego wzajemnej nieufności porozumienia. Później, podczas obrad okrągłego stołu, niektórzy zaczęli odnajdywać wspólny język. Wreszcie - nagle pojednanie w Magdalence. Psychologicznie najzupełniej zrozumiało. Podzieliła ich polityka. Gdy postanowili pogodzić się, aby wspólnie uczestniczyć w sprawowaniu władzy nad Polską, wznoszone przez lata bariery runęły - znów poczuli, że są z jednego środowiska, że wyrastali, kształtowali się w tym samym gnieździe. Był to prawdziwy powrót synów marnotrawnych. Podwójny: jedni, ci z opozycji, wracali na łono środowiska władzy; drudzy, ci z rządu - na właściwe, bo dające szanse na przyszłość pozycje ideowe.

Obrazuje to najlepiej casus Michnik-Jaruzelski. Człowiek - sumienie lewicowej, dysydenckiej opozycji miesza generała stanu wojennego z błotem, uznając za infamisa pozbawionego czci i honoru; parę lat później wspólny bruderszaft i publiczne pochwały manifestują przyjazne stosunki między oboma panami.

Pojednanie, wracanie do wspólnych korzeni wystąpiło dość wyraźnie w wąskiej elicie. Znacznie trudniej proces ten przebiega w szerszych kręgach wokół elity. Im dalej od rdzenia, tym trudniej o zrozumienie, a dawna nienawiść nadal występuje. Niemniej, pojednanie na szczytach przyniosło znaczne konsekwencje dla znacznie szerszych środowisk. Gruba kreska (w swoim sejmowym expose premier Mazowiecki użył określenia gruba linia, nadając mu zupełnie inne znaczenie) jako doktryna puszczenia w niepamięć zbrodni i przewin dokonywanych w latach PRL oznaczała bezkarność nie tylko dla elity, lecz wszystkich funkcjonariuszy i aktywistów reżimu. Rozwijana publicznie jeszcze w latach 1989-90 teza, aby pozwolić nomenklaturze, w zamian za oddanie władzy, zagarniać majątek państwowy i z byłych aparatczyków tworzyć klasę średnią (tj. elitę finansową) zapewniała korzyści kręgom znacznie szerszym, niż sama elita. Wreszcie, pojednanie na szczycie oznaczało, że nowa władza oprze się na starej kadrze administracyjnej i gospodarczej, a tym samym przejmie styl działania i wszystkie nawyki byłego systemu. Kompromis, w pełnym zakresie przedmiotowym bardziej zresztą domyślny, niż świadomy, zaakceptował zmiany na górze władzy politycznej - lecz kontynuację w każdej innej dziedzinie. Jest coś symbolicznego w fakcie, że na pięciu dotychczasowych premierów III Rzeczypospolitej żaden nie był działaczem jawnej opozycji przed 1980 r. (KOR, ROPCiO, KPN), natomiast dwoje z nich było posłami do Sejmu PRL z listy kierowanego przez PZPR Frontu Jedności Narodu (Mazowiecki i Suchocka), dwu było przed 1980 r. zbyt młodych jak na ważne funkcje państwowe (Bielecki - ur. 1951 r., Pawlak - ur. 1959 r.) a jeden (Olszewski) charakteryzuje się tym, że nawet jego

2 Choć niektóre więzy nigdy nie zostały zerwane; np. Jerzy Urban w stanie wojennym zawiadomienie o swoim ślubie rozsyłał m.in. do niektórych b. działaczy KOR; jeden z nich pokazywał mi je z pewną satysfakcją.

najbliższy przyjaciel, wszechmocny sekretarz osobisty dyktatora Gomułki - nie proponował mu pełnienia jakiegokolwiek funkcji, wymagającej ciągłej pracy.

Pochodną tego jest oparcie się nowej władzy na starej kadrze, a dalszą konsekwencją, że wraz z nią przejęte zostały koncepcje i styl administrowania, powiązania i układy, lecz przede wszystkim moralna tożsamość rządu.

3. Spuścizna i deprawacja

Mocno podkreśliłem więzy środowiskowe; obok nich, zwłaszcza w szerszym kręgu, znacznie silniej występują więzy świadomościowe. Po prostu, świadomość ludzi, którzy później wybrali różne opcje polityczne, kształtowana była w tych samych miejscach i na tą samą modłę. Gdyby zadać sobie trud i zacząć porównywać biografie osób, które w ostatnim dziesięcioleciu pełniły ważne funkcje państwowe, to okazałoby się, że większość wyrosła z tych samych uczelni; prym wiodłaby Szkoła Główna Planowania i Statystyki i niektóre Wyższe Szkoły Ekonomiczne, a także Wydziały Dziennikarstwa. Nieraz chodziło o zespoły bardzo wąskie. Katedra Planowania Gospodarczego SGPiS dała nam kilku ważnych ministrów, a w Szkole Młodych Uczonych przy KC PZPR (pepinierze przyszłych aparatczyków), prowadzonej przez Józefa Oleksego, dziś marszałka Sejmu z ramienia SLD - prymusem był Janusz Lewandowski, były minister przekształceń własnościowych z ramienia KLD (obecnie z Unii Wolności).

To prawda, że tych ludzi podzieliły różne, często diametralnie przeciwne przekonania polityczne, a przynajmniej przynależność do zwalczających się ugrupowań politycznych. Choć nie do końca. Leszek Balcerowicz, którego wysuwano na lidera Unii Wolności, nie ukrywa, że pozytywnie ocenia politykę gospodarczą rządu Mieczysława F. Rakowskiego, a za skandalicznie szkodliwe uważa inicjatywy gospodarcze, podejmowane w tym czasie przez Obywatelski Klub Parlamentarny (indeksacja). Ale nawet tam, gdzie trwa ostry spór polityczny, adwersarzy łączą dwie kapitalne rzeczy: taki sam sposób myślenia i świat takich samych pojęć. Świadomość Geremka, Michnika, Kuronia, Balcerowicza, Lewandowskiego, Kwaśniewskiego, Millera została w bardzo podobny sposób uformowana. Najwyraźniejsze różnice, jeśli występują, są różnicami pokoleniowymi. Dlatego Michnik lepiej rozumie Kwaśniewskiego niż Geremka, zaś ani Borowski, ani Osiatyński nie są w stanie zrozumieć prof. Kalety.

Obracanie się w kręgu takich samych pojęć i ten sam sposób myślenia tłumaczy na przykład, dlaczego doktryna liberalizmu gospodarczego w polskim wydaniu tak bardzo przypomina marksizm. Oczywiście, nasi współcześni liberałowie oburzą się, bo ekonomię marksistowską odrzucili już dawno; zachłysłeni się Friedmanem i jeszcze kimś takim. To prawda. Odrzucając stare i przyjmując nowe, posługują się jednak tymi samymi pojęciami. Oto ich pojęcie socjalizmu: jest to urządzenie, które zapewnia przywileje socjalne pracownikom, co powoduje zmniejszenie efektywności gospodarczej. I pojęcie kapitalizmu: urządzenie, w którym następuje szybki rozwój gospodarczy, ale za cenę bezrobocia i pauperyzacji mas. Wreszcie pojęcie urzędu: może być albo kapitalistyczny, albo socjalistyczny, współcześnie nic innego nie występuje. Koniec, kropka.

Są to pojęcia wspólne dla prawie całej elity i dla różnych jej politycznych odłamów, zarówno prawicowych jak lewicowych - od Porozumienia Centrum przez Unię Wolności po SLD. A podział w ocenach biegnie raczej w poprzek tych

ugrupowań. Kiedyś wprawdzie elita zgodnie oceniała kapitalizm jako zły (znak /-/), zaś socjalizm jako dobry (znak /+/). Dzisiaj dla większości Unii Wolności (a także PC, RdR, itd.), oraz dla SdRP z SLD kapitalizm ma znak /+/, a socjalizm -/-; dla lewego skrzydła UW i skrzydła OPZZ z SLD (a także Unii Pracy, PPS itd.) odwrotnie. Tylko przekonanie, że poza kapitalizmem i socjalizmem nie może występować nic, ale to zupełnie nic - nadal łączy ideowych oponentów.

Przy tym wszystkim nawet się nie zastanowiono, że same pojęcia mogą być bałamutne. Jeśli socjalizm zapewnia przywileje pracownikom, to dlaczego w kapitalizmie tymże pracownikom jest znacznie lepiej? Jeśli kapitalizm zawsze powoduje bezrobocie i pauperyzację, to dlaczego tak długo bezrobocie praktycznie nie występowało w Niemczech i nie występuje w Japonii, a jest tak ogromne w Rosji gdzie kapitalizm nie został jeszcze zaprowadzony? I czemu nie doszło do tej pauperyzacji mas ani w zachodniej Europie, ani w północnej Ameryce, ani w Australii - powszechnie uważanych za najbardziej typowe kraje kapitalistyczne? Wreszcie, skoro cytowane wyżej pojęcia socjalizmu i kapitalizmu nie występują w takiej formie nigdzie, to dlaczego mają mieć wyłączność na istnienie?

Nie chodzi tu o same pojęcia, lecz o konsekwencje, jakie z tego płyną. Jeśli kapitalizm jest efektywniejszym ustrojem mimo bezrobocia i pauperyzacji, to wprowadzając w Polsce gospodarkę rynkową przyjmuje się, że bezrobocie musi być nieuniknione, a społeczeństwo zbiednieje. Mając wbitą do głowy marksistowską tezę, że własność bierze się z kradzieży (zawłaszczania wartości dodatkowej), za rzecz naturalną uznaje się, że klasa średnia (czytaj: kapitaliści) mogą powstać tylko z zagarniania majątku państwowego, afer i korupcji. Komuniści likwidowali eksploatatorskie klasy społeczne, liberałowie domagają się ich tworzenia - za każdym razem jest to odwołanie do marksistowskiej przeciw inżynierii społecznej, traktującej ludzi jako przedmiot do dowolnego ukształtowania przez władzę. Nawet naiwne komunistyczne kłamstewko: budujemy ustrój najlepszy z możliwych, jeśli nie zdążymy z niego skorzystać, zapewni on szczęśliwość naszym dzieciom - dziś powtarzane jest przez polityków równie antykomunistycznych, jak prokapitalistycznych.

Łączy wreszcie pojednaną elitę styl i sposób sprawowania władzy. Tylko oni wiedzą, co dla społeczeństwa jest dobre; Polacy są zbyt głupi, aby sobą rządzić. Taka arogancja przypomina niektórych przegranych polityków przeszłości. Lepiej wiem niż oni (Polacy), co Polsce potrzeba. Niech mi nie przeszkadzają - mówił margrabia Wielopolski. No, ale Wielopolski był naprawdę kimś. Gdy chciano go użyć jako przykrywkę dla polityki w oczywistym obcym interesie - obraził się i wycofał z życia publicznego.

Tymczasem współczesna elita, której pierwotny rdzeń zrodził się pół wieku temu jeśli nie ze zdrady, to z kapitulacji narodowej, cechuje się wysokim stopniem kompradorstwa. Zbyt długo odgrywała rolę pośredniczącą między hegemonem a uzależnionym krajem, zbyt długo uważała to za źródło swojej prosperity, zbyt długo była przekonana, że inaczej być nie może - żeby po upadku jednego, nie szukać gorliwie innego hegemonu. Nie zraża jej, że - jak na razie, nikt nie kwapi się, aby objąć pełną kuratelę nad Polską; współcześni kompradorzy nie rezygnują, choć ich pragnienie zależności, przynajmniej od ośrodków politycznych - bo nie finansowych - zawieszono jest na ogół w próżni.

Tak uformowana elita w ostatnich kilkunastu latach poddana została procesom przyspieszonej degeneracji. Spowodowało to wiele czynników: zawalenie się dotychczasowego porządku rzeczy, nowe możliwości i pokusy. Władza zawsze była intratna; w czasie kwestionowania wszystkich zasad i dążenia do niekontrolowanych przeobrażeń w każdej dziedzinie - otwarta została także droga do zawłaszczania wszystkiego, co popadnie. Ci, którzy mają do niego dostęp, mogą rwać czerwone sukno; a gdy już urwą kawał, krzyczą o świętym prawie własności. Prawo to najwyraźniej nie przysługuje tylko dotychczasowym właścicielom, którzy wysiłkiem wielu pokoleń stworzyli wspólny majątek; kiedyś w niewielkim stopniu mogli z niego korzystać, dziś go całkowicie tracą. Niezbyt wielu lat było potrzeba, aby wszystkie szkodliwe cechy i zjawiska urosły do niebotycznych rozmiarów. Prywata i zachłanność, relatywizm moralny, brak zasad, korupcja, gotowość do sprzedawania wszystkiego: przekonań, własnej godności, interesów wspólnych, w tym interesów państwa i narodu - wszystko to występowało w ciągu ostatniego półwiecza, ale dzisiaj osiągnęło niespotykaną skalę.

Degeneracja prowadzi do degradacji elity. Ludzie przestają ją szanować, zaczynają pogardzić. Władza w PRL była zawsze wyalienowana, ale dość długo jakoś szanowana, przynajmniej na tyle, ile szanujemy wzbudzających w nas strach; później ten niechętny szacunek zastąpiony został pogardą. W huraganowym tempie powtórzyło się to w ostatnich latach. Cały czas wyalienowana, nowa władza najpierw budziła uznanie, później zawód, wreszcie wrogość. Kariery niejednego człowieka z "Solidarności", niegdyś dzielnego i ofiarnego w obronie swych ideałów, oraz niejednego człowieka z PZPR, przestrzegającego zasad fachowości i osobistej uczciwości - swe apogeum osiągają dziś w wielkich aferach gospodarczych. Jakże często (bo na pewno nie zawsze) wzlot finansowy łączy się z moralnym upadkiem - a ta zależność uważana jest za normalną i zrozumiałą. Nic więc dziwnego, że liczniejsza niż inne grupa respondentów uważa, że politycy (tzn. elita polityczna) w przeważającej części dążą do korupcyjnego osiągnięcia osobistych korzyści kosztem interesów ogółu. Co gorsza, trudno temu zaprzeczyć.

Wszystko, co wyżej napisałem, jest bardziej konstatacją aniżeli krytyką. Takie elity mamy, takim procesom one podlegają. Pojednanie elit nie oznacza nic więcej ponad to, że budując nowe - wraca się do starego, tylko w tandetniejszym wydaniu; zjawisko tak dobrze znane z historii PRL. Niska jakość elity daje niską jakość rządu; skutki tego ponoszą wszyscy.

Stąd bierze się coraz silniejsze społeczne zaprzeczenie potrzeby istnienia elity, a także niemal powszechne dążenie do swoiście pojętej egalitarności: zrównania nie w szansach, lecz w efektach ich wykorzystania. Jedno i drugie jest bardzo groźne, bo prowadzi do ogromnych zakłóceń funkcjonowania społeczeństwa i państwa. Stanowi nie tylko relikwiny minionej epoki, dowód na występowanie w naszym życiu homo sovieticus, ale przede wszystkim jest reakcją na to, co się dzieje na naszych oczach: na degenerację elit.

Powtórzmy: w każdym zbiorowisku ludzkim, w każdym społeczeństwie elita jest niezbędna. Jeśli ulega degeneracji i kompromitacji, zastępowana jest przez nową. To zjawisko normalne. Jeden z najwybitniejszych naszych historyków elitę późnych czasów saskich określił jednym słowem: hołota. Po niej przyszła wspaniała elita, która dała Polsce Konstytucję 3 Maja i potrafiła wnieść się w Insurekcji.

Nowa, zupełnie inna w charakterze, być może wspinała elita tworzy się już od pewnego czasu. Wielką szansą na jej szybkie uformowanie był okres 1980-81, brutalnie przerwany. Rok 1989 tej wielkiej szansy nie przywrócił. Wręcz przeciwnie; umacniają się zjawiska zamykania dostępu do elity, hamowania karier. Nie zawsze wynika to ze złej woli. Jednak w występującym tak ostro braku pieniędzy na oświatę, na naukę, na wspieranie startu młodych dostrzec trzeba nie tylko kłopoty budżetowe, lecz także, a raczej przede wszystkim nieświadomą na ogół obronę starej elity przed nowymi ludźmi. Polskę widzi się w perspektywie tych, którzy umocnili swe pozycje na górze; także czasowo ten horyzont kariery czterdziesto- i pięćdziesięciolatków jest znacznie krótszy i węższy, niż młodych ludzi, wchodzących dopiero w życie dojrzałe. Dla nich jednak wszystkie drogi kariery są zamknięte: kariery publicznej, kariery zawodowej (bezrobocie), kariery osobistej i rodzinnej (niskie zarobki, brak mieszkań niezbędnych dla stworzenia rodziny). Prawie nikt nie myśli o tym, że pozbawiając perspektywy młodych ludzi, zamykamy ją przed Polską - bo ci wchodzący w życie są, i będą najdłużej z nas dzisiaj żyjących - właśnie Polską.

Nie oznacza to, że dostęp do starej elity jest dla wszystkich zamknięty. Choć ograniczony - istnieje. Działają jednak szczególne kryteria selekcji i formowania, chroniące pod każdym względem grupowy interes zamkniętego środowiska. Zamiast żywiołowego procesu, w którym sukces odnoszą lepsi ze swymi indywidualnymi wartościami, zmieniającymi i poprawiającymi istniejący stan - mamy do czynienia z dobieraniem i urabianiem na swoją miarę.

Mimo wszystko, obok tego dobierania - nowa elita powstaje, i powstanie, bo taka jest narodowa potrzeba. Obecnie tworzy się ona nie tylko w normalnym trybie wymiany pokoleń. W czasach takich jak nasze, pełnych gwałtownych zmian i historycznych przełomów, nową elitę formują nie tylko ludzie młodzi, choć to oni głównie nadają jej charakter; dopływ następuje z wszystkich generacji. Podstawą tej nowej elity będzie nowa świadomość. Przebija się ona z wielkim trudem, lecz nie trudno określić jej wyraz. Jak to zawsze bywa, zaprzeczy ona poprzedniemu.

W tym przypadku zaprzeczy relatywistyczno-nihilistycznej świadomości elity dzielącej się i jednającej w ostatnim półwieczu; kompradorskiej elity zniewolonego społeczeństwa. Sięgnie do wartości którym tamta zaprzeczyła, aby łatwiej zepchnąć Polskę na dno; te wyszydzane wartości w przetworzonym kształcie ożyją na nowo.

Podobnie po przełomie lat 1914-26 uformowała się wspinała elita Polski Niepodległej, wypierając zdegenerowaną elitę pozaborową, wyrosłą wokół hasła: przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy.

4. Alternatywa: jest, czy jej nie ma?

Dobrze, powie ktoś, elitę mamy postpeerlowską, a jej pojednanie umacnia tylko tę parszywą spuściznę. Ale choćbyśmy mieli najlepszą, wszystko potoczyłoby się podobnie. Kto by nie rządził Polską po 1989 r., nie mógł dokonać innego wyboru, niż pójść drogą tworzenia demokracji, wprowadzania gospodarki rynkowej i reorientacji politycznej na Zachód. Nie miał alternatywy.

To prawda, choć bardzo uproszczona.

Przez dziesięć lat Polacy czynnie zmagali się z alternatywą: czy zachować PRL - satelickość, ustrój totalitarny, gospodarkę nakazową i orientację moskiewską (wszystko to, co zaprowadzono u nas po 1944 r.), czy też przywrócić Rzeczpospolitą - niepodległość, ustrój demokratyczny, gospodarkę rynkową i orientację zachodnią

(wszystko to, co mieliśmy do 1939 r.). Rozstrzygnięcie nastąpiło w czerwcu 1989 r. i było jednoznaczne: ogromna większość obywateli opowiedziała się za odrzuceniem PRL.

Alternatywa została rozstrzygnięta. Sam upadek PRL, załamanie się totalitaryzmu i socjalistycznej gospodarki spowodowały, że na ich miejsce weszły demokracja i gospodarka rynkowa. Ale natychmiast pojawiły się liczne inne alternatywy. Sprowadzić je można do pytań: jak? i jaki-jaka?. Jak wprowadzić system demokratyczny - i jaki?, gospodarkę rynkową - i jaką? Współcześnie występują przecież różne rozwiązania: model demokracji amerykańskiej bardzo różni się od niemieckiej, a rynkowej gospodarki japońskiej od francuskiej czy brytyjskiej.

Tym razem dokonywano wyboru, nie pytając społeczeństwa o nic, w ciszy rządowych gabinetów. Rozstrzygając o systemie demokratycznym, działano na ogół w miarę rozsądnie i z niezłymi wynikami. Przywrócono prawa i wolności obywatelskie, a wśród nich wolność zgromadzeń, organizowania się w partie polityczne, związki zawodowe i stowarzyszenia, wolność słowa i prasy. Stworzono przedstawicielskie organa władzy samorządowej (gminy) i państwowej (Prezydent, parlament). Zwrócono formalną niezawisłość sądom. Otwarto granice dla obywateli. Wszystko to oznaczało ogromny postęp na lepsze. Wprawdzie często sięgano do archaicznych modeli, które w wielu rozwiązaniach przeżyły się już, ale wystarczało, że są nadal chwalone przez lewicę zachodnioeuropejską. Mówiąc w uproszczeniu, wzorców szukano raczej w instytucjach III i IV Republiki Francuskiej (które lewica bardzo ceni), niż V Republiki (z której lewica potrafi korzystać, ale której bardzo nie lubi, bo nie ona ją stworzyła). Sięganie do polskich wzorców, ukształtowanych na naszą miarę i uwzględniających nasze specyficzne cechy uznano za parafianstwo. W sumie stworzono dość całociowy system demokratyczny, gorszy niż było możliwe, ale na ogół nie odbiegający od pewnej przeciętnej. W porównaniu z tym co było, postęp jest ogromny. To główne osiągnięcie nowej władzy, najwyraźniej trwałe, skoro nie przekreśliła go klęska wyborcza obozu postsolidarnościowego w 1993 r.

Drugą, a w oczach społeczeństwa może nawet pierwszą z kluczowych kwestii było przeobrażenie gospodarki przez jej prywatyzację i urynkowienie, tj. przywrócenie normalnych, typowych dla całego świata zasad i warunków. Tu pojawiły się od razu różne alternatywy. Przykładowo, bez zamiaru omówienia wszystkich występujących dziedzin, wskażmy na tylko niektóre. Wielkie i mniejsze.

Bardzo szybko rozstrzygnięto alternatywy związane z prywatyzacją.

Alternatywa pierwsza: czy rozpocząć od prywatyzacji gospodarki, czy od prywatyzacji przedsiębiorstw? Powszechnie w świecie występuje różna własność: prywatna, państwowa, komunalna, mieszana. Bez względu na to, kto jest właścicielem, przedsiębiorstwa przybierają różne formy, opisane w prawie handlowym. Każde z nich jest samodzielnym podmiotem obrotu gospodarczego. Prywatyzacja gospodarki - to przekształcenie przedsiębiorstw, praktycznie wszystkich, w takie samodzielne podmioty, niezależnie od tego, kto i w jakiej części jest ich właścicielem. Zamiast prywatyzacji gospodarki wybrano prywatyzację przedsiębiorstw. Spowodowało to, że liczne przedsiębiorstwa nadal pozostając własnością państwa, w dalszym ciągu pozostały zależne od decyzji administracyjnych podejmowanych w poszczególnych ministerstwach czy urzędach państwowych. W warunkach gospodarki rynkowej, opartej o silną konkurencję i zdecentralizowane, szybko zmieniane decyzje - zostały

one oczywiście upośledzone, co utrudniło ich rozwój i ograniczyło urynkowanie całej gospodarki.

Alternatywa druga: jak prywatyzować przedsiębiorstwa: publicznie czy wewnętrznymi decyzjami administracyjnymi? Pierwsze rozwiązanie polegało na sprzedaży w jawnych przetargach, albo na przekształcaniu przedsiębiorstw w spółki akcyjne i sprzedaży akcji na giełdzie, albo przez zwiększanie kapitału zakładowego i sprzedaż nowej emisji akcji. Za każdym razem uzyskiwalibyśmy najwyższą z możliwych cen, a dodatkowym plusem był rozwój rynku, w szczególności przyspieszone tworzenie rynku kapitałowego. Wybrano drugie rozwiązanie: niejawne kryteria poszukiwań i doboru nabywców, niejawne negocjacje, administracyjne decyzje, komu sprzedać i za ile. Nawet jeśli prywatyzowana firma była spółką akcyjną, to w takim administracyjnym trybie najpierw rozdzielano między nabywców akcje za dowolnie określoną cenę, a dopiero potem kierowano je na giełdę; tak doszło m. in. do afery Banku Śląskiego. Nie jest to jedyna afery prywatyzacyjna; wszyscy wiemy, że poniesione straty i niezyskane, choć możliwe do osiągnięcia wpływy pozbawiły Skarb Państwa wielu bilionów złotych.

Alternatywa trzecia: komu sprzedawać prywatyzowany majątek: wszystkim, czy wyłącznie dobranym nabywcom? Jako zasadę wybrano drugie rozwiązanie. O prywatyzacji powszechnej wiele się mówi, ale pięć lat czasu okazało się za krótkie, aby zrobić cokolwiek konkretnego. Wprawdzie wiosną 1983 r. zgodny blok UD, KLD i SLD przeforsował w Sejmie ustawę o Narodowych Funduszach Inwestycyjnych, lecz nie będzie to rzeczywista powszechna prywatyzacja, a raczej sposób pozwalający, aby nieliczni mogli jak najtaniej kupić ogromny majątek, należący do wszystkich.

Nie trudno zauważyć, że wszystkie te trzy alternatywy rozstrzygnięte zostały na to samo kopyto; w znacznie korzystniejszej sytuacji ustawiają one nabywców. Krąg tych nabywców ustalił inny krąg - politycznych decydentów - tych, którzy od początku prywatyzacji w 1987 r. o niej decydowali. Oba te kręgi w niemałym stopniu pokrywają się ze sobą. W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że łase kaski na niewygórowaną cenę sprzedawano sobie, swoim znajomym, przyjaciom znajomych i mocodawcom przyjaciół. Prywatyzację przeprowadzano po prostu na korzyść dość szczelnie zamkniętego koła krajowych i zagranicznych inwestorów.

Dzieje się tak ze szkodą dla reformy rynkowej, opóźniając jej wdrażanie. Ze szkodą dla gospodarki narodowej. Ze stratą dla majątku państwowego.

Zyski niektórych, a straty nas wszystkich powoduje nie prywatyzacja jako taka - ale wybrane celowo, jedno z wielu alternatywnych rozwiązań wykonawcze.

Przejdźmy do polityki gospodarczej. Jedną z jej głównych cech charakterystycznych było szerokie otwarcie naszego rynku. Uzasadniano to potrzebami gospodarki rynkowej. Wskazywano, że likwidacja wszelkich barier ograniczających przepływ towarów, zniesienie mechanizmów wspierających rodzimą produkcję jest niezbędna dla należytego rozwoju gospodarczego; aby to uzasadnić, odwoływano się bezpośrednio do teoretyków liberalizmu gospodarczego. Prace klasyków teorii ekonomicznych trzeba oczywiście znać, pamiętając, że najtrafniejsze tezy trzeba dopasować do konkretnej rzeczywistości. Skoro jednak sięgamy do literatury, to warto również czytać prace analizujące realia współczesnego kapitalizmu. Udzielam tej rady bibliograficznej z tego tylko powodu, że szefowie polskiej polityki gospodarczej zachowują się tak, jakby całkowicie obca im była znana powszechnie w świecie zasada, że liberalizacji handlu domagają się kraje najsilniejsze

gospodarczo (przynajmniej w tych dziedzinach, w których są mocne), gdy słabsze stanowczo bronią swojego rynku, sięgając nieraz do metod budzących kontrowersje. Opis kapitalizmu realnego bardzo się różni od teoretycznych wizji. Może warto wiedzieć, że na przykład taki Immanuel Wallerstein, notabene jeden z bardziej znanych analityków współczesnej ekonomii światowej - dostrzega w gospodarce rynkowej syntezę dwu czynników: swobodnego przepływu towarów oraz selektywnej interwencji państwa w mechanizmy rynkowe. Główną cechą kapitalizmu jest nieustanna akumulacja kapitału - twierdzi Wallerstein i trudno się z nim nie zgodzić. Ponieważ selektywne interwencje służą akumulacji, przedsiębiorcy w warunkach gospodarki rynkowej oczekują i domagają się takiej interwencji państwa na rynku, która będzie sprzyjać ich interesom, a w szczególności wzmocniać ich pozycję w walce konkurencyjnej

Prawdę mówiąc, teza nie wydaje się zbyt odkrywczą. Codziennie gazety piszą, jak poszczególne państwa, a zwłaszcza te najbardziej rozwinięte, z pierwszego szeregu gospodarki rynkowej, bronią swych ekonomicznych interesów, w szczególności rodzimej produkcji. Cła, subsydia, ograniczenia handlowe, gwarancje eksportowe, bariery - o tym słyszymy bez przerwy. Dzisiaj (początek sierpnia 1994) w radio znów podali, że kraje EWG wprowadziły nowe zapory przed eksportem polskich czarnych porzeczek. Trudno więc przypuszczać, aby kolejni ministrowie, w tym znani profesorowie ekonomii, nic o takich praktykach nie słyszeli. A więc znów wybrano jedno z alternatywnych rozwiązań: postanowiono otworzyć nasz rynek, odrzucając koncepcję jego rozsądnej ochrony, pozwalającej przedsiębiorstwom krajowym na łatwiejsze przejście przez trudny okres transformacji.

Powyższej decyzji towarzyszyły inne. Z dniem 1 stycznia 1990 r. wprowadzono stały kurs dolara: 1USD = 9500 zł. Był on wyraźnie niższy od kursu realnego, obliczanego w tym czasie na 13.000, a może nawet 15.000 zł. Taki zanizony kurs automatycznie spowodował, że towary importowane stały się na polskim rynku znacznie tańsze, a nasz eksport na rynkach zagranicznych poważnie zdrożał. Tracił wyłącznie polski producent.

Ten kurs utrzymywał się on przez kilkanaście miesięcy, bo do wiosny 1991 r., potem zarządzono stały kurs nieco wyższy, wreszcie wprowadzono kurs systematycznie korygowany. Obecnie kurs dolara wynosi poniżej 23.000 zł. W ciągu trzech i pół lat wartość złotówki zmalała co najmniej dziesięciokrotnie, gdy cena dolara w złotówkach mniej, niż dwa i pół raza. Oznacza to, że od początku 1990 r. cena dolara w Polsce, wyrażana w złotówkach, zmalała co najmniej czterokrotnie.

Jeśli ktoś sądzi, że doprowadziło to do sytuacji, w której przywożone są masowo do Polski dolary (czy inne waluty wymienne) po to, aby je sprzedawać czterokrotnie taniej - jest w błędzie. Powstała sytuacja odwrotna. Przywożone do Polski towary sprzedawane są za złotówki - ale po to, aby za nie kupować czterokrotnie taniej dolary; ciągle obce waluty są najtańszym polskim towarem eksportowym.

Choć okresowo opłacało się sprzedawać dolary za złotówki. Ktoś, kto wiedział, że przez cały rok 1990 kurs dolara w Polsce nie ulegnie zmianie, mógł zbić na tym majątek. Wystarczyło zamienić dolary na złotówki (albo, jeszcze lepiej, sprzedać importowany towar), wsadzić pieniądze do banku (przy wkładach terminowych oprocentowanie przekraczało 50%), odebrać po roku i złotówki zamienić na dolary: otrzymywało się ich o połowę więcej, niż w cały interes włożyło.

Gospodarka rynkowa wymaga prawdziwego pieniądza - wymiennalnego. W Polsce stworzono pozór wymiennalności: jest to wymiennalność kantorowa. Od wymiennalności cinkciarskiej, występującej przez cały okres PRL różni się tylko tym, że wtedy prawo zabraniało takiej działalności, a obecnie na nią pozwala. Złotówka nadal jest niewymiennalna. Na kantorowe kursy walut łatwo w takich warunkach oddziaływać. Niewymiennalność złotówki umożliwia podejmowanie arbitralnych decyzji o kursach, tworzenie sytuacji opisanych powyżej.

Taka polityka walutowo-pięniężna, bardzo oryginalna - przynajmniej, i rzadko w świecie spotykana, przyczyniła się do zmniejszenia eksportu, zwiększenia importu, pogorszenia bilansu handlowego, a jeszcze bardziej bilansu płatniczego. Negatywne skutki można oceniać na kilka, może nawet - jak sugerują pesymiści - na dziesięć i więcej miliardów dolarów.

Czy była to polityka jedynie możliwa? Wolne żarty. W grę wchodziło wiele rozwiązań. Świadomie wybrano jedno z nich. Chyba nie przypadkiem było ono najkorzystniejsze dla zagranicznych eksporterów i ich pośredników i agentów, dla krajowych importerów, wreszcie dla wszystkich tych, którzy mieli dość pieniędzy, aby skupywać taniutkie w Polsce waluty wymiennalne.

Kolejna kwestia: możliwości działania przedsiębiorstw gospodarczych. Mam przygotowane obszernie cytaty z zachodniej, popierającej liberalizm gospodarczy, literatury ekonomicznej - ale szkoda zajmować miejsce aby wyważać otwarte drzwi. Nie wymaga chyba dowodu teza, że gospodarka rynkowa opiera się na przedsiębiorstwach, a rozwój tych przedsiębiorstw zależy między innymi od warunków, stworzonych w danym państwie. Jasne i korzystne przepisy prawne, niskie i nie zmieniające się podatki, odpisy inwestycyjne, tani i łatwo dostępny kredyt - to katalog samych oczywistości. W Polsce zastosowano politykę akurat odwrotną, z wysokimi podatkami i bardzo drogim, ale za to trudno dostępnym kredytem na czele. Czy nie było innych rozwiązań? Oczywiście, że były. Przyjęto jednak takie, które stwarza bardzo trudne warunki dla prowadzenia działalności gospodarczej w Polsce. Dla przedsiębiorstw państwowych jeszcze trudniejsze, niż przeciętna norma (dywidenda, popiwiek). Warto zwrócić uwagę, że wprowadzona w życie alternatywa bardzo konsekwentnie pasuje od rozwiązań przyjętych w kwestiach omówionych powyżej.

Przerwijmy cytowanie tych przykładów. Wystarczyłoby ich na grubą książkę, wielokrotnie grubszą od tej. Wszystkie one wskazują, że reformując system gospodarczy kraju i wprowadzając gospodarkę rynkową, systematycznie prywatyzowaną - można było wybierać spośród wielu alternatywnych rozwiązań. Decyzje, które podejmowano, trudno określić jako optymalne. Układały się one w pewien logiczny ciąg.

Wszystkie ważniejsze decyzje, dotyczące reformy a także polityki gospodarczej miały trzy wspólne cechy: (1) stanowiły kontynuację działań podejmowanych przed jesienią 1989 r., (2) ograniczały zakres i zmniejszały tempo wprowadzania gospodarki rynkowej, oraz (3) stwarzały trudne warunki dla rodzimych przedsiębiorstw produkcyjnych (łącznie z rolniczymi) zarówno pracujących na eksport, jak na rynek krajowy.

5. Bilans

Miało być lepiej. Jeszcze pięć lat temu, gdy Polacy gremialnie głosowali na "Solidarność", przyszłość wydawała się tak promiennie szczęśliwa. Niespełnione nadzieje wywołały frustrację, gwałtowne pogorszenie warunków bytowania milionów ludzi prowadzi do rozpacz. Ogromnej większości Polaków jest znacznie gorzej, niż oczekiwali, gdy godzili się nawet na wyrzeczenia - ale także gorzej, niż pod rządami komuny, przynajmniej w ostatnich kilkunastu latach jej trwania. Trudniej jest żyć emerytom i ogromnej większości pracowników, zwłaszcza zatrudnianych przez państwo, w wielkich przedsiębiorstwach i w tzw. strefie budżetowej. Tragiczne stają się warunki bytowania bezrobotnych, z których już ponad milion straciło prawo do zasiłku. Najgorzej przedstawia się sytuacja młodzieży: prawie że bez szansy na uzyskanie pracy, na mieszkanie, na założenie rodziny - na jakąkolwiek perspektywę, osobistą czy wspólną. Jest gorzej - tak uważają miniony ludzi. Nie tylko ci, którzy we wrześniowych wyborach 1993 r. głosowali na SLD. Porównanie z przeszłością wypada źle. Ongiś, w warunkach nie chcianego i bardzo źle zaprojektowanego ustroju istniało jednak pewne minimum stabilizacji; wiedziano co wolno obywatelowi, ale i do czego zobowiązana jest władza, do kogo można udać się na skargę. Dziś wprowadzie wszystko jest wolno, ale mało kto może z tego korzystać. Każdy ma prawo do wszystkiego - także do prawa i sprawiedliwości, ale mało kogo na to stać. Ludzie uczciwie pracowali dziesiątki lat, nie patrząc, jaki był ustrój i kto rządził - teraz płacą za to biedą, bezrobociem, poniżeniem.

Pogorszenie dotyczy nie tylko poziomu życia. Niekontrolowany upadek systemu totalitarnego, tak bardzo chciany - przyniósł niechciane skutki uboczne. Załamanie się organów policyjnych stworzyło stan umożliwiający gwałtowny skok przestępczości. Ogromnym aferom gospodarczym towarzyszy rozwój gangów i mafii, masowy wzrost pospolitych przestępstw. W czasach PRL nikt nie był na prawdę odpowiedzialny za własność państwową, ale też nikt nie mógł ukraść fabryki. Dzisiaj, gdy nadal nie ma instytucji Skarbu Państwa, w rzeczywistości również nikt nie jest odpowiedzialny - ale fabrykę, jak wszyscy wiedzą, można już ukraść. Ludzie porównują - i te porównania wypadają źle.

5.1. Dygresja już historyczna

Nikt jednak nie dokonał bilansu zamknięcia, gdy rozsypywała się PRL. Tamte czasy tak szybko uciekły w przeszłość, że już nie wszystko z nich się pamięta. Dlatego trzeba sięgnąć do zamkniętego już rozdziału historii, bowiem nadal determinuje on naszą trudną terażniejszość.

Obecny, rozpaczliwy stan kraju tworzył się przez dziesięciolecia. W głównej mierze jest on nadal efektem rządów komunistycznych. Bezpośrednie powody zniszczenia Polski są rozmaite; oto główne z nich:

Od chwili zainstalowania w Polsce narzuconych władz, kraj poddany został brutalnej eksploatacji na rzecz potężnego sąsiada. Sposoby i rozmiar tej eksploatacji zmieniały się, ale była ona nieprzerwana i ogromna. Oblicza się, że w różnych formach, bezpośrednich i pośrednich, doprowadziła do zagarnięcia około czwartej części naszego dochodu narodowego; mówiąc bardziej obrazowo, równowartość polskiej pracy z co najmniej dziesięciu lat (na 45) poszła na rzecz ZSRR i jego imperialnych potrzeb.

Państwo totalitarne jest bardzo kosztowne, znacznie droższe niż państwo demokratyczne. Dąży ono do tego, aby utrzymać całkowitą inicjatywę, monopol stymulowania wszelkich działań zbiorowych i kontrolowania każdego przejawu aktywności ludzkiej, nie tylko społecznej, a nawet indywidualnej. Aby spełniać te gigantyczne funkcje, potrzebuje masowo rozbudowanych struktur biurokratycznych, nadzorujących drobiazgowo każdą dziedzinę życia. Ponieważ okazują się one niewystarczająco sprawne, a nawet niezdolne do wypełniania wyznaczonych im zadań, koszty utrzymania całego systemu jeszcze bardziej rosną. Wszędzie społeczeństwo utrzymuje państwo; w ustroju totalitarnym ten koszt jest znacznie wyższy, a dodatkowo jeszcze niewoloni płacą za utrzymanie tych, którzy ich niewolą.

Wprowadzony w Polsce socjalistyczny system gospodarczy był wyjątkowo mało wydajny, nieporównywalnie mniej, niż w rozwiniętych krajach świata. Spowodowało to, że bardzo ciężka praca społeczeństwa, znacznie lepsza i ofiarna niż w krajach zachodniej Europy, dawała parokroć mniejsze rezultaty. Socjalistyczne metody gospodarowania prowadziły do trwonienia zarówno możliwości gospodarczych, jak społecznego potencjału produkcyjnego. Straty poniesione z tego tytułu osiągnęły podobną wysokość, jak straty w wyniku eksploatacji przez ZSRR.

Dotyczyło to nie tylko poszczególnych państw, lecz całego obozu, obejmującego kraje i narody zniewolone przez ZSRR. Łożyły one nie tylko na utrzymanie swej niewoli, lecz w imię spójności całego systemu rozwijały się jednostronnie. Chodziło o to, aby żaden z krajów satelickich nie był zdolny do oderwania się, aby nie uzyskał samodzielności gospodarczej czy militarnej. Powiązania strukturalne, finansowe, gospodarcze, policyjne, wojskowe, ideologiczne, kulturalne itd. budowane były z wielkim nakładem środków i równocześnie powodowały, że oderwanie się od obozu miało być bardzo kosztowne, prawie że niemożliwe.

Funkcjonowanie wszystkich państw obozu sowieckiego podporządkowane było imperialnej polityce Moskwy. Dążyła ona do agresywnej wojny globalnej, jako jedynie skutecznej metody podboju całego świata. Aby zaatakować, trzeba najpierw uzyskać przewagę. Dążenie do uzyskania wystarczającej przewagi militarnej nad Zachodem było stałym dążeniem moskiewskiego imperium; podporządkowano temu wszystkie dziedziny życia, struktury państwa i gospodarki. Pochłaniało to olbrzymie środki i deformowało strukturę gospodarki.

Wreszcie ci którzy kierowali całym systemem i czuwali, aby trwał on nieprzerwanie, musieli mieć z tego korzyści. Ponieważ podstawowym założeniem państwa totalitarnego jest całkowity brak zaufania do wszystkich, nie były to korzyści udzielane indywidualnie, lecz zbiorowo. Korzystał z nich każdy, kto został włączony do zamkniętego kręgu elity władzy. System komunistyczny dąży do ograniczenia konsumpcji indywidualnej, chętniej rozwijając zbiorową. W rzeczywistości tworzył dwa osobne kręgi spożycia zbiorowego: bardzo skromnego dla całego społeczeństwa oraz względnie luksusowego dla "właścicieli Polski Ludowej", jak precyzyjnie nazwano elitę władzy PRL. Za ich przywileje płacił cały kraj.

Wskazane wyżej, a także dalsze jeszcze przyczyny spowodowały, że kilkudziesięcioletnia praca całego narodu dała znacznie mniejsze wyniki, niż mogła i powinna; z różnych szacunków wynika, że uzyskane efekty stanowią najwyżej jedną trzecią tego, co przy podobnym wysiłku mogliśmy być osiągnąć w warunkach przeciętnych dla Europy zachodniej. Nie miała część, zapewne blisko połowa tego, co

uzyskaliśmy - została rozdrapana i roztrwoniona. Satelicki status i komunistyczny system zahamowały rozwój Polski, przyniosły olbrzymie straty.

To prawda, że wielkim wysiłkiem społecznym odbudowaliśmy kraj po zniszczeniach wojennych, lecz gorzej i później, niż uczyniono to na zachodzie Europy. To prawda, że zyskaliśmy postęp w industrializacji i urbanizacji, lecz ich tempo i jakość nie są porównywalne ani z tym, co osiągnęliśmy w Polsce w okresie międzywojennym, ani z tym, co osiągnięto współcześnie w krajach demokratycznych. W rolnictwie doszło nawet do bezwzględного regresu. Powstała i narosła luka technologiczna, która zaczęła przeradzać się w cywilizacyjną.

Mimo iż pod względem społecznej pracowitości, ofiarności i umiarkowanych potrzeb Polacy wyróżniali się w Europie, nie dało to sukcesu ekonomicznego; obozowe i ustrojowe hamulce rozwoju okazały się silniejsze. Spowodowały one nie tylko systematyczne zmniejszanie uzyskiwanego dochodu narodowego w stosunku do obiektywnych możliwości Polski, lecz również narzuciły tak wysokie koszty utrzymywania systemu, że rzeczywiste wydatki przerastały dochody; szczególnie jaskrawie było to widać w pierwszym powojennym dziesięcioleciu oraz w latach osiemdziesiątych, w czasie stanu wojennego. Efekty blisko półwiekowej pracy całej gospodarki narodowej są względnie ujemne: globalnie koszty przewyższały przychody.

Już pierwsze 25-lecie gospodarki komunistycznej (1945-70) doprowadziło do jej bankructwa; przez następne dwadzieścia lat Polska utrzymywała się dzięki zagranicznym kredytom oraz olbrzymiemu długowi wewnętrznemu. Zadłużenie zagraniczne przekracza, jak wiadomo, 40 miliardów dolarów. Zadłużenie wewnętrzne jest znacznie trudniejsze do wyliczenia, ale nieporównywalnie większe. Przykładowo, obejmuje ono gigantyczne kwoty, zbierane przez kilkadziesiąt lat od wszystkich pracujących, jako tzw. składki ZUS (blisko połowa ogółu funduszu płac!); powinny one być kapitalizowane i służyć jako pokrycie godziwych rent i emerytur. Niestety, tych pieniędzy nie ma, bo zostały "pożyczone" czyli zagarnięte przez komunistyczne rządy. Inną formą takiej przymusowej "pożyczki" stały się pieniądze gromadzone na mieszkaniowych książeczkach oszczędnościowych. Jeszcze innymi - środki posiadane przez państwowe przedsiębiorstwa na wymianę zużywanego substancji produkcyjnej; oszczędności na ochronie środowiska naturalnego; brak remontów struktury mieszkaniowej; dekapitalizacja infrastruktury - i tysiące innych. Dodać do tego trzeba niskie zarobki, wielokrotnie niższe od rzeczywistej wartości pracy. Nie ma dziedziny życia w Polsce, z której komunistyczne rządy nie wyrwałyby mniejszego czy większego haraczku na pokrycie swoich bieżących wydatków. Wszystko to składa się na ów gigantyczny dług wewnętrzny, który przynajmniej częściowo musi być spłacany, a częściowo (np. dekapitalizacja przedsiębiorstw, zatrzymanie modernizacji) jest już nie do odrobienia.

Gdy w 1989 r. komuniści oddawali władzę nad Polską, nasza gospodarka narodowa była już wyeksploatowana do dna. Dawno przekroczyliśmy granicę bankructwa. Krach groził każdego dnia. Komuniści pośpiesznie oddawali władzę, gdy w latach 1988-89 załamała się pozorowana równowaga gospodarcza, nastąpił gwałtowny skok inflacyjny i rozpoczął lawinowy spadek produkcji.

Wszyscy ci, którzy opowiadają, że za komuny działał lepszy system - przypominają owego pijaczka, który zachwala wygodę domu, w którym mieszkał, a który sam rozebrał i sprzedał cegła po cegle, aby mieć na wódkę.

5.2 Ciąg dalszy. Bilansu

Główną przyczyną katastrofy ekonomicznej w Polsce i pozostałych krajach postkomunistycznych jest ogromne zużycie majątku i gospodarki narodowej. Mechanizmy, które to spowodowały, od kilku lat sukcesywnie przestają działać. Automatycznie powoduje to zapoczątkowanie procesów odbudowy. Teoretycznie są one w stanie wydobyć z katastrofy kraj, tyle tylko, że trwałoby to bardzo długo; z analogii historycznych wynika, że chodziłoby o okres życia dwu, może trzech pokoleń. Jest to społecznie niemożliwe. Dlatego stworzenie i realizacja programów pozwalających na możliwie szybkie wyjście z kryzysu stało się najważniejszym zadaniem, decydującym o wszystkim.

Europa zachodnia, zdruzgotana całkowicie w drugiej wojnie światowej, potrafiła względnie szybko stworzyć taki program. Dał on narodom nadzieję; bardzo szybko udowodnił, że jest to nadzieja uzasadniona; po pięciu latach rozpoczął się pierwszy z serii europejskich cudów gospodarczych; po dziesięciu - piętnastu latach, w zależności od kraju - poziom życia (i stan gospodarki) był wyraźnie wyższy niż przed wojną, po dwudziestu pięciu latach uzyskano czołową pozycję w świecie. Przyczyniła się do tego niewątpliwie pomoc amerykańska, zwłaszcza w ułatwieniu startu, ale decydował własny, rozumny wysiłek.

My jesteśmy w sytuacji o tyle lepszej, że nie dławią nas bezpośrednio, materialne i demograficzne straty wojenne; o tyle gorszej, że działają hamujące, nawet blokujące systemy i układy - nie usunięte pozostałości ustroju, który wpędził nas w katastrofę. Wskazuje to kierunki niezbędnej reformy. Z tym jednak nie potrafiliśmy sobie poradzić.

Jeśli w przeciętnym ludzkim odczuciu, a także w realnych warunkach bytowania milionów rodzin jest gorzej - to mamy do czynienia ze skutkami katastrofy, do jakiej doprowadzono w PRL. Lecz także, z roku na rok w większym stopniu - z nieumiejętnością znalezienia drogi wyjścia z tragicznej sytuacji.

Przywrócenie racjonalnych i normalnych zasad ekonomiki, stosowanych w całym świecie, a więc powrót do efektywnościowej gospodarki rynkowej jest bezpośrednim i automatycznym następstwem upadku systemu totalitarnego, siłą broniącego gospodarki nakazowej. Gdy upadł przymus, nic nie wstrzymuje praw rynku. Nawet w krajach, które - jak Rosja, starają się utrzymać dotychczasowe mechanizmy i struktury przemysłowe i rolnicze.

Problemem jest wybór polityki gospodarczej (w tym reform), jaka w restytuujących się warunkach gospodarki rynkowej przyniesie szybki i wystarczający sukces. Polska poszła drogą na pozór spektakularną, głównie dzięki propagandzie zachłystującej się powtarzaniem, jakie to mamy postępy w przywracaniu kapitalizmu - ale wiodącą przez manowce. Największy błąd popełnił rząd Mazowieckiego, bezkrytycznie sięgając do programów, zapoczątkowanych przez komunistów. Mniejszą pretensję można mieć do Balcerowicza. Przez lata uczestniczył w intelektualnym poszukiwaniu dróg wyjścia dla gospodarki w politycznym systemie PRL; do wyobraźni tego inteligentnego profesora makroekonomii teoretycznej nie dotarł na czas fakt (jeśli w ogóle dotarł), że radykalnie zmieniło się środowisko polityczne - międzynarodowe, państwowe, społeczne, w jakim funkcjonuje nasza gospodarka, a po upadku systemu PRL reformy, przygotowane aby go ratować - będą tylko opóźniać, komplikować i kaleczyć niezbędne przemiany. W rządzie było jednak kilku profesjonalnych polityków, którzy powinni zdawać sobie sprawę, że wspólnie

podejmują decyzję polityczną - a nie ekonomiczną, i że w szczególności nie jest to podsumowanie dyskusji na seminarium uniwersyteckim, lecz rozstrzygnięcie o losie milionów.

Tej odpowiedzialności, nakazującej świadomie kontrolować skutki własnej działalności, zabrakło również kolejnym rządóm postsolidarnościowym. Wnosiły one wprawdzie korektury do kontynuowanej polityki gospodarczej, zwanej od zimy 1989 r. planem Balcerowicza, lecz nie przyniosło to zmian na lepsze; często na gorsze. Przekształcała się wewnętrzna proporcja tego zamierzenia, co czyniło ją tym bardziej szkodliwą.

Przygotowane pod egidą KC PZPR i zaakceptowane przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy reformy miały zaspokoić dwie nadrzędne potrzeby: znaleźć środki wystarczające na finansowanie funkcjonowania totalitarnego systemu PRL, oraz umożliwiające spłatę zadłużenia zagranicznego. Po roku 1989 r. ta druga potrzeba stawała się coraz ważniejsza i ona też była główną przyczyną domagania się przez MFW ograniczenia spożycia wewnętrznego w Polsce. Wkrótce została rozszerzona pod potężniejącym naporem zachodnich i międzynarodowych ośrodków finansowych, szukających w krajach postkomunistycznych, zaczynając od Polski, miejsca dla swej ekonomicznej ekspansji. Zamknięcie Polski przed obcym kapitałem, niewątpliwie szkodliwe, zostało zastąpione niczym nieuzasadnionym, również szkodliwym, całkowitym jej otwarciem.

Druga potrzeba - finansowanie totalitaryzmu - wydawało się, zanikła. Państwo demokratyczne dla swego funkcjonowania nie potrzebuje tylu środków. W rzeczywistości potrzeba ta została tylko przeorientowana. Najpierw zaspakajano koszt materialnej stabilizacji oddających władzę polityczną; po prostu finansowano przeobrażenie starej nomenklatury w nową klasę średnią. Później rozszerzono to na całą, pojednaną już elitę władzy oraz jej faktorów i klientów. To z tego źródła narodziła się niemała część wielkich fortun naszych czasów.

Plan Balcerowicza, doprowadzając do znacznego ograniczenia spożycia społecznego, skierował uzyskane środki w dwu kierunkach: za granicę oraz do rąk wybranej grupy krajowych biznesmenów, z których część okazała się z czasem zwykłymi aferzystami. Stąd wzięły się miliardy i biliony na tysięczne afery: spirytusową, rublową, bankową i tak dalej.

Zapewne nie byłoby to możliwe, gdyby nie przekonanie politycznych decydentów o własnej absolutnej wyższości, tak typowe dla przedstawicieli wyobcowanej, zamkniętej we własnym światku elity. Niezależnie od osobistych intencji i przekonań politycznych, rządy po 1989 r., podobnie jak wcześniejsze, chcą działać dla społeczeństwa, ale samo społeczeństwo traktują, jako czynnik raczej przeszkadzający. Niektórzy, przesadnie, określają takie zachowanie jako autorytarne³.

3 Mirosława Grabowska, socjolog z Instytutu Nauk Politycznych PAN, tak to ocenia w artykule, skądinąd broniącym linii politycznej i gospodarczej rządów postsolidarnościowych: Zdaję sobie sprawę, że jest to mocna interpretacja - już samo odwołanie się do pojęcia autorytaryzmu może budzić ostry sprzeciw. Jednak to właśnie pojęcie najtrafniej, w moim przekonaniu, ujmuje postsolidarnościowy styl rządzenia, który w najpełniejszej i najdoskonalszej formie reprezentowała rządowo-parlamentarna ekipa Tadeusza Mazowieckiego i Bronisława Geremka. "Rządzimy dla społeczeństwa, ale nie możemy rządzić z nim, bo...". Tu następowały liczne argumenty w rodzaju, że społeczeństwo niedojrzałe, interesy nie wykształcone, transformacja skomplikowana, rządzenie trudne, a "my" i tak wiemy lepiej. "Żadnych partii" - jakiś nieustrukturyzowany ruch społeczny, nad którym można by mieć intelektualną i polityczną kontrolę. "Żadnych pryncypialnych dyskusji, negocjacji, żadnego deliberowania" - nie ma na to czasu, nie ma takiej potrzeby, bo "my" i tak

Rządy autorytarne to silne rządy, co najmniej tak silne, żeby utrzymać w dyscyplinie własny aparat - i niekoniecznie muszą być aroganckie; nieraz bardzo zabiegają o sympatię i współudział społeczeństwa. Wszystkie cztery rządy postsolidarnościowe akcentowały arogancko swe poczucie wyższości, lecz być może była to tylko zasłona, skrywająca intelektualną bezradność. Stanowczością w działaniu żaden się nie wykazał.

Nie trudno zauważyć, że polityka, realizowana po 1989 r., pasowała doskonale do świadomości elity, a także rozumienia jej własnego interesu. Z jej punktu widzenia plan Balcerowicza był bardzo korzystny.

Pozytywnie należy natomiast ocenić reformy polityczne. Ze pod tym względem jest bez porównania lepiej - przeciętny człowiek nie ma wątpliwości. Zainteresowani polityką mogą wytykać: nie tak, nie w tym tempie, dlaczego nie zrobione tego i owego, np. Sejm I kadencji nie zdążył uchwalić Konstytucji. Przyznając nawet rację wszystkim tym krytykom, zgodzić się trzeba, że na lepsze zmieniło się w prawie wszystkich dziedzinach zewnętrznego życia publicznego. Ludzie wiedzą, że mają wszystkie prawa człowieka, wszystkie wolności polityczne, swobodę słowa, wiary, myśli, nauki, nauczania, twórczości literackiej i artystycznej. Gwarantowana, choć nie przez wszystkich przestrzegana jest znaczna tolerancja dla innych postaw i poglądów. Mamy prawo do bogacenia się i do ochrony uzyskanej już własności. Mamy prawo do swobodnego dysponowania własną osobą, swoim losem i mieniem. Niewiele jest takich dziedzin, w których państwo nie pozwala na coś człowiekowi, a jeśli nawet, to nie egzekwuje tego zbyt stanowczo. To prawda: żyjemy w warunkach pełnej wolności - pod niektórymi względami nawet znacznie szerszej, niż praktykowana jest w demokracjach do których tęskniliśmy przez półwiecze. Wolno nam wszystko - pod warunkiem, że nas stać, materialnie i moralnie, na skorzystanie z tej wolności. Gdybyśmy jednym zdaniem chcieli zamknąć bilans mijającego pięciolecia, trzeba powiedzieć tak: społeczeństwo jest rozgoryczone skutkami zmian gospodarczych i pogarszającym się poziomem życia, zadowolone ze zmian politycznych.

W tej sprzeczności zawarte jest wszystko.

6. Historyczny, powtarzalny błąd

Panujący w Polsce stan powszechnej wolności przypominają na każdym kroku ludzie z elit, ci rządzący przed i po 1989 r., a także dzisiaj. Uważają, że to oni właśnie dali, czy dają społeczeństwu w całości i każdemu obywatelowi oddzielnie więcej praw, niż ludzie domagali się. Chcą za to uznania i podzięk. Uważają, że wszyscy powinni być zadowoleni. Chcieli demokracji - i ją mają.

Po raz kolejny rządzący popełniają ten sam, znany z historii błąd: wciągnęli miliony w życie polityczne, pragnąc w ten sposób zapewnić sobie przywództwo nad narodem i zbudować odpowiadający im, a więc korzystny dla elit system - zupełnie nie świadomi, że samo przyznanie ludziom praw, bez zapewnienia im odczuwalnie lepszych warunków egzystencji, nie prowadzi do powszechnej akceptacji nowego porządku, a wręcz przeciwnie: może stać się źródłem masowego sprzeciwu.

wiemy lepiej. Jako okoliczność łagodzącą można tu co najwyżej przytoczyć powszechnie przyjmowane wtedy założenie, że proces transformacji dokona się szybko. Ale ta okoliczność nie stosuje się już do rządu Hanny Suchockiej. (M. Grabowska, *Demokracja: forma czy treść*, „Więź” nr 7/429, lipiec 1994, s. 10).

Pierwszy raz mogliśmy to zauważyć jesienią 1990 r., gdy ludzie przedkładali przybysza znikąd - Tymińskiego, nad Tadeusza Mazowieckiego.

Drugi raz jesienią 1993 r. gdy ci sami, którzy odrzucali komunę, akceptowali powrót jej pogrobowców.

To dopiero wstępne sygnały, pierwsze podmuchy burzy, jaka dopiero się zbiera. Dramat w Polsce - i nie tylko w Polsce, narasta tym szybciej dlatego, że ludzie obecnie mają rzeczywiście ogromnie więcej praw, ale za to znacznie mniej korzyści. Dać robotnikowi prawa wyborcze i kazać pracować za grosze lub wręcz pozbawić go pracy; zezwolić twórcom pisać, co mu się żywnie podoba, lecz nie zapewnić środków potrzebnych aby to wydrukować; pozwalać na wszystko, a nie umożliwiać niczego - oto jak rozwiera się otchłań, w którą może runąć kraj.

Tylko porozumienie rozsądnych może nas przed tym obronić.

II. Demokracja społeczna

1. Wielkość i małość

Odkłamać trzeba właściwe znaczenie słów; oto ich prawdziwa treść:

Niepodległość dzisiaj oznacza silne państwo. Demokracja oznacza rządy w interesie ogółu, sprawowane w oparciu o mandat narodu. Gospodarka rynkowa oznacza przyspieszony rozwój gospodarczy, którego głównym wyrazem jest wzrost zamożności ludzi. Polityka oznacza uczciwe i rozsądne starania o wspólne dobro. Miłość ojczyzny, honor, wierność, ofiarność, odwaga są wartościami, których najbardziej Polsce potrzeba.

Nie skończył się jeszcze czas walki, a zaczął się już czas budowania. Taki właśnie program potrzebny jest Polsce. Walka jeszcze trwa, przeciwnik ma przetrącony kręgosłup, ale pozostały mu silne zęby. Nowe niebezpieczeństwa czają się za progiem. Nie przerywając walki, trzeba brać się za budowanie. Krzywo coś zaczęto stawiać fundamenty Trzeciej Rzeczypospolitej i nie usunięto śmieci. Trzeba to poprawić i zabrać się do prawdziwej roboty. Czas nagli, konieczny jest nowy dom, nowy porządek u nas - i w naszej części Europy. Czekają nas zadania na miarę naszych potrzeb i marzeń, siłę do tego musimy znaleźć w sobie.

Polska, Międzymorze, Europa nie odrodzą się w krok kielbasianych programów. Zewsząd wciskają nam lichotę. Małość skrzeczy za każdym rogiem. Niektórzy chcą budować na własny wymiar, a duchem nie odrośli jeszcze od ziemi. Innym wystarczy, jeśli urwą coś dla siebie. - Dość tego. Polakom potrzeba wielkich celów, wielkich czynów.

Raz jeszcze, jak wielokroć w naszej historii, małość karłów i wielkość celów zderzają się z sobą. Polska skazana jest na wielkość - ta myśl Piłsudskiego, zawsze prawdziwa, dziś jest tym bardziej aktualna. Alternatywę stanowić może tylko nędza upadku.

Czy nie potrafimy być wielcy?

Wielu to jeszcze pamięta. Upalny Sierpień `80, gorący rok `81. Na oczach zdumionego świata, przerażonej Moskwy, sparaliżowanego Ost-Berlina - Polacy powstali i zadali śmiertelny cios potędze, której nikt, najpotężniejsze mocarstwa Zachodu i Wschodu nie ośmieliły się rzucić otwartego wyzwania, a tym bardziej czynnie stawić czoła. W słonecznym czerwcu `89 dokonaliśmy tego, co najwybitniejsi męzowie stanu i najmędrsi politolodzy Zachodu, a także najwięksi dysydenci

Wschodu przez dziesięciolecia uważali za absolutnie niemożliwe: kartką wyborczą obaliliśmy zbrodniczy i bezwzględny totalitaryzm. Polska rewolucja bez rewolucji wstrząsnęła światem, zdruzgotała łagier obejmujący połowę Europy - i, na dokładkę, trzecią część Azji, zatrzymała gotową do uderzenia na zachód największą agresywną siłę, jaką Rosja stworzyła od czasu zwycięstwa nad Napoleonem. Zniszczyliśmy sowiecki model komunizmu - wszędzie, w Niemczech, we Włoszech, we Francji i w samej Rosji. Echo polskiego działania było tak silne, że zrzuciło sierp i młot z kremlowskiej wieży, wzniciło płomienie i gęsty, czarny dym nad gmachem byłej Rady Najwyższej byłego ZSRR. Widzieliśmy to wszyscy.

Burzyliśmy - i tworzyliśmy. To Polska dała zjednoczenie Niemcom i bezpieczeństwo zachodniej Europie, przesądziła o wolności bliższych nam i dalszych narodów, otworzyła szansę dla demokracji w Rosji, pozwoliła Zachodowi oszczędzać corocznie na zbrojeniach dziesiątki miliardów dolarów.

Potrafililiśmy stać się wystarczająco silni, aby poruszyć z posad bryłę świata - zaś dalej już poszło rozpędem.

Czy nie jesteśmy mali?

Zatrzymaliśmy się w pół drogi. Po raz któryś w historii - innym tak, tylko sobie nie potrafililiśmy zapewnić owoców zwycięstwa. Nawet przestajemy wierzyć, że można zwyciężać. Dziś żebrzemy, przynajmniej niektórzy z nas, o łaskawe przyjęcie do NATO, wystraszeni pohukiwaniami przegranych i rozbitych. Cieszymy się, gdy nam rozkładają na raty spłatę pieniędzy, pożyczonych komunistom na stabilizację totalitarnego systemu. Tylko dla młodzieży brakuje pieniędzy, i dla emerytów, dla bezrobotnych i pracujących. Szczyt możliwości: strategia dla Polski, obiecująca że da się ustabilizować polską biedę, a przynajmniej nie wiele się pogorszy. Ludzie, miliony szarych ludzi, którzy dali Polsce siłę i zwycięstwo, dziś bici są w twarz. Nikomu nie był potrzebny ich entuzjazm i zaufanie, wystarczające aby mądre rządy mogły doprowadzić do największych celów; teraz ma się do nich tylko pretensję, że zawiedli - bo nie poszli głosować, albo głosowali nie tak, jak powinni.

Wyrывая się z tej małości, będąc świadomym ogromu siły jaka uwięziona jest w narodzie, trzeba pobudzić energię społeczną do spełnienia wielkich programów: budowy sprawnego i sprawiedliwego państwa, przyśpieszonego rozwoju gospodarki, wzrostu zamożności ludzi, integracji Międzymorza. Jest nas wystarczająco dużo, samych Polaków 40 milionów, wraz z bliskimi sąsiadami, złączonymi z nami geografiami i historią - ponad 100 milionów, a z trochę dalszymi - dobre 200 milionów. Dysponujemy znacznymi zasobami, niezłe rozwiniętą gospodarką, mało komu ustępującym potencjałem duchowym, wielkim pragnieniem demokracji i sprawiedliwości. Wystarczy, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo i mieć solidną podstawę do szybkiego rozwoju. Jesteśmy w stanie przeprowadzić udany pościg za bogatszymi krajami zachodniej Europy; ich poziom zamożności i cywilizacji możemy osiągnąć w łatwo wyliczalnym terminie - nie dłuższym, niż ludzi w średnim wieku dzieli dziś od emerytury. Światowy poziom kultury, nauki uzyskamy wcześniej. Wszystko to jest w zasięgu naszych możliwości. Trzeba tylko chcieć; trzeba mieć dalekosiężny program i wolę jego realizacji.

Małowierni, lub służący innym interesom - uznają to za nieosiągalne, oczywiście. Dowiedli zresztą czynem, że wszystko, co wyrasta ponad ich miarę - jest dla nich rzeczywiście nie do osiągnięcia. Lecz nam potrzebny jest program nie dla

karłów - lecz dla Polski. Tylko taki - wielki, jest wykonalny, bo tylko wielkość poruszy Polaków.

2. Państwo demokratyczne: silne i funkcjonalne.

Pierwszym zadaniem, od którego wszystko zależy, jest budowa własnego, niepodległego, demokratycznego, silnego państwa. To jest rama, niezbędna aby można budować życie wspólne. Współczesny świat zbudowany jest z państw; nawet jeśli integrują się z innymi, nie jest to rezygnacja z państwowości, lecz budowa większego państwa. Musi być tylko utrzymana odrębna tożsamość. Państwo nie łączy przypadkowych ludzi na dowolnym obszarze, lecz wyrasta z terytorialno-narodowej wspólnoty, świadomej swej odrębności, zdolnej do wspólnego artykułowania zbiorowych potrzeb i aspiracji. Nie znamy innej struktury, w ramach której można by skutecznie rozwiązywać wszystkie problemy publiczne, a więc dotyczące każdego z nas - jako odrębnej jednostki i jako członka konkretnego społeczeństwa. Będąc polityczną wspólnotą obywateli, państwo powołane jest do obrony ich zbiorowych - narodowych, społecznych, grupowych - oraz indywidualnych interesów; do inicjowania, organizowania i prowadzenia wspólnych działań; do reprezentowania we wspólnocie międzynarodowej. Jeśli państwo funkcjonuje źle - źle zaczyna się dziać we wszystkich dziedzinach. Dobrze funkcjonujące państwo, skutecznie działająca władza są niezbędne dla należytego ułożenia indywidualnej i zbiorowej egzystencji obywateli.

Skoro państwo ma służyć obywatelom, to oni powinni określać, jak to czynić powinno. Demokracja nie jest celem samym w sobie, ani żadną wartością nadrzędną, której należałoby podporządkować inne. To tylko sposób sprawowania władzy. Lepszy od innych, bo umacniający wspólnotowy charakter państwa i służebne funkcje władzy. Wielką groźbą jest rozdarcie między państwem a społeczeństwem: machina państwowa, władza zaczynają zdążać do swych własnych celów, sprzecznych z interesami, aspiracjami, rozwojem narodu - czyli ogółu obywateli. W ustroju demokratycznym takie zagrożenie jest mniejsze niż w innych, a gdy rozdarcie się pojawia, łatwiej go usunąć.

Demokrację można rozumieć dwojako. Jest to system funkcjonowania państwa, oparty o sformalizowane procedury, przewidujący, że obywatele - i tylko obywatele, a nie ktokolwiek inny - w przewidziany sposób powołują, nadzorują i zmieniają (odwołują) władze. Sprowadzić to można do mandatu zaufania, ograniczonego rzeczowo i czasowo, udzielanego wybranym osobom przez społeczeństwo, tak aby rządziły w jego imieniu. Zasadę powyższą można realizować różnymi sposobami, dlatego w historii i współcześnie występuje bardzo wiele odmian demokracji. Najogólniej można je podzielić na takie, które mandatu zaufania udzielają konkretnym osobom i takie, które przekazują władzę grupom; często występują systemy mieszane. Niezależnie od różnic, wszystkie one oparte są o wyraźnie określone reguły; przestrzeganie tych reguł - zasad gry - utożsamia się z demokracją.

Demokracja jest to jednak również ustrój państwowy, wynikający z suwerenności narodu - i wymagający, aby polityka państwa była prowadzona zgodnie z wolą i interesem społeczeństwa, a więc miała na celu wspólne dobro, tak jak rozumie je większość. Powszechne zadowolenie, a przynajmniej zadowolenie większości - społeczna akceptacja - utożsamia się z demokracją. Kryzys demokracji pojawia się wtedy, gdy jedno z tych dwu jej rozumień: przez formę, lub przez treść - zaczyna zdecydowanie przeważać nad drugim. W pierwszym

przypadku mamy do czynienia z demokracją formalną; machina państwowa zaczyna funkcjonować w próżni społecznej i na jałowym biegu, bo zatraciła sens swojego istnienia. W drugim przypadku mamy do czynienia z anarchizacją demokracji; przestają działać jej mechanizmy, a posunięcia władzy mają na celu co najwyżej tylko uzyskiwanie natychmiastowego poklasku społecznego, a ściślej - poklasku tych grup, które najgłośniej domagają się swego.

Wraz ze swoim przywróceniem, demokracja w Polsce znalazła się w ciężkim kryzysie. Opisałem to w poprzedniej części tej książki. Przyczyna jest jasna: od samego początku jest to tylko demokracja formalna. Można powiedzieć: demokracja bez demokracji, ograniczona do formy, pozbawiona treści. Można też powiedzieć: demokracja przeciw demokracji - bo demokratyczne reguły gry wykorzystywane są przeciwko woli i pragnieniom większej części społeczeństwa, a najważniejsze decyzje, stanowiące o losie wspólnym, zapadają w anonimowych gremiach, poza powołanymi w tym celu instancjami demokratycznymi, sekretnie. Uzupełnia to okresowo druga skrajność: gotowość do anarchizacji życia państwowego, aby zaspokoić jakieś partykularne interesy, albo zyskać chwilowy poklask społeczny, na który sprawujący rządy będą mogli powoływać się. Taki stan rzeczy jest bez wątpienia rezultatem alienacji władzy, ale też tę alienację powiększa; sprzężenie zwrotne, od którego ani zmiana rządów, ani nawet zmiana ustroju nie zdołały nas uwolnić.

Pierwsza rzecz, której Polska potrzebuje - to państwo demokratyczne. Oparte o jasne mechanizmy funkcjonowania, przestrzegające wszystkich zasad gry i wypełniające wolę powszechną, tak jak została wyrażona w udzielonym mandacie zaufania.

Demokracja społeczna, jakiej domagamy się, najpełniej łączy w sobie formę i treść. Państwo funkcjonuje w interesie społeczeństwa, naród realizuje swoją suwerenność przez ustanowione instytucje, zachowując przyjęte zasady działania, adekwatne do warunków czasu i potrzeb wspólnych. Jest to demokracja konkretna, wynikająca nie tyle z ogólnych zasad i teorii akademickich, ile z rzeczywistych i aktualnych warunków społecznych. Stawia sobie nieprzerwanie za cel rozwiązywanie problemów, w miarę jak się pojawiają. Zapewnia zgodność polityki państwowej z wolą i potrzebami obywateli oraz umożliwia rządowi, aby konsekwentnie wykonywał długo- i krótkofalowe programy, raz zaakceptowane przez większość. Umacnia wspólnotowość państwa, rozwijając wielorakie więzy, przenoszące sygnały w obie strony i pozwalające na szybkie korektury wzajemnego postępowania. Oparta jest o jasną odpowiedzialność konkretnych ludzi, szukających własnych, optymalnych rozwiązań, a nie mechanistycznie wyciągających średnią statystyczną między poglądami najmądrzejszych i najgłupszych. Zawiera w sobie mechanizmy samoregulujące działanie całego systemu oraz uniemożliwiające, aby wyobcował się z rzeczywistości społecznej.

Główną trudnością, jak zresztą w każdej formie demokracji, jest właściwy wybór ludzi i ugrupowań, którym obywatele powierzą mandat zaufania. Demokracja działa dobrze tylko wtedy, gdy wyborcy potrafią wybierać. Jest to umiejętność, której nabycie wymaga czasu. We współczesnej Polsce uczymy się tego bardzo szybko, bo na własnej skórze. W ostatnich pięciu latach ludzie czterokrotnie wybierali władze najwyższe Rzeczypospolitej; jeśli za każdym razem większość głosujących uznała po niezbyt długim czasie swój wybór za pomyłkę, jest to przyspieszony, choć bolesny,

kurs praktycznego posługiwania się demokracją. Wiele wskazuje, że nauka nie poszła w las.

Niezadowolające wyniki wyborów spowodowane zostały w znacznym stopniu tym, że większość ugrupowań politycznych nadal uprawia znaną z okresu komunistycznego praktykę: co innego myślą, co innego mówią, co innego czynią. Jest to nawyk, od którego zwłaszcza starsi członkowie elity nie potrafią się uwolnić; przyzwyczajenie stało się drugą naturą. Komitet Obywatelski w 1989 r., jak pisałem wyżej, natychmiast zapomniał o solidarnościowym programie z którym szedł do wyborów i po przejęciu władzy przystąpił do realizacji tego samego programu społeczno-gospodarczego, jaki poprzednio głośno krytykował. Sojusz Lewicy Demokratycznej w 1993 r. zapowiadał konieczność całkowitej zmiany polityki społeczno-gospodarczej, a po przejęciu władzy z pełnym zapałem kontynuuje politykę rządu Suchockiej, którą tak ostro potępiał. Porozumienie "Centrum" w 1991 r. głosiło, że jest partią prezydencką, aby po wygraniu wyborów ujawnić, że przede wszystkim zwalcza Prezydenta. Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe zapewniało, że jest polityczną alternatywą wobec Unii Demokratycznej - aż do momentu, kiedy wspólnie z UD utworzyło rząd. Doszło do tego, że ugrupowania, które nie chcąc odstąpić od programu, jaki głosiły w kampanii wyborczej, odmawiały uczestnictwa w koalicji - potępiane są jako niekonstruktywne, nie nadające się do współpracy, skazane na samotność.

Brak wiarygodności licznych partii i głoszonych przez nie programów jest istotną przeszkodą, utrudniającą społeczeństwu skuteczne posługiwanie się instrumentami demokracji. Co gorsza, powstaje wrażenie, że wszyscy są niewiarygodni, bo nikt nie dotrzyma obietnic wyborczych. To oczywista nieprawda. Dlatego warto, aby któryś z naszych instytutów naukowych przedstawił i porównał programy, jakie reprezentowali w ostatnich 15 latach poszczególni politycy i ugrupowania polityczne, względnie - rządząc - wprowadzali w życie. Zalecam to - nie tylko dlatego, że jestem jednym z nielicznych polityków, który przez cały ten okres głosił to samo, a KPN nieprzerwanie propagowała ten sam program.

Wyniki dotychczasowych wyborów w poważnej mierze przesądzone zostały przez manipulację jakiej dopuszczali się dysponenti głównych środków masowego przekazu. W wyborach prezydenckich 1990 r. rządowa telewizja na siłę wylansowała Stana Tymińskiego. Plan był jasny: Tymiński miał odebrać Wałęsie głosy i uniemożliwić wygranie wyborów w I turze; dawało to Mazowieckiemu szansę na pokonanie w II turze Wałęsy. Manipulacja powiodła się nadspodziewanie: nie tylko Wałęsa stracił głosy, ale Mazowiecki został wyeliminowany. W wyborach 1993 r. manipulacja polegała przede wszystkim na tym, że środki masowego przekazu wstrzymały się od należytego wyjaśnienia wyborcom, jak w praktyce działa nowa ordynacja wyborcza i jak należy posługiwać się kartką wyborczą, aby nie zmarnować głosu. Przeciwnie: stwarzano wrażenie, że zasady gry są takie, jak w 1991 r. W następstwie trzecia część wszystkich ważnie oddanych głosów nie dała ani jednego mandatu poselskiego; zważywszy, że większość tych głosów padła na listy prawicowe (a większość głosów prawicowych padła na partie, które nie miały szansy wejścia do Sejmu), zapewnione zostało zwycięstwo lewicy. Skutkiem manipulacji, niezamierzonym zapewne, jak i w wypadku Tymińskiego, stało się że SLD, na który padło 20,4 % ważnych głosów - uzyskało cztery razy więcej mandatów, niż ugrupowania centroprawicowe, na które padło 34,3% ważnych głosów (do Sejmu

weszły tylko KPN i BBWR). Dla porównania dodajmy, że dominująca w rządzie podczas kampanii wyborczej tzw. mała koalicja UD-KLD zdobyła tylko 14,6% ważnych głosów, co jej i tak pozwoliło uzyskać o połowę więcej mandatów, niż partiom centroprawicowym. Innym przejawem manipulacji było sprzeczne z ordynacją wyborczą systematyczne i totalne przemilczanie niektórych stronnictw w programach informacyjnych telewizji; dotyczyło to zwłaszcza KPN i PSL. W efekcie PSL, mimo iż dysponowało całym elektoratem wiejskim, dość nieczułym na praktyki telewizyjne - zostało prześcignięte przez SLD, a KPN wprowadziło posłów do parlamentu tylko dlatego, że w kampanii wyborczej konfederaci dotarli bezpośrednio do 6 milionów rodzin. Tak wielka aktywność w kampanii wyborczej, gdyby została uzupełniona równym dostępem do środków masowego przekazu, spowodowałaby zapewne, że już w 1993 r. KPN wygrałaby wybory. Ale co się odwlecze, nie uciecze.

Dość prymitywne metody manipulacji wyczerpują się wyraźnie. Partie, które po wyborach zapominają co zapowiadały przed nimi - tracą wiarygodność. Rozpoczął się proces samoeliminacji ugrupowań, które oszukują wyborców. Maleje polityczna wiarygodność środków masowego przekazu, zwłaszcza telewizji; jeśli rzeczywiście dojdzie do rzeczywistego pluralizmu mas mediów, manipulacje będą bardziej utrudnione. Na razie obserwujemy brutalną walkę o koncesje TV. Dążeniom do monopolizacji środków ułatwiających manipulację towarzyszy jednak systematyczna utrata wiarygodności polityków i ugrupowań manipulatorskich. Możemy mieć nadzieję, że z czasem mechanizm wyłaniania władzy stanie się rzeczywiście, a nie tylko formalnie demokratyczny. W poważnym stopniu zależy to od naszej aktywności.

Przyśpieszonej nauce posługiwania się mechanizmami demokratycznymi towarzyszy jednak coraz silniejsze rozczarowanie demokracją. Ludzie tracą wiarę, że rzeczywiście mają na cokolwiek wpływ. Czują się oszukani, a równocześnie coraz bardziej bezradni. Do wyborów samorządowych poszła ledwo trzecia część uprawnionych. Ci, którzy pragnęli coś zmienić, doznali porażki; w ogromnej większości gmin wygrali ci, którzy dominowali w radach przed wyborami; zwyciężali burmistrzowie, przed wyborami powszechnie krytykowani za nieudolność a nawet nieuczciwość. U tych, którzy do wyborów nie poszli, umacnia to przekonanie, że zrobili dobrze, bo uczestnictwo w wyborach pozbawione jest sensu.

Bez rzeczywistego rozstrzygnięcia społecznego, a więc realnej możliwości wyboru tych, których prawdziwy program odpowiada większości wyborców, oraz wyłonienia władzy posiadającej trwale zaufanie obywateli - nie ma demokracji. Jest tylko jej pozór. Uniemożliwia to skuteczne funkcjonowanie państwa. Taka pozorowana demokracja oznacza w istocie chaos polityczny, wydzieranie sobie władzy przez zawodowe biurokracje partyjne, ciągłe zmiany rządów bez zmiany polityki - bo nikomu z rządzących nie jest to w głowie, skoro gros energii poświęca na rozgrywki politykierskie i obronę partykularnych interesów. Taki system nazwano w Polsce sejmokracją; przeżywaliśmy to w latach 1923-26. Podobnie było we Francji przed rokiem 1958, podobnie do niedawna we Włoszech. U nas obecnie takie bezhołowie występuje znacznie silniej, niż we wskazanych przykładach. Daje to niektórym asumpt do kasandrycznych obaw: coraz częściej wyrażany jest niepokój, że niezadowolone z demokratycznego systemu społeczeństwo udzieli poparcia jakiemuś awanturniczemu przywódcy, który wykorzysta to do wprowadzenia dyktatury. Padają tutaj przykłady Hitlera, Mussoliniego czy generała Franco - wrzucanych zresztą do jednego worka. Autorzy podobnych ponurych zapowiedzi nie wiedzą, czy nie chcą wiedzieć, że w

powołanych przez nich przypadkach źródła i charakter przewrotu były zupełnie inne. Skoro boją się jednak takiego niebezpieczeństwa - to czemu nie chcą mu zapobiec, zrywając z demokracją koleżków i przestając blokować zaprowadzenie rzeczywistej demokracji społecznej w Polsce?

Tak bowiem, czy inaczej - Polska od demokracji odepchnąć się nie da. Pytanie tylko, czy zostanie ona ostatecznie osiągnięta przy pomocy konwencjonalnych, demokratycznych mechanizmów? A więc głównie kartką wyborczą - co możliwe będzie tylko wtedy, jeśli zaprzestane zostaną przemożne praktyki manipulacyjne, a nad jazgot partyjniackich swarów wybije się świadomość niezbędności demokracji. Czy na drodze rewolucji demokratycznej? - Ostatniego narzędzia, po jakie może sięgnąć społeczeństwo, pragnące demokracji i świadome jej potrzeby. Tą drogą poszła Polska w 1926 r. i Francja w 1958 r. Józef Piłsudski i Charles de Gaulle uczynili to, do czego była niezdolna cała plejada nierozumnych, często niemoralnych polityków: zaprowadzili i utrwalili demokratyczny system rządzenia w oparciu o mandat społeczny i zgodnie ze społecznym interesem. Uczynili to, sięgając do rozwiązań nadzwyczajnych. Takich samych, jakie przewiduje konstytucja amerykańska, gdyby demokracja została zagrożona. A demokracja w Polsce jest zagrożona coraz bardziej.

3. Porządek konstytucyjny i porządek w państwie

Powtórzmy: demokracja polega na tym, że społeczeństwo powołuje władzę, ta zaś ma całkowitą możliwość rządzenia w granicach udzielonego mandatu: merytorycznych (zaakceptowany w wyborach program) i czasowych (długość kadencji). Możliwość rządzenia - to silna władza, zdolna do kierowania państwem i wykonania zobowiązania wobec obywateli, to znaczy realizacji programu.

W Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego leży sześć czy siedem różnych projektów Konstytucji RP. Wszystkie one, poza projektem Konfederacji Polski Niepodległej, są bardzo podobne. Przede wszystkim dlatego, że proponują powołanie słabej władzy o podzielonej i zagmatwanej odpowiedzialności.

Kluczową pozycję we wszystkich tych projektach odgrywa parlament. Wypełnia on dwa podstawowe zadania: stanowi prawo oraz powołuje, a przynajmniej akceptuje (w projekcie belwederskim) władzę wykonawczą - rząd, oraz kontroluje jego działalność. Połączenie w jednym organie tak zasadniczych i różnych w charakterze funkcji powoduje, że żadnej z nich parlament nie jest w stanie wykonywać należycie. Powoływanie i utrzymywanie rządu wymaga istnienia trwałej większości parlamentarnej. Dążenie do stworzenia i utrzymania wystarczająco silnej koalicji rządowej staje się osią wokół której obraca się cała aktywność parlamentu. Problemy skupienia w jednej koalicji licznych partii i partyjek oraz ich frakcji, skrzydeł i grup interesów przypominają nieraz rozwiązywanie kwadratury koła. Zajęty tym nieprzerwanie parlament nie ma czasu na tworzenie projektów ustaw. Wyręcza go rząd, który - aby rządzić, potrzebuje coraz to nowych ustaw, lub zmian w istniejących; władza wykonawcza przesądza w ten sposób o toku prac ustawodawczej. Projekty rządowe poddawane zostają obróbce legislacyjnej, względnie długotrwałej (trzy czytania, długa praca w komisjach itd.). Jeśli rząd prześle dużo projektów, a wszystkie są pilne, parlament nie ma już czasu na wypełnianie funkcji nadzoru konstytucyjnego nad władzą wykonawczą; rząd przestaje być kontrolowany. Jeśli ustawy są kontrowersyjne (np. sprawa aborcji), dzielą koalicję rządową, co grozi upadkiem rządu (większość rządowa musi być równocześnie większością dla uchwalenia każdej

ustawy). W sumie żadnej ze swych funkcji parlament nie jest w stanie należycie wykonać.

Jest słaby jako władza ustawodawcza; jest słaby jako organ powołujący (lub akceptujący) rząd; jest słaby jako organ nadzorujący władzę wykonawczą. W niektórych projektach konstytucji przewidziano parlament dwuizbowy, przy czym druga izba (Senat) dubluje pracę ustawodawczą pierwszej izby; każda ustawa, uchwalona w pierwszej izbie, rozpatrywana i uchwalana jest również w drugiej izbie. Komplikuje i przedłuża to pracę parlamentu i powoduje, że w wykonywaniu swoich funkcji staje się on jeszcze słabszy.

Obok słabego parlamentu, wszystkie projekty konstytucji - znów poza projektem KPN - przewidują słabą władzę wykonawczą. Spoczywa ona w rękach rządu. Rada Ministrów powoływana jest, względnie akceptowana przez parlament (w projekcie belwederskim premiera powołuje Prezydent, ale w każdej chwili może go odwołać Sejm) - a jej los zależy wyłącznie od istnienia większości parlamentarnej. Dlatego zwłaszcza w trudnych sytuacjach, kiedy rząd powinien mieć zapewnioną pełną stabilność - jest najbardziej zagrożony, bo właśnie wtedy koalicje najłatwiej się dzielą. We wszystkich projektach konstytucji Prezydent ma kompetencje bardzo ograniczone. Jeszcze największe w projekcie belwederskim: powołuje Premiera, a na jego wniosek ministrów, lecz rząd jest w swej działalności i decyzjach całkowicie od Prezydenta (ale nie od Sejmu) niezależny. Najmniejsze w projekcie SLD: Prezydentowi wolno przecinać wstęgi na wystawach, jeśli nie sprzeciwi się temu odpowiedni minister. Słaby rząd i słaby prezydent powodują, że władza wykonawcza nie jest zdolna ani do długofalowego, ani do zdecydowanego działania.

Główną celem, wspólnym dla wszystkich tych projektów konstytucji, jest stworzenie systemu, w którym słabe władze o niejasnych podziałach kompetencji będą w stanie nawzajem się hamować. Lepiej bowiem, żeby nic nie robiły - jest to główna troska projektów - niż gdyby miało zabraknąć mechanizmu, wstrzymującego lub rozmywającego ich aktywność.

Projekt Konfederacji jest diametralnie przeciwny. Przewiduje on silną władzę ustawodawczą i silną władzę wykonawczą, o jasnej i wyraźnej odpowiedzialności i wystarczająco rozległych kompetencjach.

Przewidujemy, że na czele państwa stoi Sejm, złożony z trzech członów - stanów sejmowych: Prezydenta, Izby Poselskiej, Senatu. Prezydent, wybierany w wyborach powszechnych, dysponuje całością władzy wykonawczej, którą wykonuje przy pomocy zależnego od niego rządu; Izba Poselska, wybrana w systemie proporcjonalnym, zajmuje się wyłącznie ustawodawstwem; Senat, wybrany w systemie większościowym, zajmuje się wyłącznie nadzorem nad działalnością rządu, ale ani go nie powołuje ani odwołuje. Kompetencje wszystkich trzech członów są jasne, nie krzyżują się: każdy w swoim zakresie dysponuje pełnią władzy, a więc jest bardzo silny. Niezbędna koordynacja i rozstrzygnięcie kluczowych kwestii dotyczących państwa dokonywana jest w ramach całego Sejmu. Siłę poszczególnych członów tej zintegrowanej władzy umacniają jeszcze stałe terminy wyborów. W Izbie Poselskiej może tworzyć się inna większość przy każdej ustawie. W Senacie większość wpływa na korekturę linii politycznej rządu. Prezydent może powołać rząd na całą kadencję i nie groźne są mu zmiany większości. Senat, zajmujący się wyłącznie nadzorem (każdy senator i każda komisja mają własne działki podlegające codziennej kontroli),

drobiazgowo obserwuje pracę wszystkich agend rządowych, alarmując i domagając się zmiany, skoro tylko dostrzeże jakiegokolwiek nieprawidłowości.

Zapewne do wiosny przyszłego roku Zgromadzenie Konstytucyjne wybierze projekt nowej Konstytucji i przedstawi go społeczeństwu, aby ostatecznie zdecydowało w referendum powszechnym. Polacy rozstrzygną, jaką chcą mieć władzę: słabą czy silną.

Opowiada się często, że w państwie demokratycznym musi być słaba władza. To wierutna bzdura. W Stanach Zjednoczonych władza jest bardzo silna, a nikt nie zaprzeczy, że jest to kraj demokratyczny. W Związku Radzieckim pod koniec rządów Gorbaczowa władza była bardzo słaba, lecz nikt nie uważał Sowieców za kraj demokratyczny. Francja przed rokiem 1958 miała słabe rządy, po nim - silne. Demokracja z tego powodu nie ucierpiała, wręcz przeciwnie - uległa wzmocnieniu. Nasza Konstytucja 3 Maja ogromnie umocniła władzę wykonawczą, a powszechnie jest uważana za symbol wolności i demokracji.

Trzeba raczej zadać pytanie: w czym interesie jest, aby władza państwowa była słaba? Odpowiedź nie jest trudna. W interesie tych wszystkich, którzy mogą wyrzucić nacisk na organa państwowe, aby podejmowały wygodne im decyzje.

Zacznijmy jednak od wyjaśnienia, kto tego nacisku wyrzucić nie może. Oczywiście: zwykły obywatel. Wprawdzie raz na parę lat, uczestnicząc w wyborach, decyduje o wszystkim, ale wpływu na zachowanie się swoich wybrańców już nie ma. Przykładowo, wyborcy którzy oddali głosy na ZChN, bo nie chcieli aby rządziła UD - nie byli w stanie sprzeciwić się, gdy dzięki pomocy ZChN rząd został stworzony przez UD. Tym bardziej szary człowiek nie ma wpływu na zachowanie się władzy. Wszyscy obserwować możemy wielotysięczne manifestacje, kierujące się pod Belweder, Sejm, Urząd Rady Ministrów, poszczególne ministerstwa; jak na razie żadna nie przyniosła zmiany, jakiej protestujący się domagali. A przecież manifestacje te nie były organizowane przez szarych ludzi; oni tylko w nich uczestniczyli. Przeciętny obywatel nie ma nawet takim możliwości.

Słabość władzy nie oznacza wcale, że rząd jest słaby wobec społeczeństwa. Przeciwnie. Najsłabszy rząd jest wystarczająco silny dla zwykłego, uczciwego i przestrzegającego prawa obywatela.

Ze słabości władzy korzystają natomiast niektórzy obywatele - można powiedzieć: nie zwykli, nie zawsze uczciwi i nie w pełni przestrzegający prawa. Nad słabym rządem ustawiają się potężne partie polityczne, dyktujące mu wszystkie decyzje. Słabość rządu wykorzystują silne ośrodki finansowe, narzucające korzystne dla siebie rozwiązania i czerpiące kosztem państwa krociowe zyski. Gdy rząd jest słaby, silni stają się jego urzędnicy; przestają wykonywać decyzje rządowe, prowadzą własną, wygodną dla siebie politykę albo zamieniają urzędy w dostatnie synekury; aparat państwowy przestaje działać w interesie społeczeństwa. Słabość rządu i jego agend pozwala na bezkarność przestępców, tworzy najlepsze warunki dla rozkwitu zorganizowanej zbrodni, mafii i afer. Wszystko to razem powoduje, że słaba władza musi się skorumpować, a jej degeneracja powoduje, że największym zagrożeniem dla rządu stają się własni obywatele, którzy mogą domagać się zmian; samoobrona rządzących, często przed pociągnięciem do odpowiedzialności i więzieniem - wymaga odejścia od demokracji, co najwyżej przy zachowaniu jej pozorów.

Dodajmy do tego jeszcze wielkie polskie doświadczenie historyczne: słaba władza w Rzeczypospolitej była zawsze w interesie obcych mocarstw. Podręczniki

historii szczegółowo obrazują, ile wysiłku wkładano, aby niedopuszczyć do stworzenia silnej władzy w Polsce. Czy coś się pod tym względem zmieniło?

Słaba władza zawsze doprowadza do kompromitacji i upadku demokracji oraz musi być szkodliwa dla narodu; silna władza jest korzystna dla państwa oraz może być korzystna dla narodu, jeśli tylko przestrzegane będą wszystkie zasady demokracji. Demokracja społeczna, w równej mierze oparta na wolnościach obywatelskich jak silnej władzy państwowej, zapewnia że Rzeczpospolita istnieć i działać będzie w wyłącznym interesie swych obywateli.

Porządek konstytucyjny to jedno, a praktyka sprawowania władzy to drugie. Nie wystarczy, aby Polacy w referendum odrzucili projekty, pragnące osłabić władzę państwową i Rzeczpospolitą oraz doprowadzili do uchwalenia konstytucji zapewniającej silną władzę w interesie obywateli. To dopiero krok wstępnym.

Polska tonie w bezhołowności, anarchii, korupcji. W tempie przerażającym rozszerza się przestępczość. Niektórzy zwracają uwagę, że najgorsze nas czeka, gdy rodzime mafie, takie jak pruszkowska czy wołomińska, zostaną wyparte i zastąpione przez mafie ze wschodu; pojawiają się informacje o obecności mafii włoskiej czy z narkotykowych krajów Ameryki Łacińskiej. Z drugiej strony, na co opinia publiczna mniej zwraca uwagi, istnieją już możliwe porozumienia aferowe, których główne ośrodki dyspozycyjne znajdują się na zachodzie. Chwilami tak wygląda, jakbyśmy wpadali w łapy nie tyle obcych mocarstw, co zagranicznych przestępców. Publicznie się dyskutuje, czy jakiś bank lub sieć telewizyjna są pod kontrolą mafii - i nikt się nie dziwi specjalnie, że społeczeństwo nie dostaje wiarygodnej odpowiedzi na to pytanie. Niezależnie od zbrodni zorganizowanej, szeroko rozlewa się przestępczość bałaganiarska; zdemoralizowani urzędnicy czy funkcjonariusze państwowi (także samorządowi!), za wykonanie każdej czynności domagający się łapówki, drobni złodziejaszkowie, domorośli szantażyści, bandziory łasczące się na torebkę damską i właściciele firm turystycznych, inkasujący pieniądze na własny wyjazd za granicę, czy cwaniacy, zakładający spółki tylko po to, aby oszukać współników.

To przestępczość. Nie mniej szkodliwy społecznie staje się rozkład władzy. Urzędy, których jedynym wysiłkiem jest stwarzanie pozorów, że coś robią; instytucje niezdolne do rozwiązania jakiegokolwiek problemu; placówki, które posiadają środki wyłącznie na własne utrzymanie - i choćby chciały, nie są w stanie cokolwiek uczynić; olbrzymi aparat biurokratyczny, który podtrzymuje swoje istnienie, ale niewiele jest w stanie uczynić. I, prawdę mówiąc, nie bardzo wie, co powinien robić.

Przykładów, jak Rzeczpospolita pogrąża się w anarchii i bezprawiu, można mnożyć wiele. Każdy w tym miejscu sam może je sobie dopisać. Skoro stan rzeczy jest tak powszechnie znany, to dlaczego nikt nie podejmuje rzeczywistych działań zaradczych? Rzeczywistych, bo okresowe demaskacje niektórych afer czy przestępczych powiązań służą jedynie celom politycznym: kompromitacji przeciwnika czy osoby komuś niewygodnej. Odkładając do innego razu głębsze i bardziej konkretne wyjaśnienie przyczyn tego zjawiska, ograniczę się do jednego: brakuje woli politycznej, aby zaprowadzić w Polsce porządek. Wszystkie bez wyjątku rządy Trzeciej Rzeczypospolitej łączy ten sam brak chęci do podjęcia jakichkolwiek skutecznych działań, wymierzonych w bezhołowność i bezprawie; raczej przeciwnie, bo mamy do czynienia z co najmniej bierną akceptacją stanu anarchii i bezkarności.

Konieczna jest Polsce nie tylko nowa Konstytucja i dobre prawo. Jeszcze bardziej konieczna jest zdecydowana wola zaprowadzenia porządku, likwidacja

anarchii i nieróbstwa, zwalczenie bezprawia i zbrodni. Sprawy poszły już tak daleko, że niezbędne jest wprowadzenie środków nadzwyczajnych. W imię obrony demokracji i praw człowieka, w interesie całego społeczeństwa i ogromnej większości ludzi w Polsce konieczne jest czasowe ograniczenie niektórych praw obywatelskich oraz znaczne zwiększenie uprawnień i możliwości organów porządku publicznego. Nie wystarczy wydać walki złu, trzeba państwo uzbroić w odpowiednie narzędzia. Czasowe ograniczenia i nadzwyczajne środki wymierzone być muszą wyłącznie przeciwko tym, którzy łamią prawo i działają na szkodę Rzeczypospolitej i obywateli, lecz nie mogą w niczym ujmować zwykłym, uczciwym ludziom.

Równocześnie należy pilnie dokonać radykalnej reformy administracji publicznej. Rozbuchana biurokracja, urzędowanie dla urzędowania, nieodpowiedzialność i niekompetencja muszą być wycięte do dna. Nie chodzi o samo przewietrzenie ministerstw i przeróżnych urzędów, tonących w błogim spokoju, ani tylko o wspomoczenie tych ludzi i placówek, którzy wielkim wysiłkiem starają się coś zrobić. Trzeba zastąpić dotychczasowy system biurokratyczny, zmartwiały i zużyty, nowoczesną administracją - prężną, kompetentną i wyposażoną dostatecznie we wszelkie potrzebne jej środki: prawne, finansowe i techniczne.

Dziś jest dwudziestu paru ministrów; przygotowaliśmy nową organizację rządu, przewidującą istnienie 11 ministerstw. Dziś mamy blisko 300 osób pełniących funkcje ministra, sekretarza stanu, podsekretarza stanu, dyrektora generalnego ministerstwa lub równorzędnych; zamierzamy ilość tą ograniczyć do maksimum 75. Rozpoczęta od samej góry, reforma administracji dojdzie na sam dół. Obejmie struktury i kompetencje, kadry i środki pozwalające na skuteczne wypełnianie obowiązków. Otworzy drogi kariery administracyjnej dla licznej rzeszy młodych, zdolnych, wykształconych i energicznych ludzi. Przyniesie nie tylko wielkie oszczędności, lecz przede wszystkim da nową, zwartą i zdolną do dynamicznego działania administrację publiczną. Będąc skutecznym narzędziem silnego i stanowczego rządu, zlikwiduje anarchię i dobrze zasłuży się społeczeństwu.

4. Integracja czy dominacja?

Wyżej bardzo stanowczo opowiedziałem się za silnym państwem. Jest to pierwszy i najważniejszy punkt naszego programu. Nurt niepodległościowy jest w istocie nurtem państwowotwórczym; aby budować po swojemu własne państwo konieczna jest niepodległość, ale jej odzyskanie jest tylko swoistym punktem zerowym. Państwo, najwyższa i najpełniejsza znana forma organizacji narodu, rozumianego jako ogół pełnoprawnych obywateli - jest też najważniejszym czynnikiem zaspakajania potrzeb i aspiracji społecznych. Tak uważał Józef Piłsudski, twórca i organizator niepodległej Drugiej Rzeczypospolitej. Tak uważa Konfederacja Polski Niepodległej - kolejna forma nurtu niepodległościowego i państwowotwórczego.

Ale nie wszyscy tak uważają. Absurdalna teza anarchistów, że każda władza jest zła i wystarczy ją zlikwidować, aby przywrócić powszechną szczęśliwość, zapewne taką jaką cieszyliśmy się przed epoką kamienia łupanego - tu i ówdzie znajduje jeszcze admiratorów. Wprawdzie nikt nie powtarza maksistowsko-leninowskiej tezy o obumieraniu państwa, bo są jakieś granice absurdu, lecz tkwi ona u źródeł niektórych pomysłów. Współcześnie wielu zwolenników mają dwie utopijne i

mocno już staroświeckie teorie: idea rządu światowego oraz idea państwa - stróża nocnego. Wbrew pozorom, są one bardzo zbieżne.

Idea rządu światowego, stworzona jeszcze w XIX wieku przez socjalistów i radykalnych liberałów oparta jest na przekonaniu, że należy zlikwidować różnorodność i odrębności występujące w świecie, bo to one są przyczyną konfliktów. Koresponduje to z dążeniem do społeczeństwa bezklasowego. Stronami w konfliktach międzynarodowych są państwa i narody. Likwidacja państw i unifikacja narodów (kiedyś, z niemiecka, powiedzianoby: zglajchszaltowanie, lecz od dobrego półwiecza polityka wstrzymuje się od używania tego słowa) wymaga stworzenia rządu światowego, który przejmie obowiązki dotychczasowych odrębnych państw. W zdegenerowanej, doprowadzonej do absurdu formie, bardziej popularyzowanej przez przeciwników, niż zwolenników tego rozwiązania, idea przyjmuje postać tajnego rządu światowego, który ma przygotować unifikację całego globu, a przynajmniej jego rozwiniętej cywilizacyjnie części.

Idea państwa - stróża nocnego jest jeszcze bardziej prymitywna. Funkcje państwa należy maksymalnie ograniczyć - i to wyłącznie do tych, które za niezbędne uważano w pierwszej połowie XIX wieku. Wszystkich innych kompetencji należy państwo pozbawić.

Obie te idee rozwijane są nie tylko teoretycznie. W ciągu ostatnich lat dążenie, aby spod regulacji państwowej wydobyć wielkie obszary życia społecznego, przyniosło w Polsce odczuwalne ujemne rezultaty. Nie mam na myśli, rzecz jasna, słusznego i koniecznego likwidowania totalitarnego nadzoru nad wszelkimi przejawami ludzkiej aktywności. Zbyt często jednak wylewano dziecko z kąpielą. W wielu wypadkach chodziło o zupełnie wyraźny interes: otwarcie drogi do samowoli, wyniesienie prywaty nad interes publiczny. Zaszliśmy na tej drodze niebezpiecznie dalej, niż pozwalają sobie na to demokratyczne kraje Zachodu. Znosi się kontrolę państwa tam, gdzie tylko ona jest w stanie obronić zwykłego obywatela i strzec interesów nam wspólnych. Nie prowadzi to do zwiększenia wolności człowieka, lecz potęguje bezprawie w interesie silniejszego.

Pojawiają się projekty dalej idące. Oto jeden z bardziej charakterystycznych.

Wiosną 1992 r. w Brukseli, w wykładzie dla działaczy i funkcjonariuszy Komisji Wspólnot Europejskich Jan Krzysztof Bielecki rozwinął następującą argumentację: 1 - Europa powinna zostać zjednoczona; 2 - zagrożeniem dla jedności europejskiej są nacjonalizmy; 3 - biorą się one z faktu istnienia państw narodowych; 4 - a więc należy zlikwidować państwa narodowe, zastępując je euroregionami.

Słów byłego premiera, a przyszłego ministra i obecnego przedstawiciela Polski w Europejskim Banku Odbudowy i Rozwoju (za 100 tys. funtów rocznie⁴) bez wątpienia wysłuchano z uwagą. Mało przy tym ważne, że nikt nie chce likwidować Francji ani Niemiec i zastępować ich euroregionami. Mało ważne, że nie powstały do tej pory euroregiony, które łączyłyby francuską Alzację z niemiecką Badenią, czy też włoski i austriacki Tyrol. W sumie chodzi o coś zupełnie innego.

Trzeba bowiem rozróżniać integrację od dominacji. Integracja (i przemiennie dezintegracja) jest procesem, który wypełnia historię świata. Mniejsze wspólnoty polityczno-przestrzenne łączą się w większe. W ostatnich dwustu latach przez cały świat przeszła fala tworzenia państw narodowych. Było to integrowanie się na poziomie optymalnym w istniejących warunkach historycznych. Integracja państw

4 Rozmowa z J. K. Bieleckim [w:] Teresa Torańska, *My*, Warszawa 1994, s. 49.

narodowych przybierała liczne formy. Przejawiała się w likwidacji archaicznych partykularyzmów i krępujących rozwój granic wewnętrznych (Francja w końcu XVIII wieku, ale także Polska okresu Konstytucji 3 Maja⁵). W wypadku Rzeczypospolitej procesy integracyjne zostały przerwane, a rozpoczęły dezintegracyjne wraz z upadkiem państwa (1795 r.); w jednoczeniu mniejszych, niezdolnych do odrębnego funkcjonowania państw w duże (Włochy i Niemcy w połowie XIX wieku); przez zasiedlanie i państwowe organizowanie pustych obszarów (Stany Zjednoczone w XIX wieku); przez tworzenie odrębnych państw w istniejących granicach administracyjnych (dekolonizacja krajów Afryki, Azji, Oceanii w drugiej połowie XX wieku); przez rozrywanie archaicznych związków państwowych i integracji jego części w odrębne państwa narodowe (monarchia habsburska Austro-Węgier, brytyjskie cesarstwo Indii, z którego powstały Indie, Pakistan, Bangla Desz i Sri Lanka, ostatnio rozpad ZSRR). Dziś państwa narodowe szczerze wypełniają cały świat i są głównym elementem globalnej struktury⁶.

Współcześnie mamy do czynienia z kolejną fazą integracji. Warunki historyczne zmieniły się, optymalny poziom jest wyraźnie wyższy, niż wystarczający dla tworzenia państw narodowych. Nowego wymiaru nabrały względy gospodarcze (potrzeba dużego, jednolitego rynku wewnętrznego), polityczne i obronne, a także zmniejszanie się różnic kulturowo-cywilizacyjnych pomiędzy sąsiednimi społecznościami. Wymaga to, i pozwala, na tworzenie większych wspólnot polityczno-przestrzennych. Możemy to określić jako integrację regionów geopolitycznych. Podobnie jak kiedyś w tworzeniu państw narodowych, pionierem integracji współczesnej stała się zachodnia Europa. Przyśpieszył to stan totalnego zagrożenia ze strony ZSRR, trwający blisko pół wieku. Sukces EWG otworzył drogę do Unii Europejskiej - zaczątku wspólnego państwa obejmującego zachodnią część kontynentu.

Za każdym razem, tak w przypadku państw narodowych, jak obecnie - podstawą integracji jest wspólny interes łączących się części, wyrażany zwłaszcza przez słabsze z nich, często z pewną szkodą dla silniejszych; regionalne poziomy w zintegrowanym związku wyrównują się. Powoduje to m.in. że poza obrębem integracji pozostają zbyt wielcy (musieliby stracić, zrównując się do wspólnego poziomu)⁷ i zbyt ubodzy (inni musieliby ich utrzymywać, aby znaleźli się na wspólnym poziomie). Zawsze fundamentem integracji jest znalezienie wspólnego mianownika dla interesów wszystkich części składowych i ciągle uzyskiwanie w tym zakresie consensusu. Powoduje to, że poziom możliwych konfliktów systematycznie maleje, a z czasem w swej pierwotnej formie zanika.

Czymś innym jest dominacja. Występuje ona wówczas gdy silniejsze państwo, lub grupa państw rozciągają swój wpływ na inne, słabsze kraje. W takim układzie

5 Prekursorami integrowania państw narodowych były Wielka Brytania i Rzeczpospolita Obojga Narodów. Oba te zjednoczone państwa po dłuższym, co najmniej stuletnim okresie panowania wspólnej dynastii doprowadziły do unii realnej, a następnie stworzenia jednolitego państwa (Rzeczpospolita: dynastia Jagiellonów od 1386 r., unia 1569 r., jednolite państwo 1791 r.; Wielka Brytania: dynastia Stuartów od 1603 r., unia 1707 r., faktycznie jednolite państwo po 1745 r.).

6 Czy też charakterystyczną polityczną strukturą systemu światowego (George Modelski, *Long Cycles in World Politics*, Seattle/London 1987, s. 145).

7 Dlatego odrzucono koncepcję integracji atlantyckiej, obejmującej USA, zaś Wielka Brytania mogła wejść do EWG dopiero wtedy, gdy straciła swe imperium kolonialne i zrezygnowała z integracji Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

dominuje interes i wola mocniejszego, gdy słabszy jest przedmiotem eksploatacji. Powoduje to, że poziom możliwych konfliktów systematycznie rośnie, a z czasem prowadzi otwartego kryzysu we wzajemnych stosunkach. W swej skrajnej formie dominacja przekształca się w hegemonię - układ w którym państwo hegemoniczne uzyskuje pełną kontrolę nad swoją strefą, a pozostałe kraje przekształcają się w satelickie⁸.

Integracja wymaga silnych państw. Aby w niej uczestniczyć, Francja, Niemcy, Wielka Brytania najpierw wzmocniły się wewnętrznie. Szukać consensusu w godzeniu własnych interesów mogą tylko mocni partnerzy. Dominacja korzysta ze słabości państw; hegemon, aby umocnić swą władzę, dąży do osłabienia i dzielenia satelitów. Postulowany rząd światowy (czy rząd europejski) uzurpujący sobie władzę nad całością, staje się hegemoniczny tym bardziej, im słabsze są rządy państw. Zastąpienie państw narodowych euroregionami, zwłaszcza łączącymi odrębne etnicznie i kulturowo części - pozwala na łatwiejsze uzyskanie dominacji. Zaś dominacja realizuje zawsze czyjś jednostkowy interes - interes silniejszego kosztem słabszych.

Uwagi powyższe były niezbędne, aby wykazać brak jakiegokolwiek sprzeczności między dążeniem do silnego, niepodległego państwa a integracją danego obszaru geopolitycznego. Polsce jest potrzebne jedno i drugie. Nurt niepodległościowy kiedyś (koncepcja federacyjna Józefa Piłsudskiego, prometeizm, plany współpracy państw Międzymorza, rozwijane przez Józefa Becka) i dziś jest rzecznikiem integracji ponadpaństwowej. Współcześnie przybiera ona postać Projektu ABC - planu integracji Międzymorza, na przyszłość - dążenia do zjednoczenia całej Europy: Europy Ojczyzn.

5. Integracja Międzymorza i zjednoczenie Europy

30 lipca 1994 r. w Kijowie podpisałem dokument o utworzeniu Ligi Międzymorza - skupiającej tego dnia (bo dziś już więcej) piętnaście państw z 6 krajów położonych między Bałtykiem a Morzem Czarnym. Otwarta została nowa droga polityczna do integracji krajów naszej części Europy, zorientowanej na Zachód i stanowiącej wstęp do przyszłego zjednoczenia całej Europy w jej rzeczywistych granicach naturalnych, cywilizacyjnych i kulturowych.

Pod pojęciem Międzymorza (albo strefy ABC) rozumiemy wyraźnie wyodrębniony region geopolityczny położony między Adriatykiem, Bałtykiem i morzem Czarnym. Składa się on z dwu części, przedzielonych Karpatami i Sudetami. Wszystkie kraje tego regionu znalazły się po pierwszej, względnie po drugiej wojnie światowej pod dominacją sowiecką, niektóre zostały wcielone do ZSRR. Wszystkie przez kilkadziesiąt lat cierpiały w jarzmie komunistycznym. Wszystkie budują obecnie demokrację i gospodarkę rynkową oraz szukają możliwie bliskich więzi z Zachodem, zwłaszcza z USA i krajami Unii Europejskiej.

Projekt ABC przewiduje, że geopolityczny region Międzymorza powinien powtórzyć drogę, jaką z sukcesem odbyła zachodnia Europa. W oparciu o wspólnie tworzony system demokratyczny i gospodarkę rynkową, współpracę polityczną i obronną, sukcesywnie rozwijany wspólny rynek, realizując wspólne programy ekologiczne i rozbudowy infrastruktury - doprowadzimy do szeroko zakrojonej integracji wszystkich państw regionu. Podobnie jak w przypadku EWG, będzie to proces długotrwały i obejmujący kolejno poszczególne państwa. Zjednoczenie Europy

⁸ We współczesnej literaturze zachodniej, zwłaszcza anglosaskiej, dominację i hegemonię określa się tym samym terminem: the Hegemony, Hegemonic System, Hegemonic Stability.

zachodniej zaczęło się od porozumienia francusko-niemieckiego, Traktat Rzymski w 1957 r. podpisało 6 państw, dziś wspólnota poszerza się do 16 krajów. Osią integracji Międzymorza powinno być porozumienie polsko-ukraińskie; oba te państwa zaludnia ponad 60% ogółu ludności strefy ABC. Z polskiego punktu widzenia korzystnie będzie, jeśli integracja rozpocznie się od północnej części regionu, po tej stronie Karpat; szczęśliwie znajdujące się tutaj kraje zaczynają bardziej doceniać potrzebę integracji - jeśli chcą zachować niepodległość i odrębną tożsamość. Możemy spodziewać się, że proces ten niebawem bardzo się przyspieszy.

Jak dowodzą doświadczenia EWG, już samo rozpoczęcie procesu integracji prowadzi szybko do korzystnych skutków. Przyspieszona zostanie transformacja ustrojowa, a występujące w jej trakcie błędy łatwiej będzie eliminować. Głównych korzyści można się spodziewać, i to względnie szybko, w gospodarce. Problemy, z którymi każdy z naszych krajów musiałby borykać się nie wiedzieć jak długo, znacznie łatwiej rozwiązywać wspólnie. W dodatku lepiej wiemy jak to robić, bo doświadczenia EWG stoją dla nas otworem. Wykorzystanie komplementarności gospodarek naszych krajów i potęgowania możliwości w niektórych dziedzinach przesądza, jak to było w zachodniej Europie, o doprowadzeniu do całej serii cudów gospodarczych - które są niczym innym, jak uruchomieniem istniejących, a nie wykorzystywanych potencjałów. Wychodzenie z kryzysu gospodarczego prowadzić będzie do odczuwalnej poprawy stopy życiowej, co z kolei umocni tendencje i procesy integracyjne. Zacznie działać pozytywne sprzężenie zwrotne.

Integracja Międzymorza musi następować nie przeciw, ale we współpracy z Unią Europejską. Podobnie jak integracja zachodniej Europy następowała w bliskiej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi; przywódcy USA rozumieli, że korzystniejsze dla Ameryki i świata jest dopomożenie, aby powstał silny partner na drugim brzegu Atlantyku, niż utrzymywanie nad krajami zachodnioeuropejskimi dominacji politycznej czy gospodarczej. Europa zachodnia zamyka się dzisiaj w granicach wyraźnych regionów geopolitycznych, zgodnie z postanowieniami traktatu w Maasstricht. Nie jest - a tym bardziej nie będzie dla niej obojętne, czy dalej na wschód, ale jeszcze w Europie rozpościerać się będzie zdeintegrowana strefa destabilizacji społecznej i ekonomicznej, szarpana konfliktami etnicznymi i socjalnymi - czy też powstanie tam silny partner, zorientowany na zachód, gotów do współpracy w każdej dziedzinie⁹, unifikujący z Unią Europejską swe systemy prawne, gospodarcze, ekologiczne i - co najważniejsze - przygotowujący się do przyszłego zjednoczenia całej Europy.

Integrację Międzymorza można bowiem rozumieć jako drogę do zjednoczenia Europy. Jak wiadomo, skutecznie integrować można tylko kraje czy regiony zbliżone cywilizacyjnie i kulturowo, które osiągnęły podobny poziom cywilizacyjny i gospodarczy, w tym poziom zamożności. Tak prowadzone było poszerzanie EWG - i nic dziwnego. Jeśli bowiem zintegrujemy kraje zasadniczo różniące się poziomem cywilizacyjnym, bardzo bogate i bardzo biedne - uzyskujemy efekt przeciwny do zamierzonego: prowokujemy tylko konflikty, w dodatku bardzo dramatyczne. Bogaci nie chcą popaść w ubóstwo, utrzymując biedniejszych; biedni uważają, że są dyskryminowani i pragną zmienić ten stan rzeczy. Taka nierównowaga może być skutecznie kontrolowana w kraju totalitarnym, ale - jak widzimy, tylko do czasu. W

⁹ Także militarnej; nie żyjemy przecież w XIX wieku, a rozwój techniki wojennej spowodował, że zagrożenie Warszawy jest również zagrożeniem dla Paryża.

systemie demokratycznym prowadzi ona szybko i nieodwołalnie do bardzo ostrych konfliktów i doprowadza do całkowitej dezintegracji.

Dzisiaj różnice między strefą ABC a zachodnią Europą są ogromne. Trzeba długich lat, aby je zniwelować. Zintegrowane Międzymorze uczyni to znacznie szybciej niż byłby zdolny pojedynczo którykolwiek z krajów tego regionu. Dość powszechnie przyjmuje się, że integracja zachodniej Europy przyspieszyła zrównanie poziomu z USA o jedną trzecią; niektórzy mówią nawet o połowie. W przypadku Międzymorza przyspieszenie nie będzie mniejsze, a zapewne większe: po drugiej wojnie światowej Europa musiała nie tylko dokonać całkowitej transformacji, ale także odbudować się ze zniszczeń wojennych i doprowadzić do uspokojenia narodowych nienawiści, które swe apogeum osiągnęły nie podczas, ale zaraz po drugiej wojnie światowej. My szczęśliwie mamy za sobą powojenną odbudowę i - poza krajami byłej Jugosławii, nie występują trwałe i żywe wzajemne nienawiści, przynajmniej w skali masowej; narody naszej strefy na własnej skórze poznały, do czego one prowadzą.

Integrując Międzymorze, przyspieszamy moment zrównania poziomów naszej i zachodniej części Europy; otwiera to rzeczywistą możliwość zjednoczenia. A ponadto trzeba pamiętać, że to przyspieszenie oznacza dla zwykłego obywatela szybsze osiągnięcie zachodniego poziomu życia.

Dzisiaj spotykamy się z masową propagandą aby iść do Zachodu na skróty. Mówią: gdy staniemy się członkiem EWG i przyjmą nas do NATO, skończy się kryzys gospodarczy i będziemy mieli zapewnione bezpieczeństwo zewnętrzne; nie oglądajmy się na innych i korzystajmy z tej szansy sami. Trąci to trochę dmowszczyzną, zwłaszcza ten egoizm narodowy, ale perspektywa jest rzeczywiście zachwycająca. To wspaniale stać się pełnoprawną częścią Unii Europejskiej i korzystać z tarczy i miecza NATO; dostaniemy pieniądze z funduszy wyrównawczych na nieefektywne fabryki i przestarzałe rolnictwo, każdy będzie mógł uzyskać dobrą posadę w Paryżu czy Monachium, zaś amerykańscy chłopcy i ich bomby wodorowe w razie czego obronią nas przed Rosjanami. Zachwycające - żyć nie umierać.

Oczywiście, zbyt to piękne, aby mogło być prawdziwe. Trudno pozbyć się wrażenia, że główni twórcy tej baśni europejskiej wiedzą doskonale, że to tylko bajka, lecz posługują się nią naiwnie (a może cynicznie?) dla zdobycia opinii publicznej i pozyskania silniejszego poparcia wyborczego.

Wejście Polski do Unii Europejskiej obecnie i w dającym się przewidzieć czasie jest niemożliwe; traktat z Maastricht jeszcze bardziej zatrzęsął bramę. Nie chcą nas tam - i nie należy się temu dziwić, ani mieć do kogokolwiek pretensję. Każdy troszczy się przede wszystkim o swój interes. Czemu zachodni Europejczycy mieliby ryzykować własną stabilizację ekonomiczną i osiągnięty ciężką pracą dobrobyt oraz ponosić ogromne koszty utrzymania i przebudowy gospodarki 40 milionowego narodu? Czesi, aby zmniejszyć ten ciężar, rozbili federację ze Słowacją, ale 10 milionów ludzi to też za dużo, aby wziąć ich na utrzymanie. 4 milionowa Norwegia stała się kandydatem do Unii Europejskiej dopiero po tym, jak odkryła i zagospodarowała bogate złoża ropy naftowej na dnie morskim - i przez sporo lat nagromadziła znaczne fundusze. Proszę porównać jej produkt globalny per capita z przeciętnym w EWG. Spójrzmy prawdzie w oczy: przyjęcie Polski do Unii Europejskiej będzie dopiero wówczas realne, gdy nasz produkt globalny na głowę mieszkańca zwiększy się przynajmniej trójrotnie, a wcześniej wszystkie nasze problemy, zewnętrzne i wewnętrzne, w tym gospodarcze, zostaną pomyślnie

rozwiązane. Dobrze będzie, jeśli to sobie uświadomią wszyscy ci, którzy tak bardzo chcą znaleźć się w Unii Europejskiej, że na razie starcza im Unia Wolności¹⁰.

Przyjęcie Polski do struktury militarnej NATO i wysunięcie zintegrowanych linii obronnych paktu na Bug i San jest niemożliwe. Pakt Północno-Atlantycki powstał jako odpowiedź na militarne zagrożenie zachodniej Europy przez ZSRR. Związek Radziecki już nie istnieje, dzisiaj nikt na Zachodzie nie odczuwa militarnego zagrożenia ze strony Rosji, a Moskwa coraz bardziej wprawia się w rolę młodszego partnera Waszyngtonu. Pakt stracił swój sens strategiczny i polityczny. Struktura militarna NATO tworzona była przez ponad czterdzieści lat¹¹ kosztem setek bilionów, a może trylionów dolarów; zbudowano ją na obszarze sięgającym po dolną Łabę, zachodnie przedpola gór Harzu, Turyńskiego i Czeskiego Lasu; Berlin zachodni nie został nią objęty. Zjednoczenie Niemiec nie spowodowało przesunięcia linii obronnych NATO na wschód; zintegrowana struktura militarna pozostała tam, gdzie była. I nic dziwnego; przesunięcie jej trzysta kilometrów na wschód, do linii Odry, wymagałoby wydatkowania dobrej setki miliardów dolarów. Na Zachodzie powszechnie uważają, że byłoby to wyrzucaniem pieniędzy w błoto; znacznie taniej można sobie kupić Rosję. Podczas ostatniej kampanii wyborczej w USA obaj kandydaci na Prezydenta zapowiadali radykalne ograniczenie wydatków na NATO, a Bill Clinton wypadł bardziej wiarygodnie niż George Bush. Od tego czasu zmieniło się o tyle, że terminy odangażowania się militarnego USA w Europie zostały wyraźnie skrócone. NATO w obecnej formule militarnej i politycznej nie ma przed sobą zbyt długiego żywota. Przepuszczenia, że Pakt poszerzy się i rozbuduje swą strukturę na wschód są niepoważne; kto za to zapłaci? Nawiasem mówiąc udział finansowy Polski w takim przedsięwzięciu, obliczany najtaniej, wyniósłby wiele miliardów dolarów; czy wzięlibyśmy je z rezerwy budżetowej? Śmieszne.

Oczywiście, polityka próśb i nalegań może przynieść pewne rezultaty; polityków zachodnich charakteryzuje raczej miękkość, niż stanowczość. Zawsze wynajdą jakieś rozwiązania połowiczne. Takim jest Partnerstwo dla pokoju. Do niczego nie zobowiązuje, bezpieczeństwa przed agresją nie zapewnia, ale opinii publicznej dobrze się sprzedaje. Nawet sławetne gwarancje brytyjskie z 1939 r. są przy nim granitową skałą. Nie tak długo wymyślone zostaną podobne partnerstwa z Unią Europejską. Już słyszymy z ust niektórych zachodnich polityków, że im równie zależy na przyjęciu Polski do UE, jak Polakom; skoro tak, to może poprą i przegłosują wniosek o przyjęcie? Zamiast tego będzie się wyznaczać różne terminy. Ich cechą charakterystyczną jest to, że upływają po zakończeniu kadencji tych, którzy je wyznaczają. O realizację niech się martwią następcy. Wiemy co zrobią: wyznaczą nowe terminy. Zaś na razie umacnianie związków z Europą będzie na ogół polegać na stwarzaniu lepszych warunków, ale do eksploatacji gospodarczej Polski. Dobre intencje polityków rozpląną się pod naporem biznesmenów. Może nie za głośno, ale już zupełnie konkretnie mówi się w niektórych kręgach finansowo-politycznych, czym być powinna dla nich nasza część Europy: półkolonią z półfabrykatami. Rozważa się status podobny do specjalnych stosunków gospodarczych łączących kiedyś Francję z

10 Nie ukrywają tego zachodni politycy. Oto jedna z ostatnich (z 22 sierpnia 1994 r.) deklaracji: *Przystąpienie krajów wschodniej i środkowej Europy do Unii Europejskiej przez długie lata będzie jeszcze niemożliwe ze względu na ich zacofanie gospodarcze* - powiedział niemiecki minister gospodarki Gunter Rexrodt. Tego rodzaju deklaracje, dość typowe, rzadko jednak docierają do polskiej opinii publicznej.

11 Jej budowa zapoczątkowana została uchwałami Rady NATO, obradującej w 1950 r. w Lizbonie.

krajami afrykańskimi; tym razem, oczywiście, nie może być zgody na zarobkową migrację, błędu popełnionego z Arabami nikt nie zamierza powtarzać.

Główne niebezpieczeństwo takich połowicznych rozwiązań tkwi gdzie indziej: utwierdzają one podział Europy. W oczekiwaniu na przyszłe wejście do Unii Europejskiej Polski, a także Czech, może jeszcze Węgier i Słowenii, wątpliwe już, czy także Słowacji i Chorwacji - kraje te w taki czy inny sposób zostaną związane z Zachodem. Wszystkie pozostałe - od Estonii po Serbię - wrócą pod kuratelę Moskwy. Już obecnie rozwijane są, nie tylko w Rosji, koncepcje integracji euroazjatyckiej, tworzącej drugi i odmienny porządek obok euroatlantyckiej¹². Jest to zapowiedź nowego podziału Europy. Taki podział Europy to niż innego, jak rezygnacja z integracji europejskiej. Wprawdzie wobec stanu sprzed dziesięciu lat następuje przesunięcie granicy podziałowej, lecz tym samym zostaje ona przywrócona. Wschód i Zachód pójdą odmiennymi drogami. Dobrze jeszcze, jeśli będą one pokojowe. Gorzej, jeśli Wschód wróci do imperialnej polityki i za swój cel uzna militarną agresję w stronę Atlantyku. Nie będzie się to podobało w Berlinie, Paryżu, Waszyngtonie - ale pogodzą się z taką sytuacją. Nie mają innego wyjścia. Zresztą, i tak zyskają wiele; Europa będzie dla nich lepiej podzielona.

Przy takim rozwoju sytuacji Polska stanie się krajem frontowym. Zachód, w porównaniu ze stanem poprzednim, uzyskuje szeroką strefę buforową od Adriatyku po Bałtyk. Zaspakając ona będzie niektóre potrzeby gospodarcze Unii Europejskiej i zapewniać większe bezpieczeństwo strategiczne. Polska, Czechy, Węgry stworzą szerokie przedpole przed przygotowanymi liniami obronnymi NATO. Nim wojska agresora przejdą ten no man's land, poniosą olbrzymie straty, a obrona zachodnia stanie się silniejsza.

Taki obrót wydarzeń nie jest przesądzony, rzecz jasna. Politycy zachodni mają nadzieję, że Rosja wkroczyła trwale na drogę demokracji i pokoju. Prezydent Franklin Delano Roosevelt też uważał, że jeśli da się Uncle Jo (Stalinowi) wszystko czego zażąda, to zrozumie nasze dobre intencje i przywróci w Rosji chrześcijaństwo. Cóż, polityków nie rodzi się na kamieniu, sami rosną.

Ale przyjmijmy, że wszystko potoczy się jak najlepiej. Co najwyżej, będziemy tylko służyć, zatrzymując falę uciekającą przed biedą w demokratycznej Rosji. Funkcja państwa frontowego nigdy nie bywa zbyt przyjemna. W tym wypadku nasz interes narodowy dozna szczególnego uszczerbku.

Podział Europy wzdłuż Bugu jest niczym innym, jak utrwaleniem granicy rozbiorowej z 1795 r. Rozerwała ona żywą tkankę, ale nigdy nie dokonała tego dość trwale. Pozostała jakoś sztuczna, nie odcięła od siebie ani krajobrazów, ani serc ludzi. Odrzucając na bok wszelkie nacjonalizmy i rewizjonizmy terytorialne, stwierdzić musimy, że jest to obustronnie granica krzywdy i bólu, granica która utrzymywała i znów może utrzymywać stan zniewolenia ludzi i narodów. Estończycy, Łotysze, Litwini, Białorusini, Ukraińcy nie pragną może do Polski, ale pragną do Europy, do Zachodu. Nie chcą być znowu odcięci od świata, którego czują się częścią.

Inna kwestia. Jak wiadomo, ojczyzna i terytorium państwowe nie muszą się pokrywać. Trochę ponad 40 milionów Polaków od dziesiątków pokoleń żyje w swojej ojczyźnie; dla większości ta ojczyzna znajduje się na terytorium państwowym RP, dla niektórych na terytorium państwowym Ukrainy, albo Białorusi, albo Litwy, albo Łotwy, albo Czech. Ojczyzna Ukraińców, ojczyzna Białorusinów, ojczyzna Litwinów

¹² Szczęśliwie, do niej jeszcze zalicza się Polskę, ale nie wiadomo, na jak długo.

rozpościerają się na terytorium Polski, a przekraczają również i wspólne im granice. Ojczyzna Węgrów sięga głęboko w Siedmiogród, w Wojwodinę i Słowację. Czy chcemy to zmienić, czy mamy zastosować czystki etniczne i wypędzanie, powtórzyć tragiczną drogę narodów Jugosławii? A może zakładamy, że władze demokratycznej Polski będą w stanie nie upomnieć się o Polaków, jeśli im w ich własnej ojczyźnie, choć poza granicą państwową, będzie działała się krzywda? A może nie upomni się o Ukraińców Ukraina, o Litwinów Litwa? Jeżeli będziemy państwami frontowymi Eurazji i Euroatlantyku, granica między nami stanie się granicą nienawiści i nieprzerwanego konfliktu. Na Boga, czy chcemy tego? .

Zintegrowane Międzymorze wszystkie te problemy rozwiązuje - podobnie jak udało się je rozwiązać w EWG. Łączy to, co połączyła geografia i historia. Jest korzystne dla naszych narodów. Jest korzystne dla zachodniej Europy. Także pod względem strategicznym.

Nikt nie da gwarancji, że imperializm rosyjski nie odrodzi się i że nie stanie się znów groźny. Może nie dla całego świata, ale dla Europy. Dalekie potęgi nie będą nawet próbować go zatrzymać. Jeśli jednak powstanie zintegrowana struktura geopolityczna Międzymorza, obejmująca blisko 200 milionów ludzi, to będzie ona dostatecznie silna, aby ktokolwiek odważył się na nią napaść. W całej strefie obejmującej Europę i północną Azję powstanie zupełnie nowy układ sił, zapewniający równowagę i wzajemne bezpieczeństwo.

No dobrze, powie ktoś, wszyscy na tym skorzystają, straci tylko Rosja.

To niezupełnie prawda. Straci imperializm rosyjski. Dziś jest on głośny, ale całkowicie bezsilny. Straszyc może tylko tych, którzy lubią się bać. Mami się myślą, że za piętnaście, dwadzieścia lat, gdy odbudowana zostanie materialna potęga Rosji, sprawiedliwość dziejowa, upostaciowana w dywizjach rosyjskich, dokona rozrachunku z Europą. Niecierplivi już dzisiaj zachowują się tak, jakby z Kremla rządono światem. Pas de reveries, messieurs! Po Wielkiej Smucie Moskwa mogła się podnieść do imperialistycznego wzlotu, ale tylko dlatego, że po jej zachodniej i wschodniej stronie zwyciężały dezintegracyjne partykularyzmy.

Czy jednak Rosja naprawdę musi stracić? Integracja Międzymorza przesądza pozytywnie o kierunku przeobrażeń rosyjskich. Odepchnięta od Dniepru, Moskwa nie będzie mogła nawet marzyć o wznowieniu imperialistycznej polityki. Siłą rzeczy skupi się na problemach wewnętrznych. Będzie mogła naprawdę dobrze zagospodarować ten olbrzymi kraj, stworzyć trwały ustrój demokratyczny. Czy jakkolwiek inna alternatywa jest dla Rosjan korzystniejsza?

W perspektywie widzieć więc trzeba powstanie nowego geopolitycznego systemu północy. Objąłby on północną Amerykę (formującą się NAFTA), zjednoczoną Europę (Unię Europejską plus Międzymorze) oraz północną Azję (Rosja) i Daleki Wschód (Chiny, Japonia). W obliczu narastającej groźby konfliktu między bogatą Północą a biednym Południem, jaki może wypełnić przyszłe stulecie - mogłoby to mieć kluczowe znaczenie. Także dla powstrzymania tego globalnego konfliktu.

To wielkie sprawy przyszłości świata. Wracając na nasze podwórko, do problemów regionalnych i spraw samej Polski, trudno znaleźć rozwiązanie korzystniejsze dla nas i naszych sąsiadów, niż integracja Międzymorza. Tej wielkiej szansy, jaką po kilkuset latach dała nam historia, nie możemy zmarnować. Za żadną cenę.

6. Gospodarka i społeczeństwo

Przebudowa Rzeczypospolitej w państwo funkcjonalne jest najważniejszym zadaniem warunkującym powodzenie wszystkich innych. Najpilniejszym zadaniem jest jednak wyciągnięcie kraju z kryzysu gospodarczego i zapewnienie Polakom wystarczającego standardu życia.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że reformy gospodarcze, tak spektakularnie przeprowadzane w ostatnich latach, nie mają wyraźnie sprecyzowanego celu. Na ogół mówi się o transformacji ustrojowej, rozumianej jako wprowadzenie gospodarki rynkowej i prywatyzacja majątku państwowego. Dobrze - ale co chcemy przez to osiągnąć? Transformacja jest przecież środkiem, a nie celem. Chyba że nadal tkwimy w bałamutnym marksistowskim przekonaniu, że wystarczy sama zmiana ustroju, a wszystko ułoży się samo.

A przecież nie tak znów trudno, choć najwyraźniej nie wszystkim - dostrzec jaki jest sens gospodarki. Ludzie pracują, produkują, świadczą usługi, handlują aby zaspokoić potrzeby własne i innych, a więc zaspokoić potrzeby społeczne. Działalność gospodarcza umożliwia materialną egzystencję ludzi. To jest jej jedyny sens i cel. Wprawdzie niektórzy wolą to określić bardziej jednostronnie. Wyznawcy socjalizmu naukowego twierdzą, że gospodarka powoduje postęp społeczny. Wyznawcy liberalizmu gospodarczego uważają, że ludzie zajmują się gospodarką, aby osiągnąć zysk. Jest to prawda, ale nie zupełnie. Co ważniejsze, z tych jednostronnych, teoretycznych założeń płyną wnioski praktyczne, zaś realizacja tych wniosków w obu przypadkach - liberalnym i socjalistycznym - budzi opór społeczny.

W Polsce, jak i w innych krajach postkomunistycznych, sytuacja jest szczególna. Przez całe dziesięciolecie rozwijano wyłącznie ekonomię socjalistyczną i w jej kanonach wychowano parę pokoleń ekonomistów. Dominowała ona w naszym myśleniu jeszcze w początku lat '80. W następnej dekadzie nastąpiło zachłyśnięcie doktryną liberalizmu gospodarczego, który w początku lat '90 zdominował myślenie ekonomiczne. Nie jest to jednak proces zastępowania jednej szkoły przez drugą, lecz raczej budowy jednej na drugiej. Marksistowskie lekceważenie egzystencjalnego interesu człowieka, który jest tylko narzędziem produkcji, a także społeczeństwa, będącego jedynie ewoluującą materią historii posłużyło jako podstawa do liberalnej zasady, że zysk indywidualny jest siłą napędową gospodarki, a co za tym idzie rozwoju światowego. Ponieważ społeczeństwo jest klasowe i zbudowane ze sprzeczności interesów (marksiści), bogacenie się kosztem innych jest sytuacją normalną (liberałowie, przynajmniej polscy); oto mieszanka intelektualna, stanowiąca pożywkę do teoretyzowania. W zależności od kierunku podejścia, możemy stąd wyprowadzić dość sprzeczne wnioski: albo że w interesie wszystkich niektórzy powinni być coraz bogatsi - albo że wszyscy powinni mieć po równo.

Takie przekonania, często nie do końca uświadomione, dominują. Jeśli nie doprowadzimy do ich demaskacji i odrzucenia, reformatorskie wysiłki gospodarcze ciągle będą spełzać na manowce.

Każdy program transformacji gospodarczej, koniecznej przecież - musi opierać się na założeniu, że jej celem jest lepsze zaspakajanie potrzeb społecznych. Nie należy tego rozumieć w sposób uproszczony i prymitywny. Przyjęcie i stosowanie w praktyce zasady, że gospodarka powinna służyć społeczeństwu nie oznacza wcale, że każde posunięcie gospodarcze musi dać natychmiastową i bezpośrednią korzyść ludziom. Przekształcając ustrój, struktury i mechanizmy gospodarki, a także prowadząc politykę

ekonomiczną państwa, należy przede wszystkim brać pod uwagę, czy przyczyni się to do lepszego zaspokojenia potrzeb społecznych, a dopiero później rozstrzygać dalsze kwestie. Takie jest zasadnicze założenie społecznej gospodarki rynkowej.

Pytanie, co rozumieć pod pojęciem zaspakajanie potrzeb społecznych. Dwie interpretacje należy odrzucić: tę, która postrzega społeczeństwo jako całość, jako pewną wartość kolektywną, a zapomina o indywidualnej osobie ludzkiej - oraz tę, która widzi konieczność natychmiastowego i wyłącznego zaspakajania doraźnych potrzeb jednostek i nic więcej. Pierwsza grzeszy wyraźnym nie dostrzeganiem interesu człowieka, druga - nie dostrzeganiem interesu narodu. W przeciwieństwie do nich, społeczna gospodarka rynkowa dąży do zaspakajania wszystkich potrzeb: tych wynikające z interesu państwa, tych z interesu narodu, grup i środowisk społecznych, pojedynczych ludzi. Zawsze trzeba ustalać pewne priorytety, zależne od konkretnej sytuacji i zmieniające się w czasie, ale ogólna zasada pozostaje bez zmian.

Produkt krajowy, wytwarzany przez daną społeczność, jest wartością rzeczywistą. Aby można było korygować, a w niektórych wypadkach decydować o priorytetach w zaspakajaniu potrzeb społecznych, musi istnieć czynnik regulujący. Funkcje te od zarania swego istnienia zawsze i wszędzie wypełnia państwo; było tak w Egipcie faraonów i jest dzisiaj w Stanach Zjednoczonych. Marksisci, zapowiadając obumarcie państwa i zastąpienie go związkami wytwórców, w istocie przyjęli niezmienny układ priorytetów w zaspakajaniu potrzeb; na czele była realizacja ideologii, na końcu - konsumpcja indywidualna. Skrajni i ortodoksyjni, a może po prostu niedouczeni liberałowie (tacy właśnie mają znacznie większe wpływy w Polsce, niż na Zachodzie) uważają, że państwo należy pozbawić jakiegokolwiek wpływu na gospodarkę, bo najlepsze efekty dają żywiłowe relacje między popytem a podażą; w istocie oznacza to, że o priorytetach decydować będzie interes silniejszych. Realizację obu tych koncepcji ideologicznych odczuliśmy na własnej skórze; jest to dowód, że lepiej do doktryny socjalistycznej i do doktryny liberalizmu gospodarczego podchodzić ze szczególną ostrożnością.

Problem zaspakajania potrzeb społecznych sprowadzić można do konieczności stałego wzrostu dochodu narodowego na głowę mieszkańca. Taki jest miernik oceny gospodarki, stosowany powszechnie. Mniej ważne jest, jak określimy model, występujący w danym kraju, zasadnicze - jakie gospodarka przynosi efekty. Portugalia nie jest zainteresowana modelem gospodarczym Tajwanu, tylko osiągnięciem zbliżonego poziomu produktu krajowego per capita; jest to tym bardziej zrozumiałe, że systemu tajwańskiego wprowadzić na półwyspie iberyjskim raczej się nie da. Trzeba szukać rozwiązań optymalnych w danych warunkach. Być może udałoby się do nich dojść w procesie żywiłowym, ale trwałoby to nie wiedzieć ile czasu: życia jednego pokolenia, dwu, trzech pokoleń? Inspirująca i stymulująca rola państwa jest nie do zastąpienia; państwo w jego współczesnej postaci musi bronić kapitału narodowego i przeciwdziałać ujemnym procesom we własnej gospodarce; światowy rozwój ekonomiczny jest nierówny, a w warunkach gospodarki rynkowej rola państwa jest kluczowa¹³. Istnieje globalny system gospodarki rynkowej, ale na rynku spotykają się liczne mikropodmioty gospodarcze; pomiędzy jednym a drugim występują struktury państwowe. Generalnie, klucz do skutecznej analizy strukturalnej leży w organizacjach państwowych i ich relacjach zarówno z otoczeniem zewnętrznym, jak czynnikami

13 Norman Smith: *Uneven Development. Nature, Capital and the Production of Space*. Oxford 1984, s. 148.

wewnętrzny¹⁴. Polityka państwowa jest zasadniczym czynnikiem, decydującym o kierunkach aktywności gospodarki narodowej i stwarzającym warunki jej rozwoju. Nawet jeśli polityka ta polega na całkowitym wstrzymaniu się od jakichkolwiek działań, to takie zachowanie państwa również wpływa decydująco na gospodarkę.

Takie podejście w światowej literaturze określa się jako realistyczne. Oznacza to, że za punkt wyjścia przyjmuje ono rzeczywistość taką, jaka ona jest, a nie jej teoretyczną wizję. Trudno oprzeć się wrażeniu, że twórcy i główni wykonawcy naszych reform ekonomicznych zbyt mocno podporządkowali się teorii akademickiej. Z drugiej jednak strony zbyt często uzależniali decyzje wykonawcze od indywidualnych interesów, własnych i wpływowych grup finansowych. Pamiętając o wszystkich szkodach, jakie przyniosło polityczne administrowanie gospodarką, nie zapomnieli o korzyściach, jakie administratorzy mogą uzyskać. Razem dało to zabójczą mieszankę. Dodajmy do tego, że w przeważającej części nasi ekonomiści przez lata byli silnie związani z administracją państwa socjalistycznego, co spowodowało, że praktyka, a nawet nauka ekonomii zachowały charakter interwencyjnej techniki zarządzania; W warunkach PRL sprowadzało się to do osiągnięcia nakazanych wskaźników przy zachowaniu czystości modelowej, a problemy rzeczywistej efektywności i celu gospodarowania znalazły się poza granicami ekonomicznej wyobraźni. Nic więc dziwnego, że przywrócenie w Polsce gospodarki rynkowej dało skutki znacznie mniejsze i powolniejsze od możliwych, a także spodziewanych (Balcerowicz nie ukrywał, że oczekiwał ich po paru miesiącach od zastosowania na przełomie 1989/90 jego terapii szokowej).

Zrekapitulujmy. Gospodarka ma zaspakajać potrzeby społeczne. Przemocny wpływ na ustalanie priorytetów w tej dziedzinie ma państwo. Lepsze zaspakajanie potrzeb wymaga stałego wzrostu produktu krajowego. W rękach władzy państwowej znajdują się mechanizmy i środki, pozwalające na stymulowanie możliwie najlepszego rozwoju społecznej gospodarki rynkowej. Musi to być zgodne z wymogami realizmu politycznego i ekonomicznego. Nie przeceniając wpływu teorii na praktykę, odrzucić trzeba oba nierealistyczne rozwiązania skrajne: administrowanie gospodarką przez państwo oraz pozostawienie przez państwo gospodarki samej sobie.

7. Kanony strategii gospodarczej

Skoro zawierzenie wszystkiemu procesom żywiołowym i rezygnacja z rozumnego podejścia do gospodarki jako całości pozbawione są sensu, jedynie realistyczna strategia gospodarcza państwa może doprowadzić do wyprowadzenia Polski z kryzysu. Celem tej długofalowej strategii musi być lepsze zaspokojenie potrzeb społecznych, a więc nieprzerwanie dążyć ona powinna do zwiększenia produktu krajowego brutto (PKB). Transpozycje ustrojowe, reforma gospodarcza oraz rekonstrukcje poszczególnych dziedzin przemysłu i rolnictwa powinny zostać wkomponowane w ogólną politykę gospodarczą i służyć osiągnięciu jej celów.

Do gospodarki należy podejść w sposób ekonomiczny, a nie ideologiczny; ważna jest rzeczywistość, a nie chciejstwo. Każde myślenie ekonomiczne zaczyna się od postawienia pytania, jak najlepiej wykorzystać posiadane środki. Grono wymownych dyletantów, decydujących w ostatnich latach o Trzeciej Rzeczypospolitej, postawiło sprawę na głowie. Doszli oni do wniosku, że trzeba gospodarować nie z

14 Theda Skocpol, *States and Social Revolutions. A Comparative Analysis of France, Russia and China*. Cambridge 1979, s. 291.

tym, co posiadamy, ale z tym, co chcielibyśmy posiadać. To prawie tak, jakby właściciel fabryki nawozów sztucznych chciał zająć się produkcją zegarków, rzeczywiście bardziej opłacalną. Teoretycznie ma on szansę: może sprzedać jedną fabrykę i kupić drugą. Czy można jednak sprzedać polską gospodarkę, taką jaka ona jest, a kupić na jej miejsce inną, np. chilijską albo chociażby hiszpańską? Niektórzy zapewne uważali że można; stąd - być może - wzięła się ta wyprzedaż za każdą cenę. Tylko, że sprzedając niechciane, nie kupowano chcianego - a pieniędzy już nie ma. A kiedy indziej nawet nie sprzedawano: doprowadzano do bankructwa, likwidowano.

Mamy, co mamy. Nasza gospodarka jest w złym stanie. Ma nie dość nowoczesną strukturę, o poważnie naruszonych proporcjach. Zarówno w swojej części państwowej, jak prywatnej zorganizowana jest i zarządzana w sposób przestarzały. Została w wysokim stopniu zdekapitalizowana, firmy prywatne są na ogół niedoinwestowane. Przemysł wymaga rekonstrukcji i modernizacji. Cierpi na brak środków, a równocześnie znaczną ich część zużywa na cele nieproduktywne (przemysł państwowy) i luksusową konsumpcję (przedsiębiorczość prywatna). Gospodarka jako całość nie potrafiła się jeszcze przystosować do surowych wymogów konkurencji krajowej i światowej.

To wszystko prawda, łatwo można nakreślić jeszcze bardziej czarny obraz. Ale równocześnie jest to gospodarka o dużym i mimo wszystko względnie nowoczesnym potencjale, nie odbiegającym od średniej światowej, a raczej go przewyższającym. Śmieszne były ongiś deklaracje Edwarda Gierka, że Polska stała się dziesiątym mocarstwem ekonomicznym świata, ale biorąc pod uwagę nasz realnie istniejący potencjał gospodarczy, choć tragicznie niewykorzystywany i trwoniony, to swym rozmiarem ustępuje on w świecie najwyżej kilkunastu innym.

Najważniejsze: jest to wszystko, co posiadamy. A tylko z tym, co mamy, możemy coś zrobić. Nikt nas nie weźmie na utrzymanie, ani nie zapewni pomocy, wystarczającej do wyjścia z kryzysu. Musimy uczynić to sami, wykorzystując wszystko, czym realnie dysponujemy.

Rozruch polskiej gospodarki może nastąpić tylko w oparciu o posiadane zasoby. Tak kiedyś - w latach '50 - postąpił szef zachodnioniemieckiej gospodarki, wicekanclerz Ludwig Erhard. Niemcy były doszczętnie zrujnowane, struktura gospodarki jednostronna, daleka od potrzeb, brakowało wszystkich bez wyjątku dóbr materialnych i brakowało pracy dla ludzi. RFN otrzymała wprawdzie poważną pomoc zewnętrzną, ale przede wszystkim oparła się o własne zasoby: istniejące moce produkcyjne i liczną rezerwę pracy (siły roboczej). Źródłem niemieckiego cudu gospodarczego stało się to, co było przejawem kryzysu: niedostatek dóbr materialnych oraz nadmiar zdolnych do pracy. Niepracujące zakłady, zatrudniając niepracujących ludzi, zaczęły wytwarzać towary do konsumpcji indywidualnej i zbiorowej, na których brak cierpieli ludzie i państwo. Koło zaczęło się obracać, coraz szybciej.

Posłużyłem się przykładem niemieckiego cudu gospodarczego, który w Polsce jest powszechnie ceniony, ale prawdę mówiąc Erhard nie wymyślił programu, jaki zastosował. Podobną metodę wcześniej stosowali inni, także w Niemczech, także w XX wieku¹⁵ także w Polsce. Nie czas tu i miejsce na analizę polityki ekonomicznej związanej z osobą Eugeniusza Kwiatkowskiego, ale warto przypomnieć, że w oparciu

15 Najbardziej charakterystyczny jest rooseveltowski New Deal - przy czym warto zwrócić uwagę, że USA dla przełamania rzeczywiście katastrofalnego kryzysu gospodarczego nie dysponowały jakąkolwiek pomocą finansową z zewnątrz.

o własne siły rządu sanacji potrafiły dwukrotnie (po 1926 i po 1935) wyprowadzić Polskę z kryzysu, będącego efektem ostrej recesji światowej.

Współczesna Polska może wyjść z kryzysu tylko i wyłącznie wówczas, jeśli zdoła w pełni wykorzystać posiadane zasoby: moce produkcyjne oraz siłę roboczą.

Można wskazać na dziesięć głównych zasad, o jakie powinna się oprzeć nasza strategia gospodarcza.

Zasada pierwsza: przestać trwonić posiadany majątek. W ciągu ostatnich dziesięciu, piętnastu lat znaczna część majątku narodowego została roztrwoniona albo rozdrapana. Szczególnie szkodliwe skutki przyniosła ustawa, a raczej nowelizacja prywatyzacyjna z października 1987 r. Systematyczne marnowanie i pomniejszanie majątku narodowego musi zostać stanowczo przerwane. Wymaga to decyzji politycznych i aktów prawnych, a w szczególności przywrócenia systemu jasnej odpowiedzialności za własność państwową.

Trudno w to uwierzyć, ale w Polsce nie ma instytucji Skarbu Państwa. Nie można nawet określić, ile osób ma prawo do swobodnej sprzedaży majątku państwowego. Sam widziałem umowę sprzedaży nieruchomości państwowej, na której po stronie sprzedającego był tylko nieczytelny podpis i pieczętka zawierająca jedno słowo: Doradca. Tymczasem od blisko roku w obecnej kadencji sejmowej leży projekt ustawy o Ministrze Skarbu i Skarbie Państwa, zgłoszony przez Klub Parlamentarny KPN; w poprzedniej kadencji ten sam projekt leżał tak długo, aż Sejm rozwiązano.

Powołanie Skarbu Państwa, instytucji działającej pod kierunkiem ministra i spełniającej wszystkie funkcje własnościowe wobec majątku państwowego - jest pierwszym krokiem. Cały ten majątek należy pilnie zebrać i sporządzić jego jednolitą ewidencję (nawet tego nie ma!). Przy okazji będzie można rewindykować własność państwową, która prawem kaduka znajduje się w innych rękach (egzekucja dóbr), oraz zwrócić cudzą własność, jaką - również prawem kaduka - dzierży państwo (reprivatyzacja).

Ta część majątku państwowego, która służy celom zarobkowym, powinna zostać zorganizowana w przedsiębiorstwa prawa handlowego, przede wszystkim w spółki akcyjne. Każde z tych przedsiębiorstw powinno posiadać własną osobowość prawną i dysponować całkowitą samodzielnością w prowadzeniu swej działalności gospodarczej. Rola ministra ograniczałaby się do powołania Rady Nadzorczej przedsiębiorstwa, czy też - w wypadku własności mieszanej - przedstawicieli Skarbu Państwa w Radzie. Nominacje ministerialne dokonywane byłyby na okres kadencji, odwołanie mogłoby mieć miejsce jedynie w wyjątkowych, określonych ustawą przypadkach. Członków Rad Nadzorczych minister mógłby powoływać wyłącznie spośród syndyków Skarbu Państwa: szczególnie dobieranych osób o wysokich kwalifikacjach moralnych i zawodowych, poddanych osobnym rygorom prawnym, zwłaszcza pozbawionych prawa pełnienia innych funkcji i prowadzenia jakiejkolwiek działalności poza pracą w radach nadzorczych.

Zasada druga: prywatyzować racjonalnie i zgodnie z interesem społecznym. Prywatyzację prowadzoną wedle dotychczasowych, bardzo kontrowersyjnych zasad, często złodziejską - należy natychmiast przerwać. Pierwszym etapem nowej prywatyzacji powinno być przekazanie części majątku państwowego na odrębne i samodzielne fundusze społeczne. Tworzone obecnie Narodowe Fundusze Inwestycyjne, które mają przejąć przedsiębiorstwa państwowe o łącznej wartości obliczanej na 6 mld USD powinny zostać przekazane trzem funduszom: Ubezpieczeń

Społecznych, Ochrony Zdrowia oraz Budownictwa Społecznego. Będzie to zresztą częściowy zwrot składek ubezpieczeniowych pobieranych od wszystkich zatrudnionych przez dziesięciolecia, lecz nie kapitalizowanych i zużytych przez rządy PRL na inne cele (także finansowanie aparatu terroru).

W drugim etapie prywatyzacji należy zamrozić wystarczającą ilość akcji i udziałów przedsiębiorstw państwowych, aby stanowiły one zabezpieczenie dla przeprowadzenia powszechnego uwłaszczenia rodzin. Polegać ono będzie na umożliwieniu każdej rodzinie skorzystania z trzech rodzajów niskooprocentowanego i częściowo umarzanego kredytu przeznaczonego na kupno lub budowę mieszkania (domu), na rozpoczęcie własnej działalności gospodarczej, wreszcie na zakup akcji prywatyzowanych przedsiębiorstw. Zależy nam bardzo, aby każda polska rodzina w toku prywatyzacji majątku państwowego otrzymała na własność jakąś jego część - tworzącą podstawę do budowy indywidualnej zamożności. Zapoczątkuje to formowanie społeczeństwa ludzi o zapewnionych podstawach egzystencji.

Prywatyzacja komercyjna powinna odbywać się na zasadach normalnie stosowanych w gospodarce rynkowej. Prywatyzowane przedsiębiorstwa powinny wystawiać swe akcje na sprzedaż na giełdzie. Zalecaną formą będzie powiększanie kapitału zakładowego i kierowanie na giełdę drugiej emisji akcji; uzyskane w ten sposób pieniądze pozostaną w przedsiębiorstwie. Przedsiębiorstwa w całości można będzie sprzedawać w drodze przetargu. Wszystkie transakcje powinny odbywać się jawnie. Spod prywatyzacji należy wyłączyć niektóre przedsiębiorstwa ze względu na charakter ich produkcji, mający strategiczne znaczenie dla państwa.

Zasada trzecia: inicjować i stymulować zwiększanie stopnia wykorzystania istniejącej mocy produkcyjnych oraz wzrostu PKB. Wymaga to odchodzenia od decyzji administracyjnych i konsekwentnego wprowadzania społecznej gospodarki rynkowej w pełnym wymiarze, a więc wraz z rynkiem pracy i rynkiem kapitałowym. W miarę umacniania gospodarki należy podjąć bezpośrednie przygotowania do wprowadzenia pełnej wymienialności złotówki. Polityka gospodarcza rządu powinna być wspierana planowo przez przedsiębiorstwa państwowe. Całością polityki gospodarczej powinien kierować Minister Gospodarki. Może on posługiwać się wyłącznie instrumentami ekonomicznymi. Wszystkie instrumenty administracyjne, również takie jak obciążanie przedsiębiorstw popiwkiem czy dywidendą muszą zostać zniesione.

Zasada czwarta: systematycznie poszerzać rynek wewnętrzny przez kontrolowane zwiększanie dopływu pieniędzy. Wzrost produkcji, usług i wymiany handlowej, a co za tym idzie PKB możliwy będzie tylko pod warunkiem systematycznego poszerzania rynku wewnętrznego. Zależy nam bardzo na wzroście opłacalnego eksportu, ale może on wchłonąć tylko względnie małą część krajowej produkcji. Większość musi być kierowana na rynek wewnętrzny. Spadek spożycia dóbr konsumpcyjnych i inwestycyjnych, jaki nastąpił w ostatnich latach, doprowadził do katastrofalnego spadku produkcji - głównego objawu kryzysu. Wzrost produkcji i ożywienie gospodarcze może nastąpić dopiero wówczas, gdy widocznie zaznaczy się wzrost popytu. Wymaga to systematycznego wzrostu ilości realnych (a nie nominalnych) pieniędzy na rynku. Trzeba to osiągnąć przez ciągły wzrost realnych zarobków oraz poprawę kondycji finansowej przedsiębiorstw, co pozwoli na wzrost zakupów konsumpcyjnych i inwestycyjnych. Rosnący dopływ pieniądza na rynek musi być kontrolowany, aby nie spowodować skoku inflacyjnego. Wprawdzie inflacja w

Polsce w minimalnym stopniu ma charakter popytowy, tj. wynikający z nadmiaru pieniądza i niedostatku towarów; spowodowana jest głównie wzrostem jednostkowej ceny wyrobów, co jest skutkiem zmniejszenia produkcji. Dlatego kontrolowany wzrost ilości pieniędzy na rynku - powodując wzrost zakupów, a więc i wzrost produkcji - nie powinien stanowić zagrożenia inflacyjnego. W szczególności tego zagrożenia nie może stanowić rozsądny, systematyczny wzrost realnych zarobków. Inflację należy dusić, ale dopóki nie zostanie zlikwidowana, obowiązywać powinna zasada: zarobki rosną szybciej niż ceny. Daje to wzrost produkcji, a w naszych warunkach przyczynia się do zmniejszenia inflacji podażowej.

Zasada piąta: systematycznie zwiększać zatrudnienie aż do likwidacji bezrobocia. Obok obiektywnych źródeł bezrobocia występuje również jedna, ale istotna przyczyna subiektywna. Jest nią niemal powszechne przekonanie, że w warunkach gospodarki rynkowej musi występować trwale poważne bezrobocie. Rzeczywiście, w rozwiniętych krajach Zachodu (ale nie Dalekiego Wschodu!) zjawisko takie występuje od dawna i to w wielkim rozmiarze. Teoretycy i praktycy gospodarki rynkowej nie potrafią sobie z nim poradzić, ale też i nie bardzo próbują, skoro bogate społeczeństwa gotowe są płacić wysokie zasiłki tym, którzy nie mają pracy.

Bezrobocie nie występuje jednak we wszystkich krajach gospodarki rynkowej. Tylko w tych, które są nasycone dobrami materialnymi powyżej granicy racjonalnej konsumpcji¹⁶, i tylko od momentu, kiedy to nasycenie zaczęło występować. Początkowo kraje zachodniej Europy nie odczuwały nadmiaru rąk do pracy i musiały nawet importować siłę roboczą; dopiero ogromny wzrost zamożności zmienił sytuację. Dynamicznie rozwijające się kraje wschodnioazjatyckie nie osiągnęły jeszcze stopnia pełnego nasycenia dobrami materialnymi - i zjawisko bezrobocia nie występuje tam w większej skali.

Wraz z nasyceniem dobrami, rynek wewnętrzny nie jest w stanie wchłaniać zwiększającej się produkcji; najpierw następuje stagnacja zakupów, później może dojść nawet do ich zmniejszenia.

Ani ludzie, ani przedsiębiorstwa nie są w stanie zużywać zakupionych towarów równie szybko, jak producenci mogą je wytwarzać. Tworzy się wprawdzie nowe potrzeby - ale stare i nowe łącznie pozostają w rosnącej dysproporcji do możliwej podaży. Prowadzi to do wstrzymywania wzrostu produkcji, a z czasem nawet do jej zmniejszenia. Daje to efekt inflacyjny, ale przede wszystkim prowadzi do zmniejszenia zatrudnienia.

W dzisiejszej Polsce nie ma powodu, aby tak się działo. Jesteśmy dalecy od stanu pełnego nasycenia dobrami materialnymi. Brakuje nam wszystkiego: mieszkań, mebli, samochodów, autostrad, telefonów, czołgów, sal koncertowych - a dla wielu rodzin ubrań i żywności. Polski rynek może jest, a może być jeszcze bardziej chłonny - i to co najmniej przez najbliższe ćwierć wieku. Trudno bowiem przypuszczać, że wcześniej osiągniemy stan nasycenia dobrami, występujący w bogatych krajach zachodnich. W tym okresie bezrobocie jest i będzie powodowane nie tyle przesłankami obiektywnymi, ile złą polityką gospodarczą.

16 Norwegia, która dzięki eksploatacji podmorskich złóż naftowych stała się jednym z bogatszych krajów europejskich, celowo ograniczyła wzrost konsumpcji, co m.in. spowodowało, że bezrobocie nie występuje tam w większej skali.

Dobra polityka gospodarcza musi dążyć do maksymalnego wykorzystania mocy produkcyjnych i rezerw pracy. Postulowane przez nas poszerzenie rynku wewnętrznego przez kontrolowany wzrost ilości realnego pieniądza doprowadzi do wzrostu produkcji, co będzie równoznaczne ze wzrostem zatrudnienia. Bezrobocie będzie znikać.

Potrzeba na to czasu. Względy ekonomiczne (marnowanie zasobów pracy, obciążanie budżetu państwa zasiłkami) oraz moralne i społeczne wymagają, aby problem został rozwiązany względnie szybko. Dlatego na czas przejściowy należy przyjąć rozwiązanie nadzwyczajne: stopniową likwidację zasiłków dla bezrobotnych i interwencyjne zatrudnianie ich przez państwo przy robotach publicznych.

Interwencyjnie zatrudniani otrzymają wynagrodzenie wyraźnie wyższe od zasiłków, początkowo w granicach 50-60% przeciętnego wynagrodzenia i będą zobowiązani do pracy w niepełnym wymiarze godzin. Wzrost czasu pracy, sukcesywnie wprowadzany, a także specjalizacja pracy spowodują zwiększenie wynagrodzenia - aż po zrównanie z normalnymi zarobkami w końcowym etapie stosowania tego rozwiązania nadzwyczajnego. Interwencyjnie zatrudniani kierowani będą do pracy - w miarę możliwości - zgodnie z ich zawodem. Większa część obecnych bezrobotnych to pracownicy fizyczni o niezbyt wysokich kwalifikacjach. Wykorzystani zostaną oni przede wszystkim przy realizacji wielkich państwowych programów inwestycyjnych. Aktywizacja wielkich zasobów pracy, w tej chwili trwonionych, pozwoli - przy względnie niskich nakładach finansowych - na wykonanie licznych przedsięwzięć, zwłaszcza inwestycyjnych i przyczyni się do przyspieszenia ożywienia gospodarczego.

W miarę wychodzenia kraju z kryzysu i zwiększania zatrudnienia, interwencyjnie zatrudniani przez państwo przechodząc będą do pracy w przedsiębiorstwach i instytucjach na normalnych zasadach.

Zasada szósta: zlikwidować deficyt budżetowy przez zwiększenie wpływów, zmniejszenie wydatków. Rośnie on systematycznie od wielu lat i już dawno przekroczył granice bezpieczeństwa. Stara komunistyczna zasada, aby go pokrywać przez obcinanie wydatków na ważne potrzeby społeczne oraz przez druk pustych złotych, jest konsekwentnie kontynuowana przez wszystkie rządy Trzeciej Rzeczypospolitej. Próby racjonalizacji budżetów, od 1992 r. podejmowane corocznie przez Klub Parlamentarny KPN nie dały jeszcze istotniejszych rezultatów. Stagnacyjne budżety ograniczają wydatki na ważne potrzeby społeczne i państwowe, dławią rozwój gospodarczy, powodują inflację. Konstruowane są na bardzo prostej zasadzie: Wpływy budżetu państwa wyniosą tyle a tyle, wydatki należy do nich przykrawać; skoro nie uda się to w całości, deficyt pokrywa się drukując papier - nowe edycje różnych obligacji państwowych i pozbawione pokrycia banknoty.

Trzeba przejść do budżetów dynamicznych, nakręcających koniunkturę, w których nawet deficyt zostaje zaprzęgnięty do pozytywnej roboty. Co najmniej od czasów Johna Keynesa wiadomo jak to robić, a kraje gospodarki rynkowej dawno już opanowały tę sztukę wychodzenia z kryzysu. Model konstruowania budżetu można przedstawić równie prosto, jak przedstawiony wyżej. Należy możliwie dużą część uzyskiwanych wpływów, w tym środki pozyskiwane na pokrycie deficytu budżetowego (dopóki jeszcze występuje) kierować do gospodarki, aby - zwiększając jej obroty - uzyskać wzrost wpływów, pozwalających na pokrycie wydatków. W ten sposób posiadane pieniądze (a i deficyt budżetowy!) - mogą dla budżetu zapracować.

Taka polityka budżetowa, w połączeniu z proprodukcyjną polityką gospodarczą państwa, przyczynia się do wychodzenia z kryzysu i prowadzi do zmniejszania deficytu.

Szybka likwidacja deficytu wymaga jednak obcięcia części występujących obecnie wydatków. Budżet przygniatają ogromne i stale rosnące wydatki na pokrycie emerytur i na świadczenia społeczne, w tym ochronę zdrowia i zasiłki dla bezrobotnych. Są to wydatki konieczne, ale coraz bardziej nie dostaje na nie pieniędzy. Kolejne rządy nie wiedzą, co robić - a przynajmniej tak się zachowują.

Rozwiązane istnieje. Wyżej, pisząc o reformie metod prywatyzacji, podniosłem postulat utworzenia Funduszu Ubezpieczeń Społecznych i Funduszu Ochrony Zdrowia; każdy z nich otrzymałby majątek o równowartości co najmniej 2 miliardów USD (tj. 50 bilionów zł.), umieszczony w akcjach i udziałach rentownych przedsiębiorstw, poddanych prywatyzacji w ramach NFI. Aktywa te należy kapitalizować, co pozwoli otrzymywać stały dochód z odsetek od kapitału. Oba Fundusze gromadzić będą składki ubezpieczeniowe i wpływy z innych źródeł. Całkowicie samodzielne i niezależne od rządu, same będą gospodarować własnym majątkiem i wypłacać należne świadczenia. Pozwoli to w ciągu paru lat na zasadniczą redukcję wydatków budżetowych. Przejęcie finansowania ubezpieczeń społecznych i ochrony zdrowia przez niezależne Fundusze będzie działaniem zarówno w interesie państwa jak ubezpieczonych. Prawdę mówiąc, wszyscy wiedzą, że jest to jedyne wyjście, ale... ci co rządzą, i co, co rządzących wspierają nie chcą tracić na taki cel pieniędzy z prywatyzacji. Na NFI można dobrze zarobić i niejeden już ostrzy zęby.

Przedstawiony wyżej projekt interwencyjnego zatrudniania bezrobotnych przez państwo nie spowoduje natychmiastowego ograniczenia wydatków budżetowych, ale zmieni ich charakter. Dotychczasowa globalna kwota, przeznaczona na zasiłki dla bezrobotnych, skierowana będzie na wynagrodzenie ludzi pracujących przy robotach publicznych. Przy okazji uporamy się ze zjawiskiem tzw. fikcyjnego bezrobocia; nie będzie można brać zasiłków i równocześnie pracować na czarno. Najważniejsze jednak jest, że te pieniądze kierowane będą na cele produktywne: pomogą finansować przedsięwzięcia inwestycyjne, co przyczyni się nie tylko do poprawy sytuacji gospodarczej, lecz zwiększy wpływy do budżetu państwa.

Tak pomyślana walka z deficytem budżetowym, nie przynosząc żadnej szkody istotnym interesom społecznym, przyczyni się zasadniczo do odzyskania równowagi finansowej państwa i będzie skutecznym narzędziem zdławienia inflacji.

Zasada siódma: Programy inwestycyjne i przemysł wybranych regionów kołem zamachowym gospodarki. Nie wystarczy uruchomienie procesów żywiołowych; pieniądze kierowane na rynek automatycznie będą prowadzić do wzrostu zakupów, a ten do odbudowy produkcji. Aby zintensyfikować i przyspieszyć wychodzenie z kryzysu, państwo - ciągle jeszcze największy właściciel w naszej gospodarce narodowej - musi podjąć wielkie inicjatywy gospodarcze. Powinny one działać stymulująco na całą gospodarkę.

Jest kilka dziedzin, gdzie wiodący udział państwa stał się niezbędnym. Dotyczy to w pierwszym rzędzie rozbudowy infrastruktury komunikacji i łączności. Bez zdecydowanego postępu w tej dziedzinie nie ma mowy o szybkim skoku cywilizacyjnym, a więc i gospodarczym Polski. W zakresie komunikacji chodzi o szybką budowę pierwszej sieci autostrad, obejmującej co najmniej dwie autostrady wschód-zachód i dwie północ-południe. Obok tego modernizacji wymaga cała sieć

dróg, a także pilnie potrzebne są inwestycje pozwalające na uporanie się z gwałtownym wzrostem ruchu samochodowego w miastach. Równie pilna jest modernizacja kolei, zwłaszcza linii tranzytowych, oraz rozbudowa infrastruktury transportu lotniczego; ogromne możliwości Polski, wynikające z jej położenia w samym środku Europy muszą zostać wyzyskane. Pilna staje się budowa rurociągów, w szczególności zapewniających nam dostawy gazu z alternatywnych kierunków. Wielce obiecujący jest ukraińsko-białoruski pomysł, aby wykorzystując częściowo istniejącą sieć, połączyć rurociągiem Gdańsk z Odessą, uzyskując - we współpracy z Turcją - najkrótszą drogę dostaw ropy naftowej z Bliskiego Wschodu do centrum Europy i strefy bałtyckiej. Z równą energią trzeba się wziąć do rozbudowy infrastruktury łączności. Światłowody nie mogą być w Polsce rarytasem.

Wielkim problemem społecznym jest brak mieszkań. Około dwu milionów rodzin nie dysponuje własnym mieszkaniem. Koszt budowy lub zakupu mieszkania wielokrotnie przekracza możliwości rodzin pracowniczych, zwłaszcza młodych małżeństw. Program uwłaszczenia rodzin, wskazany wyżej, przewiduje nisko oprocentowane i umarżane kredyty na zakup i budowę mieszkań. Fundusz Budownictwa Społecznego będzie dysponował poważnymi i zwiększającymi się środkami. Konieczna jest jeszcze inwestycyjna inicjatywa państwa, uruchamiająca program masowego budownictwa mieszkaniowego. Łączy się z tym problem budowy obiektów społecznych oraz modernizacji i rozbudowy bazy dla potrzeb nauki i oświaty.

Odrębne programy inwestycyjne należy przygotować dla przełamania katastrofalnego stanu środowiska przyrodniczego - poczynając od budowy oczyszczalni ścieków aż po szeroko zakrojone zalesiania terenów nie nadających się do użytkowania rolniczego.

Nie trudno zauważyć, że wszystkie proponowane programy inwestycyjne obejmują dziedziny, powszechnie w świecie uznane za szczególnie zyskowne. Od dość dawna panuje sytuacja, nie tylko w Polsce, że więcej jest firm, starających się uzyskać w tych dziedzinach zamówienia, niż zleceń inwestycyjnych. Wyścig zachodnich firm, aby przejąć zamówienia na planowaną budowę autostrad jest wielce wymowny. Ułatwi to realizację rządowych programów inwestycyjnych. We współpracy z prywatnymi przedsiębiorstwami polskimi i zagranicznymi, z gminami i funduszami społecznymi tworzyć można będzie struktury wykonawcze, zdolne do realizowania najbardziej skomplikowanych zadań. W dodatku, dzięki państwowemu systemowi interwencyjnego zatrudniania bezrobotnych, do dyspozycji będzie znaczna ilość taniej kadry pracowniczej, w tym zwłaszcza wykwalifikowanych pracowników budownictwa.

Rozpoczęcie wielkich przedsięwzięć inwestycyjnych przyczyni się znacznie do ożywienia gospodarczego. Aby jednak doprowadzić do szybkiego przełomu, konieczne jest zdecydowane zwiększenie aktywności przemysłowej. Hamulcem w tej dziedzinie jest dekapitalizacja zakładów przemysłowych oraz niedostatek środków obrotowych. Trudno jest wspomóc wszystkich, a rozpraszanie środków opóźnia i zmniejsza efekty. Konieczna jest więc koncentracja środków, jakie uda się zmobilizować państwu, także wykorzystując takie narzędzia, jak deficyt budżetowy czy ulgi podatkowe. Biorąc pod uwagę wielorakie czynniki, doszliśmy w zespole ekspertów gospodarczych KPN do wniosku, że szczególna rola nadania impulsu polskiemu przemysłowi powinna przypaść regionom przemysłowym Górnego Śląska i

Centralnego Okręgu Przemysłowego. Skupiają one nie tylko liczącą część naszego potencjału gospodarczego, lecz chodzi o zakłady bardziej nowoczesnie wyposażone i względnie nieźle doinwestowane; udział tych regionów w wytwarzaniu PKB jest znaczny. W wielu wypadkach zwykle zatrzymanie do użycia na miejscu wytworzonych środków da znaczny skok produkcyjny. Dotyczy to zwłaszcza regionów górnośląskiego i krakowskiego.

Selektywnie wybrane kierunki inwestycji oraz regiony i zakłady przemysłowe powinny stać się kołem zamachowym polskiej gospodarki.

Zasada ósma: stworzyć korzystne warunki dla rozwoju przedsiębiorstw. Gospodarka rynkowa oparta jest o przedsiębiorstwa. Jej rozwój zależy przede wszystkim od tego, czy rozwijają się przedsiębiorstwa. Jest to truizm, ale w kraju rządzonym przez ludzi, opowiadających się za doktryną liberalizmu gospodarczego - zadziwia, że prawie nikt z kolejnych decydentów nie chce tych oczywistych prawd przyjąć do wiadomości.

Wprawdzie prywatni przedsiębiorcy są zadowoleni. Jeszcze. A to dlatego, że ciągle cieszą się, że w Polsce można prowadzić nieskrępowaną działalność gospodarczą. Zupełnie jak na Zachodzie. Trwa to od kilku lat, a niezorientowani, czy ulegający rządowej propagandzie ciągle naiwnie sądzą, że zawdzięczają to planowi Balcerowicza. Zwolna jednak możliwość zakładania przedsiębiorstw i prowadzenia działalności gospodarczej w swobodnie wybranej dziedzinie staje się czymś absolutnie normalnym. Przestaje cieszyć sama przez się, przedsiębiorcy zaczynają się domagać czegoś innego.

Niektórzy uważają, bądź jeszcze do niedawna uważali, że polityka gospodarcza rządu jest dla nich korzystna. Z zadowoleniem przyjęli swego czasu deklarację ministra przemysłu w rządzie Bieleckiego, pani Henryki Bochniarz, że najlepsza polityka gospodarcza rządu - to brak jakiegokolwiek polityki. No cóż, zadziałały dawne strachy prywatnej inicjatywy przed groźnym komunistycznym państwem. Teraz jednak przedsiębiorcy przekonują się, że desinteressment rządu oznacza, iż wobec trudnych problemów pozostają samotni. Dlaczego przedsiębiorca francuski czy niemiecki może liczyć na wsparcie ze strony własnego rządu, a my nie? - pyta w niedawnym wywiadzie prasowym jeden z tuzów naszego biznesu. Sporo jest takich, którzy jeszcze radzą sobie dobrze, ślizgając się na samej krawędzi legalności - ale mądrzejsi z nich wiedzą, że ten czas musi się skończyć. Inni potrafili korzystać z układów politycznych, ale te rwą się i rozsypują. Jeszcze inni wykorzystali fakt, że od kilku lat państwo nie broni rodzimej polskiej wytwórczości i sporo zarobili na imporcie przeróżnej tandety i niskiej klasy żywności. Ale rynek już się tym zapchał. Coraz powszechniej zaczyna zwracać uwagę, że polityka gospodarcza kolejnych rządów jest zła i nie służy rozwojowi przedsiębiorczości. A nawet wręcz przeciwnie: że przeszkadza i utrudnia. Świadczy to o jednym: że prywatna przedsiębiorczość, zachwycona, że może swobodnie działać - i że tyle jest możliwości, legalnych i nielegalnych - zarobienia wielkiej forsy, zaczyna wychodzić z euforii. Zamiast liczyć na wielkie fuksy - zaczyna liczyć, co się w normalnej działalności opłaca, jakie występują przeszkody i jakie są możliwości ich przezwyciężenia. Coraz częściej ten rachunek wypada źle, a nawet bardzo źle.

To w sektorze prywatnym. Bo szefowie państwowych przedsiębiorstw dawno już zauważyli słabe strony takiej polityki, zwłaszcza że ich zakłady, nadal cierpiące na

ograniczenia pozostałe z dawnego systemu, boleśnie dotknięte zostały nowymi obciążeniami.

W porównaniu z warunkami panującymi w krajach gospodarki rynkowej, sytuacja przedsiębiorczości w Polsce jest bardzo trudna. Bez szybkiej zmiany na lepsze, przedsiębiorstwa nie będą w stanie nadać gospodarce potrzebnego impetu.

Dotyczy to nie tylko przedsiębiorczości polskiej. Kapitał zagraniczny, mimo werbalnych zachęt, nie kwapi się do poważniejszego angażowania w Polsce. W porównaniu z nadziejami i projektami kolejnych rządów, inwestycje zagraniczne są małe. W dodatku ograniczają się głównie do względnie tanich zakupów prywatyzowanego majątku, co można traktować raczej jako korzystną lokatę kapitału, niż rozpoczęcie poważnej działalności gospodarczej. Mnożą się przykłady, że firmy zachodnie, które zamierzały rozwinąć szerszą aktywność, wstrzymują się z dalszym angażowaniem kapitału.

Nic dziwnego. Każde przedsiębiorstwo zarobkowe, polskie czy zagraniczne, prywatne czy państwowe działa tylko w jednym celu: aby zarobić - czyli mieć zysk. Jeśli jest to niepewne, a stworzone przez politykę państwową warunki raczej utrudniają niż ułatwiają aktywność gospodarczą - firmy wycofują się. Co najwyżej szukają szczególnych możliwości, takich jak działalność w szarej strefie, czy wręcz poza granicą prawa; jeśli nie chcą zbankrutować, muszą omijać i naruszać przepisy - zwraca się dziennikarzowi znany biznesmen. Obcy kapitał zainteresowany jest raczej transakcjami spekulacyjnymi, niż produktywnymi. Zyski wywozi się z Polski. Także dlatego, że zainwestowane gdzie indziej, te pieniądze znacznie więcej zarobią.

Polityka państwa wobec przedsiębiorczości powinna ulec radykalnej zmianie. Uczciwa aktywność gospodarcza musi spotykać się z życzliwym i skutecznym poparciem ze strony państwa i władz administracyjnych. Urzędnikom należy wpoić przekonanie, że im bardziej rentowne są przedsiębiorstwa, tym bogatszy staje się kraj i całe społeczeństwo, rosną wpływy budżetowe i starcza również na ich pensje. Klimat wokół przedsiębiorczości musi zmienić na lepsze.

Nie wystarczy jednak dobra wola i powszechna życzliwość. Konieczne są działania państwa, tworzące rzeczywiste warunki dla rozwoju przedsiębiorczości.

Wszystkie przedsiębiorstwa działające w Polsce, bez względu na to kto jest ich właścicielem, muszą posiadać te same prawa i obowiązki. Jakakolwiek dyferencjacja jest niedopuszczalna. Nie ogranicza to rzecz jasna polityki gospodarczej państwa, która w zależności od potrzeb forytować może różne dziedziny czy też regiony gospodarcze. W tych ramach wszystkie przedsiębiorstwa traktowane być muszą równo. Przepisy, dotyczące działalności gospodarczej powinny być jasne i niezmiennące się. Stabilizacja warunków formalnych i praktyki traktowania przedsiębiorstw jest zasadniczym czynnikiem zapewniającym ich rozwój.

Polityka podatkowa powinna sprzyjać wytwórczości. Stawki podatkowe muszą być trwałe, tak aby można zachęcać do racjonalnych długoterminowych inwestycji. Nic nie jest równie szkodliwe, jak zaskakujące podnoszenie obciążeń. Przynajmniej na okres dziesięciu lat należy obniżyć maksymalne stawki podatkowe.

Wszystkie nakłady na inwestycje produktywnie muszą być odpisywane od podstawy opodatkowania w 100 %, ale luksusową konsumpcję należy wyżej opodatkować. Cła powinny być racjonalne i w miarę możliwości stałe, tak konstruowane, aby wspierać rodzime przedsiębiorstwa. Równocześnie jednak wykonanie obowiązku podatkowego i celnego trzeba egzekwować z całą

stanowczością prawa. Przedsiębiorcy muszą rozumieć, że polityka podatkowa i celna będzie dla nich korzystna, ale interes państwa i gospodarki wymaga, aby i oni skrupulatnie wywiązywali się z obowiązków. W krajach zdrowych gospodarczo państwo wspiera przedsiębiorczość, a przedsiębiorstwa wspierają państwo - w obopólnym przecież interesie.

Współczesna gospodarka nie może rozwijać się bez kredytów. Są one w Polsce horrendalnie drogie - nawet uwzględniając wysoką stopę inflacji. Systematyczne tanienie kredytów, a w niektórych dziedzinach kredyty preferencyjne musi stać się jednym z podstawowych założeń polityki pieniężnej. Wymaga to nowej instrumentacji. System bankowy w Polsce powinien ulec szybkiej przebudowie, poczynając od likwidacji banku centralnego w jego dotychczasowej formie i przywrócenia Banku Polskiego S.A. Musi istnieć jeden rynek kredytowy, dostępny dla wszystkich działających w Polsce przedsiębiorstw.

Polityka państwowa powinna wspierać przede wszystkim przedsięwzięcia produktywne, a nie spekulacyjne. Poważną rolę może spełnić w tym zakresie giełda.

Zasada dziewiąta: obrona rynku krajowego. Nie chodzi o żadną autarkię czy wprowadzenie systemu protekcyjnego. Wręcz przeciwnie. Polska powinna być aktywnym, otwartym uczestnikiem światowego i europejskiego obrotu gospodarczego. Nie bądźmy jednak bardziej papiescy, niż sam papież. Wszystkie kraje rozwinięte bronią swojego rynku i my musimy zastosować się do tej normy. Będąc słabszym partnerem, nie możemy sobie pozwolić na zbyt wiele, choćby na taką obronę własnego rynku, jaką stosuje Francja czy Stany Zjednoczone. Niemniej w rozsądnym wymiarze powinniśmy stosować wszystkie mechanizmy jakimi posługują się inne państwa, chroniące własne interesy ekonomiczne przez ochronę własnego rynku, preferowanie rodzimych przedsiębiorstw i wspieranie własnego eksportu. Wymaga to m.in. uważnej analizy i renegocjacji niektórych naszych porozumień międzynarodowych, zwłaszcza z Unią Europejską. Sama obietnica przyjęcia nas w bliżej niesprecyzowanym czasie i na nieznanych warunkach do zachodnioeuropejskiej wspólnoty gospodarczej nie jest powodem, aby układać wzajemne stosunki gospodarcze na nierównoprawnych zasadach.

Brak niepodległości gospodarczej wcale nie przyspiesza integracji gospodarczej, a raczej ją opóźnia i utrudnia. Francja od dziesięcioleci jest w awangardzie jednoczenia zachodniej Europy tylko dlatego, że cały czas jest państwem podkreślającym swą suwerenność państwową i niepodległość gospodarczą; Niemcy w toku procesów integracyjnych oba te przymioty silnie umocnili. Uległość prowadzi do stanu półkolonialnego, a ten rodzi problem wyzwolenia, a nie połączenia się. Niekorzystne stosunki gospodarcze powodują, że ten, kto na tym korzysta, zmierza do ich utrwalenia - a nie zmiany na korzyść eksploatowanego.

Pamiętając o potrzebie korzystnych przemian w gospodarce światowej, co można osiągnąć tylko wspólnie - twardo musimy bronić naszego interesu. Wymaga to skutecznej obrony własnego rynku i własnej przedsiębiorczości. Gdy będziemy tak czynili, inni będą mieli do nas szacunek, a wzajemne stosunki ułożą się na zdrowych podstawach.

Zasada dziesiąta: Współpraca krajów Międzymorza. Nasze gospodarki są w znacznej mierze komplementarne, chociażby ze względu na podział pracy i specjalizację wprowadzaną przez ostatnie dziesięciolecia. Jesteśmy w stanie dostarczać sobie wzajemnie wielu potrzebnych towarów za względnie niskie ceny. Dotyczy to

również najnowszych technologii - przynajmniej niektórych. Tak na przykład w zakresie łączności Ukraina jest nam w stanie dostarczać urządzenia na wyższym poziomie nowoczesności, niż firmy zachodnie - te bowiem oferują nam sprzęt na średnim poziomie światowym, gdy znacznie taniej możemy uzyskać na poziomie niezbędnym dla programów kosmicznych. Odbudowa więzów kooperacyjnych jest bez wątpienia łatwiejsza, niż tworzenie nowych.

Istniejące wielkie możliwości są wykorzystywane tylko w mikroskali - głównie przez prywatne firmy. Potrzeba jest jasna polityka państwowa, a także tworzenie międzypaństwowych instytucjonalnych instrumentów tego współdziałania. Współpraca i integracja wysiłków, dynamiczne ożywianie wzajemnych stosunków i wspieranie się na rynkach światowych kryje w sobie ogromne możliwości. Z takiej współpracy regionalnej, począwszy od tzw. trudnych przemysłów - czyli węgla i stali - zrodził się sukces gospodarczy Europy zachodniej. My również musimy wykorzystać tę szansę. I działać w zgodzie i prawidłami współczesnej gospodarki światowej, która preferuje bardzo silnie wielkie rynki. Takim potencjalnym wielkim rynkiem jest Międzymorze.

8. Potrzeby narodowe

Dalszy bezpieczny rozwój narodu i państwa wymaga zaspokojenia potrzeb mających wymiar najbardziej perspektywiczny i ogólny. Na plan pierwszy wysuwa się oświata, nauka i kultura.

Kryzys oświatowy jest większy i bardziej szkodliwy niż gospodarczy. Przybiera on różne formy. Radykalnie zmniejszył się dostęp do oświaty. Nawet w zakresie podstawowego szkolnictwa obowiązkowego, a cóż dopiero w szkolnictwie średnim, zawodowym, pomaturalnym i wyższym! Poważna część naszej młodzieży została pozbawiona możliwości kształcenia się. Spowodowane to zostało nieuzasadnioną redukcją obowiązków i zainteresowania państwa, drastycznym zmniejszeniem nakładów oraz rozwarstwieniem majątkowym społeczeństwa, powodującym że jego ogromna większość, o dochodach na członka rodziny poniżej przeciętnej nie ma z czego finansować kształcenia swych dzieci. W nowych warunkach, wymagających edukacji całego społeczeństwa, aby mogło należycie funkcjonować, zamiast rozwoju mamy ostry regres.

Tak pomniejszona oświata ma ogromne trudności z tym, czego należy nauczać. Zwłaszcza w dziedzinach humanistycznych zamęt jest zupełny. Nie ogranicza się on do tego, że jedną propagandę polityczną zastępuje się inną propagandą polityczną; to jeszcze, przy rzetelnym podejściu, dałoby się szybko uzdrowić. Gorzej, że brakuje podstawowych koncepcji merytorycznych: Polacy nie wiedzą, jak oceniać naszą kulturę, naszą historię, naszą myśl - ale nie wiedzą też, jak traktować europejską i światową; bezmyślny internacjonalizm czy też uniwersalizm (głównie w formie europeizmu) i zaściankowa parafiańszczyzna pasują do siebie idealnie, potęgując ogólne zamieszanie. A równocześnie olbrzymie dziedziny, związane z przygotowaniem do życia we współczesnym świecie, umiejętność posługiwania się mechanizmami demokracji, znajomość zasad gospodarki rynkowej, narzędzia porozumiewania się z innymi - wszystko to prawie zupełnie leży odłogiem.

Niemal całkowicie zapomniano o moralnym wymiarze oświaty: systemu, treści, nauczających, nauczanych - co najwyżej zastępując go płaskim moralizatorstwem. Obciąża to nie tylko szkołę.

We wszystkich dziedzinach i zakresach oświaty straty są ogromne i w poważnej mierze nieodwracalne. Tym pilniejszy jest ratunek. Wymaga on pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy - ale ostatecznie zależy nie od środków, lecz od ludzi. Jaka jest myśl edukacyjna, tacy są nauczyciele; jacy są wychowawcy, tacy będą uczniowie; jak będzie młodzież kształtowana, taka będzie Rzeczpospolita.

Sprawny, nowoczesny, rozsądny, odpowiadający potrzebą system edukacyjny musi być szybko stworzony i bez skąpienia środków wprowadzony w życie. Przede wszystkim powszechny system kształcenia dzieci i młodzieży. Lecz również ustawicznego kształtowania dorosłych, zwłaszcza w umiejętnościach zawodowych.

Tragicznie przedstawia się stan nauki. Nie tylko z powodu katastrofalnego braku środków. Nie starcza ich nie tylko na badania, ale nawet na zaznajomienie się z najbardziej podstawowym światowym piśmiennictwem naukowym. Nasza nauka zatrzymała się na osiągniętym poziomie, ogólnie dość przyzwoitym, zwłaszcza w naukach ścisłych i technicznych - lecz w niektórych dziedzinach nie za wysokim, a w niektórych - skandalicznym.

Myślę zwłaszcza o tych dyscyplinach, w których kategorie prawdy ustąpiły kategoriom politycznej słuszności. Bardzo wyraźnie widać to w ekonomii. Kolejne pokolenia absolwentów wyższych uczelni ekonomicznych uczone były według obowiązującego modelu gospodarki socjalistycznej. A przecież zupełnie inny obowiązywał do 1956 r., zupełnie inny za Gomułki, zupełnie inny w latach '70, inny w okresie stanu wojennego, inny po 1985 r. Co gorsza, takie różne wykształcenie otrzymywali także, i wdrażali się w nim, profesorowie ekonomii. Oczywiście, znaczna część dokształcała się w prawidłach kolejnych modelach obowiązującej gospodarki, wielu sięgało do światowej myśli ekonomicznej, na fundamencie tego co ich nauczono budując wybiórcze konstrukcje. Efekty widzimy, nie tylko w Polsce. Mamy wielu inteligentnych ekonomistów; wielka szkoda, że prawie wszyscy niedouczeni są w ekonomii.

Inną taką upośledzoną specjalnością jest dziennikarstwo: parę generacji wyszkolono i kazano obracać się w zupełnie wymyślonym świecie; jak bardzo utrudnia to zrozumienie rzeczywistego!

Najgorzej tam, gdzie nie ma bezpośredniej konfrontacji z rzeczywistością. W naukach historycznych, naukach prawnych, naukach o społeczeństwie, naukach o kulturze przez całe dziesięciolecia nie tylko rozwijano błędne i głupie teorie. Ostatecznie od marksistowsko-partyjnego sposobu podejścia do tych dyscyplin można się uwolnić. Wielu to z powodzeniem cały czas czyniło. Gorzej, gdy przedmiotem badania naukowego uczyniono coś, co było celową nieprawdą. Jaką historię Polski, historię powszechną badano, studiowano i wykładano przez trzy pokolenia? Historię nierzeczywistą, wymyśloną na użytek zniewolenia, dbającą jedynie o pozory prawdopodobieństwa, zgodność daty i nazwiska, jeśli były słuszne i nie wymagały unicestwienia. Historia to polityka pisana w przeszłość - powtarzano - ba, powtarza się nadal! Ale chodziło o coś więcej, niż zwykłą manipulację polityczną. Odbiercie Polakom ich przeszłość, przestaną być odrębnym narodem - mówiła swego czasu osoba tak oświecona, jak Katarzyna II. Próbowali to robić przeróżni Iłowajscy i Apuchtinowie, ale znaczące efekty osiągnięto dopiero w systemie totalitarnym.

Dobrana zgraja deprawatorów umysłów chciała zabić Polskę także w polskiej historii. Osobnicy w rodzaju Henryka Jabłońskiego, wyzuci z zasad moralnych, łączący zdradę narodową z oszustwem naukowym, przewodzili tej zbrodniczej inkwizycji historycznej. Tworzyli szkoły, zatrute jadem zohydzenia wszystkiego co polskie, co w naszej historii godne szacunku - a wynoszenia pod niebiosa ich stalinowskiego rajy wszystkiego co nędzne, podłe i głupie - poczynając od ich własnych protektorów. Dzisiaj nas zaskakuje, że Prezydent Niemiec nie słyszał o Powstaniu Warszawskim (szczęśliwie z tej gafy potrafił wyjść zręcznie i przyzwoicie), ale to przecież efekt parudziesięciu lat pracy oficjalnej polskiej nauki historii, dla której najwybitniejsze polskie czyny były kłopotliwe, najchętniej przemilczane, a jeśli już trzeba było o nich pisać, to dwuznacznie lub źle. Trzecie pokolenie Polaków uczy się (bo trwa to i dzisiaj!) pogardy do naszej narodowej przeszłości.

Podobnie można ocenić wiele innych dyscyplin. Politologia sprowadzona do manipulacji, socjologia do socjotechnik, polonistyka znaczną część swego półwiecznego wysiłku poświęcająca analizie dzieł, które nie były ani literackie, ani polskie. Parlamentarne prace nad konstytucją ujawniły zdumiewające braki w nauce prawa państwowego¹⁷.

Równie kaleki był rozwój kultury, szczególnie w tych zakresach, które działały bardziej masowo i wpływały na zachowanie społeczne. Tam, gdzie krąg odbiorców był węższy (muzyka poważna, w pewnym stopniu plastyka), możliwości twórcze spotykały się ze słabszymi rygorami. Jakkolwiek polityka kulturalna PRL ulegała częstym zmianom, stałymi jej zasadami były relatywizm moralny i pomniejszanie wartości narodowych. Skutecznie podważano zasadność kategorii dobra i zła, względność jakichkolwiek zasad. Dominował jednostronnie krytyczny osąd polskiej przyszłości, ale także terażniejszości - z tym, że w historii potępiano tych, którzy działali dla dobra Rzeczypospolitej i jej niepodległości, a współcześnie tych, którzy nie chcieli służyć PRL. Ogólnie jednak, dawniej i dziś, Polacy byli ciemni, brudni i głupi - odróżniając się niekorzystnie od wszystkich innych narodów. Nawet niewątpliwe osiągnięcia artystyczne, jak na przykład polska szkoła filmowa z przełomu lat 50 i 60 przekazywała jawne fałszy i były tylko doskonałym pod względem formalnym instrumentem zniewalania. Cały ten kierunek tylko po części był przejawem lewicowego myślenia (podważanie zasad moralnych, wartości i tradycji); to raczej lewicowe myślenie wykorzystywano dla potrzeb totalitarnej i hegemonistycznej polityki, jako ważne narzędzie utrzymania w niewoli Polaków. Ostrzeżenia, nawet dość wczesne (np. Umysł zniewolony Czesława Miłosza z 1955 r. - choć emigracyjny, to dobrze znany w kraju) odbijały się od większej części środowisk intelektualnych niczym groch od ściany.

17 Trudno się temu dziwić, skoro przez kilkadziesiąt lat studiowano konstytucję, jaka nie istniała w rzeczywistości, a była tylko propagandową fasadą; jaką wartość mają naukowe ustalenia dotyczące praw obywatelskich w PRL i zachwyty, że każdy obywatel ma konstytucyjne prawo do uzyskania mieszkania, albo analizy mechanizmu podejmowania decyzji państwowych pod rządami Konstytucji z 22 lipca 1952 r., skoro uczeni autorzy jak diabeł święconej wody bali się wspomnieć o istnieniu Biura Politycznego KC PZPR. Równie trafne i równie naukowe wnioski można by wyprowadzić z analizy funkcjonowania absolutystycznej monarchii francuskiej w ostatniej ćwierci XVII wieku, dokonanej przy całkowitym pominięciu faktu, że istniał wówczas król (i że był nim w dodatku Ludwik XIV); podobne założenie każdy odrzuci jako absurdalne, lecz wielu zapewne obrazi się, gdy im wspomnieć, że przez całe lata nic innego nie czynili. Skutki widać wyraźnie.

Kulturę zachodnią dopuszczano wrywkowo i w zależności od potrzeb politycznych. Dopiero w ostatnich latach runęła ona masowo do Polski. Podobnie jak wcześniej reglamentacja, tym razem nadmiar żywiowości wywołuje ujemne skutki. Polska stała się przedmiotem inwazji głównie amerykańskiej kultury masowej, ale w jej niższych partiach, podporządkowanych komercjalizacji, dostosowanych do poziomu ludzi, którzy wcześniej nie byli odbiorcami jakiegokolwiek kultury, zwłaszcza artystycznej. Oczywiście, ta dziedzina twórczości i masowego współuczestnictwa twórców i odbiorców, ważna i potrzebna - ma rację bytu i nie trzeba się od niej odżegnywać. Nie może jednak zastępować całej kultury. Zwłaszcza, że niewątpliwe osiągnięcia całej światowej i europejskiej myśli twórczej, dokonane w ubiegłym półwieczu, nie po 45 nie zostały w Polsce społecznie przyswojone, a choćby tylko poznane; nawet elity czyniły to tylko wybiórczo. Stąd kulturowe opóźnienie i zamieszanie. Normalnie, np. we Francji czy USA - mamy kulturę wielopoziomową, a nawet jej poziom najwyższy dość masowo promieniuje na społeczeństwo. U nas - wykaz opublikowanych tłumaczeń z ostatnich lat aż nadto wyraźnie ukazuje preferencje.

Kwestie, poruszane w tym rozdziale, przedstawiłem fragmentarycznie i raczej przykładowo, aby scharakteryzować całość zagadnienia, a nie wskazać na wszystkie jego istotne elementy. A kwestia należy do najważniejszych. Radykalna zmiana stanu rzeczy w oświacie, nauce i kulturze jest najpilniejszym zadaniem, przed którym stoi współczesna Polska. Nie uradzi mu samo państwo, niezbędne są działania zespolone, ogólnospołeczne, a zwłaszcza aktywność środowisk, które w tych dziedzinach mają coś do powiedzenia. Kręgi opiniotwórcze - tworzące, upowszechniające, kształtujące i kształtujące powinny zacząć od krytycznej refleksji o samych sobie i znaleźć dość energii, aby decydująco uczestniczyć w zmianie niedobrego stanu rzeczy. Obowiązki władz państwowych są jednak ogromne. Przede wszystkim Rzeczpospolita powinna szybko doprowadzić do tego, aby dynamika wzrostu wydatków na szeroko pojętą oświatę, naukę i kulturę zaczęła przewyższać wszystkie inne. Programy sanowania całej strefy duchowego życia narodu muszą mieć absolutny priorytet. Trudno mi w tej książce, poświęconej innemu tematowi, rozwijać tę myśl szerzej, ale wagę zagadnienia, najważniejszego zapewne w dłuższej perspektywie, pragnę podkreślić jak najsilniej.

Równie krótko odniosę się do innej kwestii kapitalnego znaczenia - obrony narodowej. Proszę się nie dziwić, że temat ten poruszam wspólnie z zagadnieniami duchowego życia narodu. W naszej tradycji i kulturze obrona Ojczyzny i walka o niepodległość stanowi wielką wartość - i jak żadna inna, ta właśnie wartość była zwalczana i zohydzana przez całe poprzednie półwiecze. Współcześnie w krajach cechujących się przesytem konsumpcji występują dość naiwne prądy pacyfistyczne, oparte o przekonanie, że jeśli ja odłożę broń, aby uprawiać miłość, nie wojnę - to napastnik uczyni to samo, i nie zgwałci mojej dziewczyny. Ogólnie w sytych społeczeństwach następuje, jak to określił nieodżałowany Stefan Kisielewski - zanik duszy wojownika. Zjawisko to przenika szeroko do Polski, znajdując grunt przygotowany przez półwiecze komunistycznej edukacji, wpajającej ludziom, że obrona ojczyzny jest czymś głupim i niepotrzebnym, powodującym zarazem nieszczęścia narodowe i pogardę innych, bardziej cywilizowanych. Zostanie po was złom żelazny, i głuchy, drwiący śmiech pokoleń - tak o pokoleniu, które potrafiło upomnieć się o Polskę i wszystko jej ofiarować - pisał oficjalny ideolog stalinowskiej

kultury, złamany i zdeprawowany w błocie Auschwitz, a za nędzne grosze wyniesiony na piedestał przez przedstawicieli cywilizacji Kołomy.

Obrona narodowa to przede wszystkim zagadnienie dotyczące zbiorowej psychiki społeczeństwa. Polacy nie będą bronić ojczyzny, jeśli się będą bali albo wstydzieli walczyć. Lecz czy bez duszy wojownika można wyrwać kraj z gospodarczego kryzysu, kulturę z застоju, a Polskę z zapaści? Czy można z powodzeniem rozwijać własną działalność zarobkową, naprzykład powoływać i prowadzić przedsiębiorstwa, czy znajdować przyzwoitą pracę? To stosunek do życia: aktywny, sięgający po sukces i broniący swojego, albo bierny, pełen rezygnacji, gotowy nic nie osiągnąć a wszystko oddać.

Bez umocnienia moralnego społeczeństwa państwo staje się bezbronne, nawet jeśli ma liczną armię. Siły zbrojne są powołane nie tylko do obrony ojczyzny, lecz racjonalnie pomyślane wspomagają formowanie się aktywnych, zdobywczych postaw w społeczeństwie. W swej książce Francja i jej armia Karol de Gaulle z ducha wojska, zarówno jego ofiarności jak dążenia do sukcesu - wyprowadza całą wielkość Francji. Zaś ta wielkość państwa tłumaczyła się nie tylko na wielkie idee, zmieniające losy świata, lecz również na codzienny dostatek i zadowolenie zwykłego, szarego człowieka.

Aby zapewnić sobie dostateczną obronę narodową, musimy odrodzić zrywane tak starannie więzy między narodem a wojskiem. Trzeba przywrócić siły zbrojne społeczeństwu - jak postulowali niedawno, dziś przygaszeni patriotyczni oficerowie. Trzeba też związać społeczeństwo z tymi, których racją istnienia jest gotowość oddania życia za współobywateli.

Pierwszym krokiem w tej zasadniczej przemianie prowadzącej do przekształcenia dywizji, pułków i batalionów w rzeczywistą siłę zbrojną narodową, zdolną i gotową do skutecznej obrony ojczyzny, a otoczoną miłością społeczeństwa - musi być eliminacja wszelkich zjawisk i rozwiązań jakie wbijają klin między wojsko a społeczeństwo i między ludzi znajdujących się wojsku, zawodowo czy z poboru, a całym systemem sił zbrojnych. Na pierwszym miejscu do likwidacji należy wskazać stosowany do dzisiaj archaiczny system obowiązkowej służby wojskowej. Co roku parędziesiąt tysięcy młodych ludzi zobowiązanych jest do czegoś, co większość z nich uważa za nonsensowną i nieuzasadnioną represję; kilkanaście miesięcy później, niedoszkołeni jako żołnierze, zdeprimowani jako obywatele, opuszczają oni wojsko, nie wiedząc, czemu wyrwano im z życia taki kawał młodości - czas, który mógł być aktywny i twórczy. Postpeerelowski system służby zasadniczej jest o wiele bardziej staroświecki niż stosowany 60 lat temu w wojsku Drugiej Rzeczypospolitej; sięga on podstawowymi założeniami do reform wojskowych, jakie w połowie XIX wieku wprowadził w Rosji car Aleksander II. Chodziło o to, aby tanim kosztem utrzymywać wystarczająco liczną armię, a dla pańszczyźnianego muzyka służba wojskowa była raczej ulżeniem niewoli. Dziś jest to system bardzo drogi, uciążliwy i nieskuteczny. O sile wojska decydują specjaliści, a w parunastomiesięcznym okresie łatwiej nauczyć sprzątanania koszar, niż obsługi nowoczesnego sprzętu.

Nowa koncepcja sił zbrojnych, ich charakteru i doktryny wojennej opiera się na dwu podstawowych założeniach: bardzo silnego, także emocjonalnie, związania wojska ze społeczeństwem oraz uczynienia z sił zbrojnych maksymalnie sprawnej maszyny wojennej. Wyposażonej tak nowocześnie, jak tylko nas będzie stać, wyszkolonej tak doskonale, jak nikt inny na świecie.

Nie wchodząc w szczegóły, wskażmy tylko, że polskie siły zbrojne powinny składać się z dwu członów:

Pierwszym będzie Armia Interwencyjna, względnie nieliczna, oparta wyłącznie o służbę zawodową, doskonale wyposażona i wyszkolona, zdolnej do natychmiastowego działania, sama czy w związku sojuszniczym, na całym obszarze strategicznym Polski, a więc między Łabą a Dnieprem oraz północnymi wybrzeżami Bałtyku a Dunajem. Drugim członem stanowić będzie Armia Krajowa - wojska obrony terytorialnej, oparte o zawodową kadre i służbę ochotniczą. Przeznaczone one będą do działań na miejscu; poza funkcjami wojennymi przystosowane będą do uczestnictwa w wypadku innej potrzeby, np. klęsk żywiołowych. Oba te człony składać się powinny z wybieranych spośród najlepszych, wyróżniających się charakterem i siłą.

Dobrze będzie, jeśli Polska znajdzie się w większym sojuszu obronnym. Integracja Międzymorza obejmie porozumienia militarne. Ewentualne przyjęcie Rzeczypospolitej do NATO i rozpięcie jego parasola strategicznego nad naszą częścią Europy byłoby bardzo korzystne, lecz niestety jest mało realne; Zachód nie dostrzega takiej potrzeby i nie chce ustawiać się przeciw Rosji. Niezależnie od tego, kiedy i w jakich sojuszach będziemy uczestniczyć, konieczne jest posiadanie własnej, wystarczającej siły zbrojnej. Jej brak czy niedostatek niejednokrotnie doprowadził do wielkich narodowych tragedii.

9. Nowa elita - młode pokolenie

Tylko program tak wielki, że zapierający dech w piersiach, pozwoli wyciągnąć Polskę z dna i zaspokoić aspiracje Polaków. Aby taki program wykonać, ktoś musi stanąć na czele. Ludzie decydują o wszystkim, a zwłaszcza ci, którzy przewodzą innym.

Żadnego z polskich problemów nie rozwiążemy bez ludzi, którzy potrafią sobie z nim poradzić. Nie rozwiążemy, jeśli nie potrafimy stworzyć elity, która poprowadzi kraj.

W pierwszej części tej książki nie szczędziłem krytyki pod adresem obecnej elity. Najwyraźniej nie dorosła ona do minimalnych potrzeb Rzeczypospolitej. Zamiast wyciągać Polskę, pogrąża ją coraz bardziej. I nic dziwnego, Elita, jaką odziedziczyliśmy po PRL, nawet w swej najlepszej części, wyrosła ze skażonej i zmurszałej, XIX wiecznej lewicowej tradycji, nieprzydatnej w rozwiązywaniu współczesnych problemów. Jej świadomość pozostała staroświecka i lewicowa nawet wtedy, gdy przekonania osobiste wielu jej członków stały się prawicowe. Dlatego bez względu na poglądy i zaangażowanie polityczne, przedstawiciele tej rządzącej elity czynią to, od czego zawsze zaczynała zwycięska lewica: dają ludziom prawa polityczne i dziwią się, że społeczeństwu to nie wystarcza; w drugiej fazie - co już zaczyna nam grozić, rządzący sięgają po środki, uczące społeczeństwo, że należy być wdzięcznym. W tej lewicowej konwencji głośna troska o sprawy socjalne ma charakter instrumentalny; niezadowolone mas potrzebne jest lewicy dla uzyskania władzy. Później o wszystkich obietnicach zapominają. Uczynił tak po czerwcu 1989 r. Komitet Obywatelski, kierowany przez Bronisława Geremka, a po wrześniu 1989 r. Sojusz Lewicy Demokratycznej, prowadzony przez Aleksandra Kwaśniewskiego. Zgodnie z powszechnie występującą normą. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że w naszym stuleciu, gdziekolwiek socjalistyczna lewica rządziła, czy to mieszcząc się jeszcze w

ustroju demokratycznym, czy zaprowadzając totalitaryzm - efekty są żalose. Po raz kolejny widzimy to współcześnie. Zwłaszcza, że odwykła od rzeczywistej działalności narodowej i państwowej inteligencja polska stała się niezdolna do spełnienia roli jaką odgrywała w przeszłości.

Skoro obecna elita nie jest zdolna poprowadzić Polski, tym bardziej jest nam potrzebna nowa elita. Już się tworzy, choć przeszkody są olbrzymie. Zaczęła się formować w latach podziemia i demokratycznej opozycji, a po Sierpniu w "Solidarności" i niezależnych ugrupowaniach politycznych. Rok 1989 zadał temu procesowi poważny cios. Jedną się elity postpeerelowskie zaczęły wsysać wartościowych ludzi, przyciągać ich i degenerować profitami, możliwymi dzięki sprawowaniu władzy. Nie przerwało to formowania nowej elity, utrudniło jednak bardzo i spowolniło.

Ta nowa elita tworzy się przede wszystkim z ludzi młodych. Roczniaki, wchodzące po 1980 r. w życie dorosłe, a przynajmniej świadome - wolne już były w poważnym stopniu od komunistycznego urabiania. Pozwalało im to mieć własny stosunek do rzeczywistości. W ostatnich latach wielkich nadziei i gorzkich rozczarowań dojrzewanie nowej elity stało się szybsze. Wprawdzie rozpadowi socjalistycznej świadomości nie towarzyszyły w wystarczającym stopniu nowe propozycje ideowe i intelektualne. Przyczyniło się to do rozprzestrzeniania postaw aideowych i dość bezmyślnych, sięgania po papkę kulturową niskiego gatunku, zamykania w ubogo pojętej prywatności, ulegania masowym modom; zwróćmy uwagę, że dla każdej elity - wyróżniającej się mniejszości, nie ma nic bardziej zabójczego, niż pogrążanie się w masowości i upodabnianie do przeciętnej. Niemniej formowanie się nowej elity trwa.

Jest za wolne. Niektórzy mówią, że ta nowa elita powstanie dopiero wówczas, gdy warunki całkowicie się zmienią. To nieporozumienie. Bez dojścia do głosu nowej elity, te warunki nie będą się po prostu zmieniać.

Podobny czas Polska przeżyła już w pierwszej połowie wieku. Elita niepodległej Drugiej Rzeczypospolitej, wprawdzie kierowana przez ludzi starszych, stworzona została przez roczniki, które w świadome życie wkraczały w Legionach, albo w roku 1920, albo w 1926 r., albo w toku drugiej wojny światowej. Ludzie urodzeni w ćwierćwieczu między rokiem 1896 a 1921 okazali się dość silni, aby wywalczyć niepodległość, zbudować nowoczesne i dobrze rozwijające się państwo, bronić Rzeczypospolitej przed agresją wrogów i zdradą sojuszników, wreszcie przygotować podstawy do następnego odrodzenia.

Nie chcę przez to powiedzieć, że los Polski, a także całego Międzymorza - zależy od wyróżniających się osób urodzonych w ćwierćwieczu 1960-1985. Oni jednak przejmują i przejmą główny ciężar odpowiedzialności. W nowej elicie nie zabraknie ludzi starszych. Powinna ona zapewnić nieprzerwany dopływ z kolejnych roczników i utrwalić proces samoodnawiania się elity. Ci, którzy dorośli wkrótce przed Sierpniem, i ci którzy rozpoczynają obecnie naukę w szkole - wyznaczeni zostali trafem historycznym do odegrania szczególnej roli.

Długofalowy program dla Polski, pozwalający osiągnąć cele, jakie śmiała myśl potrafi sobie dzisiaj wyobrazić, obejmuje okres około 25 lat. Jeśli jego realizacja zostanie zainicjowana wkrótce, zakończony zostanie gdzieś koło roku 2020. Ludzie z rocznika 1960 osiągną wówczas wiek emerytalny; ludzie urodzeni w latach osiemdziesiątych dotrą do połowy życia zawodowo czynnego. Los każdego z nich

spojony jest z losem odbudowy Rzeczypospolitej. Jeśli powiedzie się im osobiście, powiedzie się Polsce. Musi się powieść Polsce, aby większości z nich powiodło się osobiście. To sprzężenie zwrotne, łączące tak silnie jednostki i państwo, nie za często pojawia się w historii. Tym razem zadecyduje o Rzeczypospolitej - i całej naszej części Europy.

Formująca się nowa elita polityczna musi być zbudowana na tej właśnie świadomości. Perspektywa osobista i szanse polskie nie mogą zostać rozdzielone. Im program dla Polski będzie bardziej ambitny, tym lepsza perspektywa dla jednostek. Im pragnienia wyróżniających się osób będą śmielsze, tym możliwości Rzeczypospolitej większe. Nowa elita musi być maksymalistyczna - jeśli wchodzący w jej grono ludzie mają mieć przed sobą jakiegokolwiek szanse dobrego ułożenia swego osobistego losu.

Wśród wszystkich zadań, jakie stoją przed nami, to zadanie - stworzenie nowej elity Wielkich Ambicji - jest zadaniem naczelnym.

III. Przede wszystkim Polska

1. Kłębowski polityczne: pieniądze i doktryny

W piątym roku demokracji scena polityczna Rzeczypospolitej jest wyjątkowo pogmatwana. Może jeszcze bardziej, niż w ogłupiających latach 1922-26. Oficjalnie zarejestrowano ponad 250 partii politycznych; nie trzeba wprawdzie przywiązywać do tego większego znaczenia, skoro każda piętnastka obywateli RP jest w stanie w jedno przedpołudnie powołać do życia nowe stronnictwo. W Sejmie klubów parlamentarnych jest sześć, w kraju ugrupowań politycznych odgrywających jakąś rolę i przekraczających minimalną granicę wpływów społecznych (1,0% ludności kraju - 400 tys. głosów w wyborach 1993 r.) - dziesięć. To względnie niedużo. Problem polega na tym, ile w tej dziesiątce frakcji, zwalczających się grup interesów, układów personalnych, wyborów ideowych i opcji politycznych, zależności od krajowych i zagranicznych ośrodków dyspozycji, poczucia odpowiedzialności, zwykłej prywaty, koterii i najbardziej zaskakujących powiązań. Wszystko to pozostaje w ustawicznie zmieniających się relacjach. Cały ten chaotyczny i burzliwie przemieniający się światek toczy nieprzerwanie walkę wszystkich z wszystkimi - a to w imię coraz bardziej niejasnych i coraz bardziej przyziemnych interesów; poruszającą go siłą napędową są pieniądze, osobiste ambicje i - coraz bardziej - strach przed pociągnięciem do odpowiedzialności. Nie jednemu wystarczy przegrać wybory i stracić immunitet parlamentarny, aby - to niedawne przypadki - trafić do więzienia, czy też poza granicą chronić się przed prawem. Chyba, że koledzy (wspólnicy?) obronią. Te osobiste obawy i nadzieje jeszcze bardziej gmatwiają podziały polityczne. Coraz bardziej opinia publiczna nie wie, kto złodziej a kto człowiek uczciwy; kiedy przeważa interes, a kiedy rzeczywiste racje polityczne; skoro tak podobni, czym między sobą różnią się wszyscy ci skłócenicy politycy?

Prawie każda próba porządkowanego opisu tego stanu rzeczy posługuje się kategoriami lewicy i prawicy. Terminom tym nadaje się różne znaczenie. Nieraz definicje, zwłaszcza te opisowe, budzą szczere zdumienie¹⁸. Tak na przykład cechą

¹⁸ Dotyczy to generalnie wszystkich pojęć politycznych. Szczytem scjentystycznego nieporozumienia jest zapewne definicja demokracji, jaką dał w swoim Słowniku politycznym autor skądinąd wykształcony i inteligentny; z całą powagą naukowego podejścia zapewnia on, że niezbędną cechą demokracji jest proporcjonalny system wyborczy. W ten sposób jednym machnięciem pióra uznał za

charakterystyczną lewicy ma być silna władza państwowa, gdy prawica dąży do ograniczenia kompetencji rządu. Wynika z tego niezbitcie, że anarchiści powinni być skrajnym przykładem prawicowego myślenia, zaś gen. Franco zaprowadził w Hiszpanii klasyczny system lewicowy. Prawie powszechnie twierdzi się - uczono tego w komunistycznej szkole, a i uczy się nadal - że lewicę cechuje wrażliwość społeczna, a prawicę pragnienie wyzysku klasy robotniczej; powszechnie znane fakty, że na prawicy, zwłaszcza radykalnej, wrażliwości społecznej nie mniej niż na lewicy - żadnego z apologetów socjalizmu nie przekonują; chodzi bez wątpienia o fakty niesłuszne. Większość podobnych opisowych cech, a także przymiotów moralnych i intelektualnych, które wolno myślący, a przede wszystkim niedouczeni egzegeci polityki skłonni byłiby przypisywać jednej tylko ze stron - występuje i na prawicy, i na lewicy.

Podział na lewicę i prawicę może mieć różny charakter. Najczęściej jest to podział umowny, poza merytoryczny, wytworzony przez przyzwyczajenie. Z takim najczęściej spotykamy się w Polsce, przynajmniej w okresie wielkich przemian. W latach 1905-1926 tych którzy chcieli niepodległości i rządowego państwa - zaliczano do lewicy, bo w zaborczych monarchiach rządziła prawica, a polskie prawicowe stronnictwa wspierały istniejący porządek. W latach `70 i `80 demokratyczną opozycję zaliczano do prawicy, bo rządziła lewicowa ex definitione komuna, W rzeczywistości rządząca PZPR, ani lewicowa, ani prawicowa, bo bezideowa formacja satelicka, określenie lewica uzurpowała sobie. Wszystkich, którzy byli wobec niej w opozycji, określano jako samym prawicę. Nawet wewnątrzpartyjną, rewizjonistyczną opozycję, która pragnęła przywrócić tej partii lewicową ideologię. Gdy w połowie lat `70 powstała w Polsce opozycja demokratyczna, natychmiast została uznana za prawicę - i wcale nie oponowała przeciwko temu.

Sytuacja stała się bardziej skomplikowana, gdy okazało się, że opozycja jest również podzielona: występował w niej lewicowy KOR oraz prawicowy Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela a następnie KPN. Wprawdzie w KOR znalazł się Stefan Kaczorowski, działacz skrajnego prawicowego skrzydła przedwojennej chadecji, akcentujący swój antysemityzm i antymasonizm (gwooli prawdzie historycznej dodajmy, że gdy po roku działania Aniela Steinsbergowa, Ludwig Cohn, Jacek Kuroń, Antoni Macierewicz i Adam Michnik przekształcili KOR w jednorodny politycznie KSS "KOR" - Kaczorowskiego już w nim nie było). Ale za to w ROPCiO działał Ruch Porozumienia Polskich Socjalistów, który w 1979 r., obok Związku Narodowego Katolików i pięciu innych formacji wszedł w skład Konfederacji Polski Niepodległej. Rok później powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy "Solidarność", który wszyscy umieszczali na prawym skrzydle sceny politycznej. Wprawdzie tylko w Polsce. Bo gdy kandydujący na Prezydenta Ronald Reagan chciał publicznie poprzeć "Solidarność" (co zresztą uczynił), odradzali mu to konserwatywni doradcy:

niedemokratyczne systemy polityczne najtrwalszych współczesnych demokracji: Wielkiej Brytanii i USA. Łatwo odgadnąć, skąd wziął się błąd: nasz uczoney przepisał go za lewicowymi politologami francuskimi. To oni właśnie przez parę dziesiątków lat uzasadniali na wszystkie sposoby, że konstytucja V Republiki, m.in. rezygnująca z proporcjonalności, jest niedemokratyczna - bo prawicowa, wprowadzająca silną władzę, słowem: gaullistowska; każdy argument, najgłupszy nawet, jest tu dobry - zgodnie z zasadą: powtarzaj głupstwa, głupcy w nie uwierzą. Dla niektórych w Polsce natomiast każde głupstwo nabiera mocy prawdy objawionej, jeśli tylko uwiarygodnione zostało przez publikację w obcym języku.

republikański elektorat w USA poparcie dla związku zawodowego może odebrać bardzo źle. Na szczęście nie odebrał.

Po roku 1988, gdy formuje się obecna scena polityczna w Polsce, szyldy są już utrwalone: PZPR i jej sojusznicy stanowią lewicę, natomiast "Solidarność" oraz KPN (i mniejsze grupy polityczne) są prawicą. Ten prosty schemat ulega szybko zagmatwaniu. Nakłada się na niego podział na ugrupowania parlamentarne i opozycję pozaparlamentarną, występujący w latach 1989-1991. Przede wszystkim jednak większość pierwotnych ugrupowań przeobraża się, oraz dzieli wewnętrznie.

Spójrzmy na główne nurty. Rozpadająca się PZPR, opanowana przez frakcję reformatorską (prawicową?), pod jej kierunkiem tworzy SdRP, a także mniejszą Polską Unię Socjaldemokratyczną. SdRP oraz ocalałe z burzy dziejowej OPZZ stają się ośrodkiem formacyjnym Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Formalnie skupia on dwadzieścia parę organizacji postkomunistycznych (i jedną czy dwie jawnie komunistyczne), ale faktycznie dzieli się na co najmniej pięć odłamów: demoliberalną i prokapitalistyczną grupę Kwaśniewskiego, aparaczkowską i socjalizującą grupę Leszka Millera, radykalną i maksymalistyczną grupę Cimoszewicza oraz dwa skrzydła OPZZ - umiarkowane i klasowe. Dość bliskie SLD jest parę postaparaczkowskich odprysków. W całości reprezentowane są wszystkie postawy: od skrajnej lewicy po prawicę. Wszystko razem określa się powszechnie jako główną (dla niektórych jedyną) siłę lewicy.

Z dawnego układu peerelowskiego pozostało jeszcze Stronnictwo Ludowe: najpierw Zjednoczone, później Odrodzone, obecnie Polskie. Każda z tych nazw wskazuje na różną jakość polityczną. Rzeczywiście, między rokiem 1980 a dniem dzisiejszym Stronnictwo przeszło wielką, że nie powiem modelową ewolucję. Obok starszych działaczy znaleźli się młodzi (z Pawlakiem i Struzikiem na czele), obok ludzi wywodzących się z nomenklatury - przybysze z Solidarności Wiejskiej i Solidarności RI, a także - choć raczej chwilowo - z kół katolików tzw. społecznie postępowych (koncesjonowanych w PRL). Linia PSL parę razy wahała się do w jedną, to w drugą stronę, aby ostatecznie uplasować się w bezpiecznym środku. Pozwala to szukać porozumienia zarówno wśród epigonów PRL, jak prekursorów Trzeciej Rzeczypospolitej. Samo stronnictwo jest jednak niejednolite. Niektórzy nawet mówią, że tyle jest PSL-ów, ile województw; twierdzący, że tyle - ile gmin, najwyraźniej przesadzają; nie w każdej gminie w Polsce istnieje PSL.

Najbardziej zagmatwane, pomieszane i pomyłone jest to, co wyrosło z dawnej "Solidarności". Ongiś forsowano tam zasadę absolutnej jedności: Solidarność nie da się rozbić ani podzielić. W rzeczywistości ruch był od samego początku wewnętrznie bardzo różnorodny. W 1981 r. działał w nim zarówno szef Kierownictwa Krajowego KPN - Krzysztof Gąsiorowski, jak członek Biura Politycznego KC PZPR - Zofia Grzyb. Gdyby ograniczono się tylko do takich skrajności! Podstawowa masa członkowska Związku była szarpana przez różne orientacje, kierunki i ugrupowania. Pod faktyczną nieobecność KPN, której przywódcy zaraz po Sierpniu 1980 r. zostali wyłączeni z gry i przy milczącej akceptacji stron siedzieli w więzieniu - prym w politycznym kierowaniu Solidarnością wiedli działacze KOR i powiązani z nimi lewicujący intelektualiści. To oni przede wszystkim żądali ideowej jednolitości Związku. Nie tylko dlatego, że jako jeden i wszechogarniający - był odwzorowaniem modelu centrycznego wokół PZPR: zasada kierowniczej roli jedyne go związku zawodowego nie różni się zbyt od zasady kierowniczej roli jedynej partii

politycznej. Ideowa jednolitość ruchu oznaczała, że dla innych orientacji politycznych nie było w nim miejsca; podporządkuj się, albo spływaj! Dyktatura doradców budziła jednak sprzeciw i jesienią 1981 r. znalazła się o krok od upadku; ocalił ją 13 grudnia. W obliczu masowych represji Solidarność zjednoczyła się wyjątkowo silnie. Wprawdzie do czasu, bo już w latach '80 zaczęły formować się odpryski, począwszy od wrocławskiej Solidarności Walczącej (1982r.).

Bardzo osłabiona, bardzo zredukowana, bardzo niepewna siebie i tego, co czynić powinna - w rok 1989 Solidarność weszła jednak jako jedna struktura. Podziemna Tymczasowa Komisja Krajowa stopniowo utraciła polityczne kierownictwo Związku, a do tej funkcji powołano ciało raczej uzurpatorskie, a na pewno pozastatutowe: Komitet Intelektualistów przy Lechu Wałęsie (1987 r.), który ostatecznie (w grudniu 1988 r.) przybrał nazwę Komitetu Obywatelskiego "Solidarności". Nikt go nie wybierał, po doświadczeniach 1981 r. lewicowi doradcy dalecy byli od forsowania demokracji wewnętrznej w Związku; woleli sami się powoływać (z własnego prawa bierz nadania - jeśli ktoś jeszcze pamięta tę pieśń). To właśnie Komitet Obywatelski wygrał wybory czerwcowe 1989 r. i wkrótce potem utworzył rząd. W powszechnym odczuciu lewica - czyli PZPR - oddała, zaś prawica - czyli Solidarność - przejęła władzę nad krajem.

Zaraz potem zaczęły się podziały.

Pierwszy podział nastąpił w 1990 r. W toku wojny na górze i wyborów prezydenckich część Komitetu Obywatelskiego - prawica - poszła za Lechem Wałęsą, a część - lewica - za Tadeuszem Mazowieckim; określeń tych użyto w kampanii propagandowej przeciwko obozowi premiera; słowo lewica miało wówczas ujemną konotację. Drugi podział miał miejsce zaraz potem. A raczej liczne podziały.

W obozie Lecha Wałęsy, a więc na prawicy, w latach 1990/91 ukształtowało się pięć odrębnych większych struktur: związki zawodowe Solidarność (już bez działaczy z dawnego KOR) i Solidarność RI. (wkrótce: PSL Porozumienie Ludowe), oraz partie: Zjednoczenie Chrześcijańsko-Demokratyczne, Porozumienie Centrum i jego odrośl - Kongres Liberalno-Demokratyczny. Natomiast na lewicy, czyli w obozie Tadeusza Mazowieckiego, kierowanym nadal przez Bronisława Geremka - początkowo utworzyły się dwie większe partie: Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna oraz Unia Demokratyczna, szybko zjednoczone pod tą ostatnią nazwą. W składzie UD znalazła się zarówno frakcja socjaldemokratyczna Zofii Kuratowskiej, jak frakcja narodowo-demokratyczna Aleksandra Halla. Poza UD uplasował się Adam Michnik, reprezentujący skrzydło może nie najbardziej lewicujące, ale najbliższe humanistycznej i postępowej tradycji PRL. Usamodzieliły się mniejsze odpryski, jakie jak licząca się w Poznaniu i Nowym Sączu Partia Chrześcijańskich Demokratów.

Trzecia transformacja obozu postsolidarnościowego, a więc dawnej prawicy, miała miejsce rok później. W obozie belwederskim pozostał z wąską grupą samotny Lech Wałęsa, po pewnym czasie bez większego powodzenia próbujący tworzyć Bezpartyjny Blok Wspierania Reform, zaś w opozycji do Prezydenta ustawiły się partie prawicowe: PC, KLD, PL, a w jakiejś mierze ZChN. Natomiast postsolidarnościowa lewica - czyli Unia Demokratyczna, w której na pierwsze miejsce wysunęła się po pewnym czasie Hanna Suchocka - stworzyła szerszy obóz: znalazł się w nim Kongres Liberalno Demokratyczny oraz Duże Piwo - grupa biznesmenów, którzy pod firmą Polskiej Partii Przyjaciół Piwa (była taka!), ale za własne pieniądze uzyskali mandaty sejmowe. Do tego obozu dołączył się ZChN, PChD, oraz PL i

odłączone od niego Stronnictwo Chrześcijańsko-Ludowe, a także odłączona od UD i PC Konwencja Polska. Poza tym układem, czyli na prawicy, znalazło się Porozumienie Centrum oraz wyrosłe z niego: Ruch Trzeciej Rzeczypospolitej oraz Ruch dla Rzeczypospolitej.

Czwarta odsłona ma miejsce po wyborach wrześniowych 1993 r. Opowiadający się okresowo za wzmocnieniem lewej nogi Lech Wałęsa umieszcza się na prawicy; podobnie BBWR, silniejszy w Sejmie, niż w społeczeństwie. Postsolidarnościowa prawica, okresowo nazywająca się centroprawicą, ulega strukturalnemu rozrostowi: dzieli się Porozumienie Centrum, istnieją dwa RdR, procesujące się o prawo do nazwy, konserwatyści mają już zarówno Koalicję, jak Partię, Republikanie jeszcze więcej - i tak dalej. Występują również objawy integracji: Przymierze dla Polski łączy pięć ugrupowań, Sekretariat coś osiem, Porozumienie 11 listopada nie mniej; bezprizorni kręcą się wokół. Ta tendencja do integracji skuteczniej objawia się w postsolidarnościowej lewicy: UD łączy się z KLD w Unię Wolności. Nowa partia zakazuje tworzenia frakcji politycznych i wyklucza znaną działaczkę jako zbyt lewicową; czwarta część klubu parlamentarnego UW protestuje, aby z lewicowego ugrupowania wyrzucić za lewicowość; czwarta część, z Janem Marią Rokitą i Hanną Suchocką deklaruje, że UW jest chadecka i centroprawicowa; Bronisław Geremek opuszcza protestacyjnie zebranie warszawskiej UW, której przewodniczy, bo z tymi prawicowcami wytrzymać nie sposób. Ale na lewicy jest jeszcze Unia Pracy: poprzednio Solidarność Pracy; poprzednio jej działacze angażowali się w kampanię prezydencką - jedni Mazowieckiego, drudzy Cimoszewicza; jeszcze poprzednio jedni byli w Komitecie Obywatelskim, inni - w SdRP oraz PUS. No i na lewicy, czy też na prawicy odnaleźć można Solidarność, nieufną wobec prawicowca Wałęsy, a z prawicowymi politykami Akcji Polskiej (Macierewicz - dawniej lewicowy KOR) i RdR (Olszewski - nie tak dawno: socjalista) zbierającą podpisy pod społecznym projektem Konstytucji, uznanym za lewicowy przez prawicowego przywódcę Przymierza dla Polski, ongiś współpracownika lewicowego KOR - czyli Jarosława Kaczyńskiego.

Pytają nieraz dziennikarze: czy KPN jest na prawicy, czy na lewicy? Proste, wydawałoby się, pytanie. Jak można jednak umieścić Konfederację w takim galimatiasie? I po co?

Nie drzypmy jednak szat. Podobne zamieszanie nie jest wyłącznie polską, ani wyłącznie współczesną specjalnością. Występuje zawsze w młodych, formujących się demokracjach. W państwach o demokracji dobrze utrwalonej podziały na lewicę i prawicę są czytelne i zrozumiałe. Odpowiadają one treściom merytorycznym programów, głoszonych przez różne partie. Jeśli więc chcemy odczytać i ocenić, co kryje się we współczesnym polskim kłębowisku politycznym, musimy trochę uwagi poświęcić merytorycznej systematyce.

Zasadniczym kryterium, różniącym lewicę od prawicy, jest stosunek do wartości.

Podstawą każdego myślenia prawicowego jest szacunek do tradycyjnych wartości. Mogą one ewoluować w czasie - historia biegnie nieprzerwanie, a każde pokolenie ma tendencję, aby po swoim odczytywać jej duchowe dziedzictwo. Może też występować różna gradacja szacunku, odmienne priorytety. Zawsze jednak wartości odziedziczone są dla prawicy czymś szczególnie cennym.

Lewica kwestionuje wartości tradycyjne, stara się tworzyć nowe. Co więcej, tworzy własną tradycję, w której kwestionowanie danej wartości staje się zjawiskiem trwałym, nawet jeśli rzeczywistość zmieniała się o tyle, że krytyka stała się pustym gestem.

O prawicowości świadczy przywiązanie do takich wartości jak wierność przyjętym zasadom, narodowa tradycja, własna przeszłość i odrębna tożsamość, wytworzone instytucje i obyczaje. Lewica gotowa jest z nich rezygnować w imię jakichś doraźnych względów, czy po prostu dla tego, że są nie nowoczesne; w rzeczywistości są one dla niej niezrozumiałe.

Różnice te widać nawet wówczas, gdy postulaty wydają się identyczne. Oto przykłady. Zarówno europejska lewica jak prawica występują z programami poprawy egzystencji warstw uboższych; socjaliści uważają, że trzeba zabrać bogatym i dać biedniejszym, co pozwoli zdestabilizować tradycyjny system społeczny; konserwatyści podkreślają, że moralnym obowiązkiem jest troska uboższych, a zadaniem państwa wyrównywanie dysproporcji pomiędzy różnymi grupami społecznymi, co pozwoli ustabilizować istniejący porządek państwowy. Przesuwając się w stronę liberalnego centrum, socjaliści stają się mniej lewicowi, i zaczynają godzić się na nierówności społeczne, a konserwatyści mniej prawicowi, i zaczynają rezygnować z zachowania harmonii narodowej. Inny przykład, bardziej podstawowy. Tworzenie państw narodowych (o czym pisałem wyżej) wymagało integracji wewnętrznej. We Francji, Niemczech i Włoszech nastąpiło to w XVIII-XIX wieku. Lewica francuska stworzyła zintegrowane państwo oparte o departamenty: jednostki terytorialne o nowych nazwach i granicach. Prawica niemiecka czy włoska zintegrowała w jednolite państwo historyczne prowincje, zachowując ich granice i nazwy. Skutek wydaje się ten sam - Francja, Niemcy, Włochy stały się państwami nowoczesnie zorganizowanymi. A jednak w pierwszym przypadku coś utracono, w drugim coś zachowano. Francuzi, przynajmniej niektórzy, zdają sobie z tego sprawę; jest to jeden z powodów obecnej regionalizacji, odtwarzającej historyczne układy przestrzenne.

Dzisiaj rozwija się integrację europejską. Prawica mówi o Europie ojczyzn¹⁹, zachowujących swą odrębną tożsamość; lewica pragnie tę tożsamość jak najszybciej zatrzeć, m.in. tworząc wielonarodowe euroregiony - co ma doprowadzić do szybkiej likwidacji odrębności, nawarstwionych przez stulecia. Gdy jednak w ciągu jednego pokolenia chce się stworzyć nową wartość: jednolity naród sowiecki, albo jednolity naród europejski - to na czym polega różnica? Oczywiście: na metodach. Ale na czym jeszcze?

Powtórzmy: chodzi o stosunek do wartości. A więc nie o stosunek do rzeczywistości, ta bowiem krytykowana być może z prawa i lewa. Są rewolucje lewicowe i prawicowe, a każda z nich spotkać się może z kontrrewolucją. Rzeczywistość ustawicznie się zmienia; takie jest prawo historii. Ustawicznie chcemy ją zmieniać na lepsze; takie jest prawo społeczeństw. Różnimy się w punktach odniesienia: takie jest prawo polityki.

Prawica i lewica wyznaczają pewne wartości skrajne. Życie polityczne kształtuje się między nimi. W punkcie centralnym są ci, którzy zachowali szacunek do

¹⁹ Termin, który wprowadził do słownika politycznego Charles de Gaulle. Warto dodać, że francuskie słowo *la patrie* jest szersze pojęciowo, niż polskie *ojczyzna*: obejmuje ono zarówno ziemię jak naród.

tradycyjnych wartości, ale gotowi są poddać je rewizji, tworząc wartości nowe. Po obu stronach tego centrum umacniają się tendencje lewicowe lub prawicowe.

W tym kontekście, patrząc przez pryzmat stosunku do wartości, znacznej części stronnictw działających dzisiaj w Polsce nie możemy zaklasyfikować ani do prawicy, ani do lewicy, ani do centrum - częściej już naraz do obu skrajności. Stąd też bierze się dominująca bezprogramowość naszego życia politycznego, gdy wystarczy posługiwać się pustym hasłem i podpisywać pod szyldem, którego treści nie próbuje się nawet zrozumieć. Cóż bowiem naprawdę oznaczają w dzisiejszej Polsce te popularne terminy: republikanie, konserwatyści, demokraci, a także nowoczesna prawica i nowoczesna lewica, obie zresztą demokratyczne? Aż dziw bierze, że nikt jeszcze nie powołał nad Wisłą Ligi Lombardzkiej, stronnictwa w świecie obecnie bardzo en vogue. Mamy wprawdzie Związek Górnoślązaków, ale to nic nowego, Oberszlezierzy sięgają jeszcze czasów Gustawa Stresemanna.

Aby lepiej ocenić rzeczywistość, a nie urazić nikogo, posłużmy się przykładem partii już nieistniejącej. Jeszcze niedawno ważną pozycję zajmował w Polsce Kongres Liberalno-Demokratyczny. Uchodził za czołową partię prawicy. Czyżby?

Twierdzono, że KLD jest prawicowa, bo chce wszystko prywatyzować, a własność uznaje za świętą; przypomnijmy, że ongiś skrajnie lewicowi jakobini francuscy, czy dziś SLD - oficjalna lewica parlamentarna - uważają dokładnie tak samo. Spójrzmy, czym są te nowe wartości w wydaniu KLD. Przecież zarówno dążenie do szybkiej i radykalnej zmiany własności na korzyść tych, którzy chcą być bogaci, a jeszcze nie są, jak domaganie się laicyzacji w imię jakobińsko pojmowanej tolerancji i praw człowieka, czy wreszcie dążenie do takiej integracji europejskiej w której zgłajszachtowane zostaną narody - jest typową postawą lewicową, bliską np. socjalistom francuskim. Z drugiej strony KLD wynosiła na piedestał takie tradycyjne wartości jak własność, porządek społeczny, wolność handlu, autonomia podmiotów gospodarczych. To typowe podejście prawicowe, bliskie np. konserwatystom brytyjskim. Jak jednak połączyć w programie jednej partii treści właściwe zarówno ugrupowaniu symbolizowanemu przez towarzysza Mitteranda jak i przez panią Thatcher? Powiedzmy wprost: choć KLD istnienia tego problemu nawet nie przeczuwał, z jego rozwiązaniem musi sobie poradzić, jeśli chce istnieć, Unia Wolności.

Podobnie można by o innych; kłopot polega raczej na tym, że zbyt wiele stronnictw nie potrafi się czymkolwiek określić, zupełnie dowolnie sięgając po różne nazwy. Ale nawet ugrupowania uważane powszechnie za fundamentalistyczne, bo w niektórych szczegółowych kwestiach zajmujące pozycję nieprzejednaną, charakteryzują się zadziwiającą elastycznością polityczną. Wielką wartością jest wierność sobie: czemu była wierna ZChN, uczestnicząc kolejno w rządach liberalnym, antyliberalnym, demoliberalnym? Chęci rządzenia? Trudno to uznać za wartość, zwłaszcza prawicową. A co skłoniło socjalistów z różnych PPS-ów, że byli, a niektórzy jeszcze są, w aparaczkowsko-biznesmeńskim SLD? Co zrobiłby socjalista Jean Jaurres (albo rewolucjonista Che Guevara), gdyby mu zaproponowano wejście do którejś z partii establishmentu, aby zdobyć miejsce w parlamencie?

Są też pewne nawyki polityczne, typowe dla ugrupowań prawicowych i lewicowych. Niektóre partie prawicowe powołują nieraz związki zawodowe, traktując je jako sposób organizowania pracowników najemnych i narzędzie walki politycznej; tak rozumiałem postulat stworzenia masowego antykomunistycznego ruchu

pracowniczego, przedstawiony w Rewolucji bez rewolucji (1979 r.). Natomiast partie socjalistyczne wywodzą się na ogół ze związków zawodowych, rozumianych klasowo - i przyjmują na siebie funkcję ich politycznej reprezentacji. O takiej autentycznej reprezentacji parę już razy wspominała Solidarność, a przemyśliwa OPZZ. Tymczasem funkcję taką na siłę stara się wypełniać RdR - i dobrze, bo jest potrzebna. Dziwi tylko, czemu określa się jako partia prawicowa. Zapewne czyni to w myśl hasła: Nowoczesna Prawica W Służbie Związków Zawodowych.

Obok ukształtowanego historycznie, a w znacznej mierze umownego podziału na prawicę i lewicę trzeba szukać bardziej szczegółowych rozróżnień, wynikających z rzeczywistych treści ideowych i politycznych. Zdumiewa, że tego rodzaju wysiłki, podejmowane przez wielu, zamiast rozjaśniać, gmatwają wszystko. Połączone w jedną zbitkę intelektualne dziedzictwo marksizmu oraz treści czerpane z liberalnej literatury anglosaskiej, zwłaszcza amerykańskiej neoprawicy - spowodowały, że współcześnie w Polsce politolodzy i politycy skłonni są dostrzegać przede wszystkim dwie wielkie orientacje: socjalistyczną i liberalną. To prawda, że obie wyróżniały się w światowym życiu politycznym, choć dalece nie wypełniały całego obrazu.

Oba te kierunki mają wspólne źródło w XVIII wiecznej myśli Oświecenia, a nawet trochę wcześniej (za ojca liberalizmu uważany jest John Locke, zmarły w 1704 r.). Wyrosły z narastającego sprzeciwu wobec Ancien Regime - ówczesnego Starego Porządku, kwestionując początkowo raczej tradycyjne wartości intelektualne, niż zastarzałe instytucje. Rodzący się liberalizm szukał wsparcia w szerokim polu między racjonalnym zaprzeczaniem kanonom wiary a teozoficzną wiedzą tajemną, kultywowaną w ówczesnych lożach masońskich. Wprawdzie szybko został skontrowany (przez Jean Jacques Rousseau), ale wcześniej zdobył popularność. Najpierw opisał tworzący się system polityczny, powstający dość samorzutnie, a oparty na ciałach przedstawicielskich i wyrwijący monarchom rządy po przez podział władz; później opisał formującą się gospodarkę rynkową. Liberalizm gospodarczy wyodrębnił się z doktryny i zaczął górować, a nawet całkowicie przyćmiewać liberalizm polityczny. Ale to nie Adam Smith wskazał nowe drogi handlu światowego, lecz świetnie dostrzegł, jak zaczynają prowadzić. W swoim pierwszym okresie liberalizm towarzyszył wybitnym umysłom i przerabiał ich myśli na program polityczny; w drugim okresie stał się lewicową awangardą opozycji przeciwko konserwatywnym, a chociażby tylko prawicowym rządów; w trzecim okresie uzasadniał rządy mieszczańskie (troisième état, middle class). Jego młodszy brat, socjalizm, zrodzony z tej samej matki - osiemnastowiecznej myśli oświeceniowej, i trochę młodszego ojca - darwinizmu społecznego, zakwestionował władzę liberalnego bourgeois; w tym momencie liberalizm przesunął się na prawo, a socjalizm wszedł na jego miejsce w awangardzie lewicowej opozycji. W XX wieku starły się oba; wydawało się, że socjalizm zwycięża na polu społecznym, a liberalizm na gospodarczym. Sukcesy to były pozorne. Zarówno liberalizm jak socjalizm okazały się niezdolne do pełnego rozwiązania problemów współczesnego świata. Socjalizm nie rozwiązał kwestii społecznej, bo nie potrafił zapewnić należytego wzrostu gospodarczego; skończyło się na strzelaniu do robotników. Liberalizm nie rozwiązał kwestii gospodarczej, bo okazał się niezdolny do zapewnienia równowagi społecznej; kończy się w przemiennym rytmie inflacji i recesji, zderzając ze strukturalnym bezrobociem oraz światowym niedostatkiem występującym równoległe do nadmiaru mocy produkcyjnych. Tak oba przegrywają. Zaś ich synteza, modne chwilami

socjalliberalizm, potęguje złudzenie, że gospodarka musi być podporządkowana rewindykacjom społecznym, ale ludzie - gospodarce. Ten poniósł klęskę jeszcze większą.

Nic dziwnego. Wywodzące się z XVIII stulecia teorie musiały z czasem wyczerpać swą wartość intelektualną. Nie pomogło kilka wybitnych umysłów, jakie wzmocniły je w naszym wieku: w pierwszej połowie stulecia socjalizm, w drugiej liberalizm. Dziś obie te doktryny chwilami przypominają scholastykę w wieku XVII - jeszcze są, ale już ich nie ma.

W Polsce lat `90 sytuacja jest jeszcze bardziej szczególna, bo ani socjalizm, ani liberalizm nie potrafią odkryć swych głębszych warstw intelektualnych. Poddany empirycznej próbie, socjalizm zbankrutował, a jego wychowankowie zachwalają żarłoczny kapitalizm; to, co głoszą ostatni Mohikanie doktryny jest raczej parodią tej ideologii. Liberalizm w wykonaniu KLD wygląda, jakby był zaczerpnięty z marksistowskiej czytanki dla studentów AWF w epoce późnego Gomułki. Bez porównania poważniej, a przy obecnej posusze intelektualnej zgoła ciekawie przedstawia się w wersji popularyzowanej przez UPR. Zabija go praktyka. Nawet Jan Krzysztof Bielecki głosi, że nie każdy liberał to złodziej. I pomyśleć, że wielki Adam Smith na uniwersytecie w Glasgow nauczał etyki!

Nie ulegajmy jednak pozorom: myśl polityczna nie dzieli się na socjalistyczną i liberalną, tak jak świat nie dzieli się wedle prostackiego schematu Stalina (z Podstaw leninizmu - rok, bodajże, 1922) na socjalistyczny i kapitalistyczny. Prawdę mówiąc, to poza paroma książkami, socjalizm i liberalizm w czystej formie już nigdzie nie występują. W praktyce działają systemy, adekwatne do warunków miejsca i czasu, zapożyczające rozwiązania z różnych szkół, doktryn i idei.

Klasyfikując myśl polityczną, dostrzegamy w niej wiele różnych orientacji. Obok wskazanych wyżej dwu - już dość staroświeckich, trzy dalsze odgrywają współcześnie czołową rolę. W swej genezie są bardziej prawicowe, co łatwo zrozumieć, bo trwająca dwieście lat dominacja myśli lewicowej w polityce odchodzi do przeszłości. Nie bez znaczenia jest fakt, że cała ta trójka jest jeszcze stosunkowo młoda i znajduje się ciągle w fazie rozwoju - tak myślowego, jak praktycznego. Scharakteryzujemy je pokrótce.

Orientacja chrześcijańsko-demokratyczna, wspierająca się o społeczną naukę kościoła. Formacja względnie młoda, jej podstawy ideowe zostały stworzone w ciągu czterdziestu lat między Leonem XIII a Piusem XI, a rozwinięte zupełnie niedawno, za przedostatniego i obecnego pontyfikatu. To trwające szukanie drogi było, być może, przyczyną, że w praktyce nie zawsze znajdowano najlepszą; niepowodzenie chrześcijańskiego MRP, tak silnego we Francji w pierwszej powojennej dekadzie i tak łatwo zepchniętego ze sceny, a zwłaszcza upadek potężnej chadecji włoskiej są tego jaskrawymi przykładami. W Niemczech natomiast chadecja w obu swoich odmianach, bardziej demokratycznej i bardziej narodowej, nieźle zdaje egzamin - zarówno w rozwiązywaniu problemów społecznych, jak w rozwoju społecznej gospodarki rynkowej.

Historycznie rzecz biorąc, po wyczerpaniu się ultramontanizmu, orientacja chrześcijańsko-demokratyczna jest bezpośrednią reakcją na przemożny w XIX wieku liberalizm i groźny w naszym stuleciu socjalizm. Przewartościowując wiele tradycyjnych zasad, występuje przeciwko dławiącemu osobę ludzką kolektywizmowi i podporządkowywaniu ludzi bezdusznym procesom gospodarczym, na plan pierwszy

wysuwając nową koncepcję praw człowieka, o wiele pełniejszą i nowocześniejszą, niż płaska, materialistyczna - i już archaiczna, bo wywodząca się z rewolucji francuskiej koncepcja demoliberalna.

Orientacja konserwatywna stara się na nowo - i nowocześnie - odczytać idee, panujące wcześniej, a w czasach najnowszych tłumione zgodnie przez doktryny socjalistyczną i liberalną. Opiera się ona na koncepcji społeczeństwa wewnętrznie zróżnicowanego, w którym każda część wypełnia inne zadania. Dąży do ocalenia tej różnorodności, wszędzie tam, gdzie zachowała się ona, a jej rekonstrukcji tam, gdzie została zniszczona. Jak żadna inna, broni świata zastanych wartości. Odrzuca prymat zmiany nad stabilizacją. Trwanie i ciągłość są jej główną maksymą. W zależności od warunków lokalnych przyjmuje różne postacie. W krajach, gdzie znaczna część społeczeństwa związana jest z rolnictwem, a Polska do nich należy, może występować jako ruch ludowy. Agraryzm, zapoczątkowany w końcu ubiegłego stulecia, rozwijany z wielkimi trudnościami, do dziś nie przybrał jeszcze skończonej postaci. A może być jedną z odmian polskiego konserwatyzmu - dość szczególną, bo o plebejskiej a nie ziemiańskiej genezie; wkrótce zresztą świadomość tej różnicy zaniknie. Obok niego występują kierunki bardziej tradycjonalistyczne, po części już epigońskie, wywodzące się z przedsoborowego katolicyzmu czy myśli narodowej - ale będą przekształcały się lub zanikały. Przyszłość tej orientacji należy do wiernych zasadom, lecz odważnych intelektualnie.

Orientacja państwowotwórcza. W tym miejscu nie ma potrzeby charakteryzować jej bliżej, skoro cała ta książka jest nią wypełniona. Dla porządku przypomnijmy tylko, że podstawy doktryny powstawać zaczęły w połowie ubiegłego stulecia, gdy żywiołowe formowanie się państw narodowych stworzyło konieczność świadomego kierowania tym procesem przez siły polityczne. Wśród twórców orientacji wskazać należy Ludwika Napoleona Bonaparte, cesarza Francuzów, orędownika prawa narodów do tworzenia własnych państw, a także Woodrowa Wilsona, Prezydenta USA i rzecznika samostanowienia narodów. Najwybitniejszym, a na pewno najgłośniejszym przedstawicielem tej orientacji w naszym stuleciu był Charles de Gaulle. Inną wielką postacią był Winston Churchill, zwłaszcza we wcześniejszym swym okresie, gdy nie mógł znaleźć miejsca ani w partii liberalnej, ani konserwatywnej. W Polsce twórcą i sztandarowym przedstawicielem orientacji państwowotwórczej był Józef Piłsudski (a najwybitniejszymi prekursorami Tadeusz Kościuszko i Maurycy Mochnacki).

Jak dwie poprzednie, orientacja państwowotwórcza jest nadal w fazie rozwojowej. W swej historii europejskiej parę razy zbaczała na manowce, ulegając pokusom socjalizmu, wpadając w sidła nacjonalizmu, czy sięgając po nadmierny autorytaryzm. Od socjalizmu dzieli ją całkowicie stosunek do tradycyjnych wartości, na których wspiera się państwo, a które socjaliści chcą zburzyć; nacjonalizm (jak wskazywał Piłsudski) jest w istocie ruchem nihilistycznym - rozrywającym i niszczącym państwo, oraz stawiającym tamę państwowej integracji; autorytaryzm kłóci się z zasadą państwa narodowego - to znaczy takiego, w którym suwerenem nie jest dynasta czy dyktator, ale naród rozumiany jako ogół pełnoprawnych politycznie obywateli.

Te pięć orientacji dominuje w życiu politycznym współczesnego świata. Każda z nich może tworzyć więcej niż jedną partię polityczną, bo występują różne czynniki doraźne. Poza tymi orientacjami, przynajmniej do czasu, znajdować się mogą

stronnictwa, które dążą do rozwiązywania problemów szczególnych (np. partie ekologiczne) lub regionalnych (np. Liga Lombardzka).

W Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy, a więc najszerszym występującym współcześnie organie tego typu, więcej niż setka partii działających w dwudziestu paru krajach połączyła się w pięć frakcji politycznych.

Orientacja socjalistyczna utworzyła 2 frakcje: zjednoczonej lewicy tj. komunistyczną (Group of Unified European Left) oraz socjalistyczną (Socialist Group).

Orientacja liberalna tworzy frakcję liberalno-demokratyczną i reformistów (Liberal Democratic and Reformers Group).

Orientacja chrześcijańsko-demokratyczna powołała frakcję europejskiej partii ludowej (Group of the European People's Party).

Orientacje: państwowotwórcza (reprezentowana m.in. przez francuski gaullistowski RPR, turecką partię wolności i polską KPN) i konserwatywna (reprezentowana m.in. przez brytyjskich i szwedzkich konserwatystów) tworzą wspólną frakcję europejskich demokratów (European Democratic Group).

W Parlamencie Europejskim frakcji jest dziesięć, ale układ orientacji ten sam. Lewica podzieliła się na pięć frakcji, przybyli Zieloni oraz Tęczowi (ekologowie i regionaliści).

Wszystkie te pięć orientacji łatwo umiejscowić względem siebie. Socjalistyczna zajmuje lewe skrzydło, konserwatywna prawe, a trzy pozostałe orientacje mieszczą się między nimi. W zachodniej Europie orientacja liberalna umieszczana jest na prawo od chrześcijańsko-demokratycznej, w Polsce czy USA - na lewo. Orientacja państwowotwórcza to typowa centroprawica.

W tym powszechnie stosowanym i zrozumiałym układzie trudno zmieścić większość polskich partii politycznych. One same mają często wielki kłopot z samookreśleniem się. W poprzedniej kadencji parlamentarnej, gdy przedstawicielstwo Unii Demokratycznej z Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy było jeszcze liczne, parlamentarzyści UD należeli do trzech różnych frakcji: socjalistycznej, liberalnej i chadeckiej. Przedstawiciel PC wahał się między chrześcijańskimi demokratami a liberałami, przedstawiciel ZChN był u europejskich demokratów, a parlamentarzyści PSL i PL zgodnie zapisali się do chrześcijańskich demokratów - zapewne ze względu na przekonania, ale być może i dlatego, że frakcja nazywa się ludowa (People's Party - co raczej trudno przetłumaczyć na ludową w znaczeniu chłopską, rolniczą). Przedstawiciele SLD byli rozdarci między zjednoczoną lewicę a socjalistów - ale orientacja była przynajmniej ta sama. Praktycznie tylko dwie delegacje nie miały problemów z samookreśleniem politycznym: liberałowie i KPN.

To samo zjawisko niejasności w samookreślaniu politycznym występuje o wiele silniej w bieżącej praktyce. Wprawdzie większość stronnictw w Polsce głosi z pełnym przekonaniem, że należy do prawicy, albo do lewicy - ale z bliższym określeniem swego programu i charakteru ma już kłopoty. Gdybyśmy chcieli sklasyfikować wszystkie partie dokładniej i zaliczyć do jednej z pięciu występujących współcześnie głównych orientacji, większość nie znalazłaby miejsca nigdzie - z racji swej praktycznej bezprogramowości, a niektóre (jak SLD czy UW) w trzech, a nawet czterech; ugrupowania te nie zdążyły jeszcze na tyle okrzepnąć politycznie, aby jednoznacznie określić swą tożsamość. Skądinąd jest to zrozumiałe. SLD skupia wszystkich, którzy w jakimś stopniu identyfikują się z peerelowskim Ancien

Regime`m; ponieważ nie obowiązuje już u nich jedność ideowa, obok siebie zasiadają w Sejmie adherenci socjalizmu, liberalizmu i konserwatyzmu, a nawet można znaleźć paru, bliskich orientacji chadeckiej lub państwowotwórczej; większość jeszcze nie wybrała, albo tkwi w starym, komunistycznym realsocjaliźmie. Unia Wolności, dziedzicząc dawny pluralizm i rozchwianie polityczne Komitetu Obywatelskiego, nadal jest przekonana, że dodaje jej to sił i poszerza wpływy w społeczeństwie. Pozostali, zbaczając w lewo i w prawo, a często całkiem w poprzek, szukają dopiero własnej drogi.

W sumie: niewiele jest w Polsce stronnictw, dojrzałych politycznie²⁰, takich które potrafią jednoznacznie określić się, wiedzą czego chcą i jak to osiągnąć.

A jednak głoszone są jakieś programy, a przynajmniej hasła. Bez przerwy toczy się, coraz ostrzej, walka polityczna. Rozgrywa się ona na trzech, niezależnych od siebie płaszczyznach: wyborczej, sejmowej (jeśli dane stronnictwo weszło do parlamentu) i rzeczywistej (jeśli bezpośrednio oddziałuje na decyzje wykonawcze, np. uczestnicząc w rządzie czy podejmując działania, mające realne skutki). Porównanie treści, z jakimi poszczególne ugrupowania występują na tych trzech płaszczyznach, budzi smutne refleksje. Prawie wszystkie stronnictwa mają trzy różne prawdy.

SLD w kampanii wyborczej odżegnywała się od nawrotu do PRL, głosiła potrzebę zasadniczych zmian i zapowiadała odejście od dotychczasowej polityki rządowej; w rządzie kontynuuje linię gabinetu Suchockiej; w Sejmie też kontynuuje, ale z wyraźnym nawrotem do PRL²¹. Z Unią Wolności sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana. W kampanii wyborczej UD posługiwała się bardzo ogólnym hasłem Przede wszystkim gospodarka; wszyscy wprawdzie wiedzieli, że był to zwrot retoryczny, zapożyczony z kampanii Billa Clintona (trudno było powtórzyć go w wersji dosłownej: pamiętaj, durna, o gospodarce!) - ale nie sposób nie traktować tego wezwania poważnie. Sloganem KLD było Milion nowych miejsc pracy. Upłynął już rok obecnej kadencji, a klub Unii Wolności (UD+KLD) nie zdążył jakoś wystąpić z programem, co zrobić z gospodarką, ani wskazać, gdzie ma powstać ten milion miejsc pracy; w sprawach gospodarczych na ogół głośnie za rządem. Chyba, że dochodzi do jakiejś bardziej kontrowersyjnej kwestii; wtedy dzieli się, głosząc za i przeciw. Nie mam na myśli głosowań, dotyczących sprawy sumienia (aborcja), albo oddających cześć wielkim czynom historycznym (Powstanie Warszawskie, Powstania Śląskie) - bo decydują tutaj inne kategorie, ale chodzi mi o zachowanie się klubu w kwestiach czysto politycznych. Posłowie z klubu PSL chyba jeszcze częściej w tym samym głosowaniu naciskają na przyciski czerwony, zielony i żółty; ich specjalizacja polega na tym, że krytycznie oceniają program rządu, który współtworzą, ale jakoś nie zabierają się do jego zmiany. Unia Pracy popiera aborcję i jest przeciw wartościom

20 Trzeba rozróżnić dojrzałość polityczną stronnictw i ludzi. W dojrzałej partii zawsze można znaleźć niedojrzałych działaczy - i odwrotnie. W Unii Wolności nie brakuje dojrzałych polityków: taką jest Zofia Kuratowska, Tadeusz Mazowiecki, Hanna Suchocka i wielu innych; wydaje się, że ich nadmiar uniemożliwia samookreślenie się programowe partii.

21 Następuje to również żywiołowo, tworząc nieraz sytuacje kłopotliwe dla politycznego kierownictwa SLD. Przykładowo, pod naciskiem posłów SLD z projektu uchwały sejmowej początkowo usunięto, że agresji na Polskę dokonały wspólnie Rzesza i ZSRR; na pierwszą wiadomość, że Polska weźmie udział w operacji na Haiti, posłowie SLD publicznie to potępili, sięgając aż do argumentu, że udział w takiej akcji jest czynnym wsparciem imperialistycznej polityki USA, wymierzonej w wolność narodów Ameryki Łacińskiej. Cóż, trudno się odzwyczać od jedynie słusznych przekonań.

chrześcijańskim; to wystarcza, aby móc precyzyjnie określić jej orientację jako socjalistyczną, ale nadal trudno zgadnąć, jaki jest na prawdę jej rzeczywisty program, np. gospodarczy (to, co wykonuje w rządzie, krytykuje pod kopułą), czym różni się w poglądach na państwo od SLD, czy ma własny, bliżej sprecyzowany pogląd na politykę zagraniczną i wreszcie - rzecz nie bagatelna - czy jest za rządem, czy może w opozycji? Co do BBWR, w Sejmie reprezentuje on to samo stanowisko co w wyborach: nikt nie wie jakie, a każdy poseł mówi co innego. Jedna tylko KPN aż do znudzenia powtarza to samo. Żegnaj lewico, wraca Polska - zaklinała rzeczywistość latem 1993 r. z każdego płotu, a po wyborach, w sejmie nieprzerwanie, że aż nudno - uzasadnia, że interes Polski jest przeciwny interesowi rządzącej postpeerelowskiej lewicy. I parę rzeczy osiągnęła, że wspomnę tylko zastopowanie afery Banku Śląskiego, sprawę rad nadzorczych czy - to już poza Sejmem, utworzenie Ligi Międzymorza.

Są jeszcze stronnictwa ongiś parlamentarne, nawet rządzące. Konia z rządem temu, kto potrafi wskazać na merytoryczną linię programową, łączącą aktywność Porozumienia Centrum w wyborach prezydenckich, w Kancelarii Prezydenta, w Sejmie kontraktowym i I kadencji, w rządzie Olszewskiego, w usiłowaniach wejścia do rządu Suchockiej i w opozycji do tego rządu, wreszcie w demonstracjach antyprezydenckich i w kokietowaniu Belwederu. ZChN uważane jest za mniej elastyczne. Sięgnijmy do jego programów wyborczych z lat 1991 i 1993 i spróbujmy odpowiedzieć, co z nich zrealizowali, a choćby postulowali ministrowie ZChN w rządzie Bieleckiego, co w rządzie Olszewskiego, a co w rządzie Suchockiej?

Powszechnie w świecie przyjmuje się, że kluczową kwestią polityczną jest ustrój państwa. O konstytucję, a chociażby poprawki do niej, toczą się homeryckie boje. Każda licząca się partia, przynajmniej każda ze wskazanych wyżej orientacji, ma własny pogląd na ustrój państwowy, wyraźnie odmienny od innych. To chyba w pełni zrozumiałe i najzupełniej naturalne. W polskim Zgromadzeniu Narodowym obecnej kadencji leży siedem projektów konstytucji. Aleksander Kwaśniewski, Przewodniczący Komisji Konstytucyjnej jest przekonany, że łatwo będzie osiągnąć consensus, bo sześć projektów konstytucji jest podobne, oparte o te same założenia. Rzeczywiście, w nieco innej werbalizacji (bo nawet nie stylistyce), nieraz podkreślając odmienne podejście ideologiczne, cała szóstka powieliła ten sam dziewiętnastowieczny schemat: Prezydent reprezentuje państwo i ma trochę nie powiązanych z sobą kompetencji, z czego najważniejszą jest wpływ na powoływanie rządu; parlament sprawuje polityczną kontrolę nad rządem, aż do prawa jego obalenia - i zajmuje się ustawodawstwem. W szczegółach występują pewne odmierności, raczej ilościowe niż jakościowe. Największą, a faktycznie jedyną strukturalną różnicą, jaka między tymi projektami występuje jest kwestia, czy parlament powinien być jedno-, czy też dwuizbowy; mimo wszystko, dla funkcjonowania państwa stanowi to sprawę drugorzędną. Raz już w naszej historii, trzy ćwierci wieku temu, taki model okazał się nieprzydatny dla Polski; odrzucono go również w innych państwach, ostatnio we Włoszech.

Jeśli sześć ośrodków politycznych, w tym prawie wszystkie partie parlamentarne - nie potrafi wymyślić nic twórczego, a każdy z nich sięga po ten sam zdezelowany od dziesięcioleci schemat, to zapewne nie potrafią wystąpić z czymś nowym, odpowiadającym potrzebom i wyzwaniom nadchodzącego czasu. Także w tym przypadku łączy je ta sama bezprogramowość i gotowość podążania szlakiem,

wytyczonym kiedyś przez innych. A równocześnie rzecznicy tych projektów, tak podobnych - wywołają ognisty spór konstytucyjny; w walce o swe racje poruszają niebo i ziemię. Dzieli ich bowiem parę kwestii, chociażby takich jak aborcja - problem, którym na dobrą sprawę konstytucja nie powinna w ogóle się zajmować.

Wszyscy zapewne zgodzą się, że program gospodarczy, w najszerszym znaczeniu tego słowa, ma kluczowe znaczenie dla rozwiązania podstawowych polskich problemów. Poza dyskusją jest również fakt, że można i należy przedstawić społeczeństwu różne i alternatywne programy. Tymczasem od lat istnieje i jest wykonywany tylko jeden program. Krytykowany wprawdzie z okazji każdego wyborów, ale zaraz po nich wznawiany. Jest to program starszy od wszystkich realizujących go ugrupowań politycznych, przynajmniej odkąd działają pod obecnymi nazwami. Kolejne rządy, zapewniające że są inne od poprzedników, podejmowały ten program od nowa, i wszystkie przegrywały, bo nie przyniósł on spodziewanych rezultatów. Mimo tego, pięć partii parlamentarnych i trudna do obliczenia ilość partii pozaparlamentarnych nie jest w stanie przygotować i uzasadnić innego programu, bardziej adekwatnego do polskiej rzeczywistości. Uporczywie wraca się do tego samego. Różnice, jeśli występują, są niewielkie i bardziej wynikają z partykularnych interesów, niż z odmiennego podejścia. Krytyka występuje, ale dotyczy skutków, a nie założeń.

Jeśli w tak kluczowej sprawie, jak program gospodarczy, występuje między poszczególnymi partiami silne podobieństwo, że nie powiem zbieżność programowa - to musi być jakaś przyczyna. Poseł Soska powiedział ostatnio z trybuny sejmowej, zwracając się głównie do UW i SLD: Bo wy jesteście w Radach Nadzorczych, a nas z PSL tam nie ma! To też do reszty nie wyjaśnia sprawy. Myślę, że sedno jest łatwe do odkrycia: partie są, żeby były, a nikt nie potrafi, albo nikomu się nie chce wymyśleć coś nowego. Gwarantem tego stanu rzeczy są strażnicy, rozsiani po różnych ugrupowaniach i pilnujący interesu, bardziej cudzego, a przy okazji własnego.

Wiem, łatwo innych krytykować. Mnie łatwiej niż innym, bo w Konfederacji potrafiliśmy przygotować alternatywny program gospodarczy²². Nie jakieś tam wstępne koncepcje, opisane na 11 stronach maszynopisu, jak Strategia dla Polski wicepremiera Kołodki, ale solidnie przygotowany projekt, na tyle obszerny, że - traktując poszczególne zagadnienia oddzielnie - trzeba było kilkunastu książek aby go opisać; cała ta biblioteczka jest do dyspozycji. Zarysowy skrót programu gospodarczego KPN wypełnia książkę grubszą od tej, którą Państwo czytacie. Przygotowaliśmy nie tylko sam program - także jego instrumentację, projekty ustaw, które trzeba uchwalić. Ostatnio, aby wesprzeć prace nad rozwinięciem Strategii Kołodki, rząd ocenił, że potrzebuje dwu miliardów, aby zapłacić za przygotowanie projektów ustaw. My, dla naszego programu, przygotowaliśmy to wcześniej - choć,

22 Po raz pierwszy przedstawiliśmy alternatywny program gospodarczy - Plan Stabilizacji Gospodarki - latem 1980 r. U progu wielkich przemian politycznych, w lutym 1989 r. III Kongres KPN zaaprobował i przedstawił Program Reformy i Rozwoju Gospodarki. W 1990 r. przygotowaliśmy Program Interwencyjnego Ratowania Gospodarki - alternatywny wobec Planu Balcerowicza. Latem 1993 r. zakończyliśmy pracę nad Programem Gospodarczym KPN. Wszystkie te programy oparte są o te same założenia społecznej gospodarki rynkowej, postulują umiarkowaną interwencję państwową w celu przyspieszenia transformacji ustrojowej i łatwiejszego wyjścia z kryzysu, zaś różnią przede wszystkim tym, że przygotowywane były dla odmiennych warunków, w jakich funkcjonowała w różnych okresach gospodarka polska. Każdy kolejny program reprezentuje bogatszy wybór idei i rozwiązań poszczególnych problemów.

wstyd przyznać, bez żadnych subwencji. Ani rządowych, ani z wielkich fundacji, wspartych z zagranicy milionami dolarów.

Dysponujemy programem walki z bezrobociem (po raz pierwszy przedstawiony Prezydentowi RP wiosną 1991 r., do dziś bez odpowiedzi), programem uwłaszczenia rodzin, programem taniego budownictwa mieszkaniowego, - a także programem nowej polityki zagranicznej i integracji Międzymorza, programem przebudowy sił zbrojnych, programem reformy administracji publicznej, programem dwuszczeblowych samorządów, i wieloma innymi, aż po własny, oryginalny i zdecydowanie różniący się od innych projekt konstytucji. Nie piszę tego, aby się chwalić. Skoro jednak Konfederacja potrafiła to uczynić - czemu nie mogą, czy też nie chcą ci, którzy mają bez porównania większe możliwości, w tym finansowe oraz w zakresie wykorzystania krajowej i zagranicznej kadry doradczej? A jeśli rzeczywiście nie potrafią, to dlaczego nie interesuje ich, do jakich wniosków doszła KPN? Choćby z czystej ciekawości? Dlaczego w ciągu ostatnich pięciu lat, odkąd zniesiona została w Polsce cenzura, publiczna TV nie znalazła nawet 15 minut czasu w swoich programach informacyjnych, aby prawdziwie przedstawić, jak KPN chce wyciągnąć gospodarkę z kryzysu, albo zwalczać bezrobocie?

Kłębówisko polityczne współczesnej Polski, pełne intryg, waśni, głupoty, sprzecznych interesów i brudnych pieniędzy jest bez wątpienia produktem czasu. Dziejowe burze poruszają najgłębsze warstwy, a szumowina wypływa na wierzch. Podli znajdują nowe możliwości działania, służalcy mają szerszy wybór patronów, uczciwi mogą zdeprawować się bardzo szybko - a władza, możliwość decydowania o innych i korzystania kosztem innych, nie poddana należytej kontroli obywateli, łatwo sprowadza na manowce. To sytuacja typowa, zawsze pojawiająca się w okresach wielkich historycznych przemian. Ale i zawsze wywołująca silną reakcję. Dość nieprawości! - ten apel Józefa Piłsudskiego z maja 1926 r., dzisiaj możemy zrozumieć pełniej, niż w innym czasie.

Czy jednak winien jest jedynie niedostatek poziomu moralnego i intelektualnego ludzi, których fale dziejowe wyrzuciły na wierzch? Naiwnością byłoby tak uważać, gdy wszystko zaczyna się układać zgodnie z jakąś inną, przerażającą logiką. Bezsensowne dla nas, sensownie zaczyna służyć jakimś innym celom. Tracimy majątek narodowy - dla kogo? Słabnie nasz potencjał demograficzny, potencjał gospodarczy, potencjał moralny - dla kogo? Rozpływa się nasza niepodległość ekonomiczna - dla kogo? Przy naszej obojętności, jeśli nie pomocy, kruszą się kraje, osłaniające nas od wschodu i południa, rozpływa ich demokracja - dla kogo? Daleki jestem od diabolicznej tezy, że to działa jakiś spisek międzynarodowy przeciwko Polsce, że decyduje o wszystkim. Nie działa, tak samo, jak - przypomnijmy - nie działał w końcu XVIII wieku - mimo, że nikt nie zaprzeczy istnienia traktatu Trzech Czarnych Orłów i różnych tajnych porozumień. Prawda jest szersza. Dziś i wtedy Rzeczpospolita była i znów się stała terenem walki obcych interesów, wielkich i mniejszych, które przeważają nad naszymi tylko dlatego, że wspiera je polska niegodziwość i polska głupota. W innym kraju, w podobnej sytuacji, w maju 1958 r. padło rozpaczliwe: Ratujmy Ojczyznę! - Charlesa de Gaulle.

Trzeba zdać sobie sprawę, czemu te wezwania Piłsudskiego i de Gaulle'a, powtarzane dzisiaj - budzą, jak budziły, oburzenie rzeczników demokracji koleżków, opartej o prawo nieposzanowania interesu państwa i narodu oraz wolność grabienia w majestacie ustaw.

Taki zły czas spadł na Polskę. Ale minie. Bo po nim nadchodzi sanacja - uzdrowienie moralne i państwowe. Zawsze nadchodzi.

2. KPN: samotna i niezłomna

Poza politycznym targowiskiem, ponad potępięczymi swarami dzielącej się i łączącej elity - trwa i rozwija się Konfederacja. Państwowotwórczy nurt niepodległościowy w Polsce liczy już 101 lat, jego współczesna forma - Konfederacja Polski Niepodległej - trwa od piętnastu lat, będąc obecnie najstarszym, działającym nieprzerwanie pod tą samą nazwą i w tej samej strukturze stronnictwem politycznym Trzeciej Rzeczypospolitej. A zarazem zupełnie osobnym; więcej nawet - samotnym.

Odrębność nurtu niepodległościowego bierze się nie tylko z różnic politycznych i programowych. W większym stopniu wynika z przyczyn moralnych. Gdy nurt powstawał w końcu XIX stulecia, Polska była pod zaborami; gdy odbudowywał się w dziesięcioleciach drugiej połowy naszego wieku - Polska była zniewolona. Stworzyli go ludzie, którzy skupili się wokół programu odzyskania niepodległości państwowej. Ale nie to było najważniejsze. Stworzyli go ludzie spoza elit społecznych: tych nadających ton Priwisłanskomu Krajowi czy k. und k. Galicji, i tej, jaka uformowała się w czasach PRL. W tych elitach nie brakowało osób pragnących niepodległości i działających w tym celu; szczególnie wielu było ich na przełomie XIX i XX wieku, ale zdarzali się i w PRL. Nie trafiali jednak do nurtu niepodległościowego; różnice środowiskowe były zbyt wielkie. Henryk Sienkiewicz, który bardziej niż ktokolwiek inny uformował niepodległościową młodzież wypełniającą szeregi I Brygady Legionów, nie chciał nawet rozmawiać z ułanami Beliny; zaangażowany był po przeciwnej stronie politycznej barykady. To przykład najbardziej znamieny, a także - dla nas - najbardziej bolesny.

Tak już jest, że elity wywierają przemożny wpływ na świadomość całego społeczeństwa. Nurt polityczny, rodzący się poza elitą, pozbawiony wsparcia choćby jej części - początkowo przyjmowany jest źle przez społeczeństwo, a dość długo pozostaje niezrozumiany. Dlatego większość społeczeństwa była przeciwna (a co najmniej obojętna) straceńcom z Organizacji Bojowej podczas rewolucji 1905 r., czy strzelcom z I Brygady w 1914 r. To też było powodem, dlaczego robotnicy, strajkujący w sierpniu 1980 r. niszczyli, nawet ich nie czytając, ulotki sygnowane przez KPN; sama nazwa brzmiała zbyt niepokojąco. Nawet wtedy, gdy za nurtem niepodległościowym szła większość społeczeństwa - większość z tej większości czyniła tak, bo nie rozumiała istoty konfliktu - i chciała osiągać jakieś wąskie, partykularne cele. Cała lewica, która poszła za Piłsudskim w 1926 r. nie rozumiała, że tu chodzi o Rzeczpospolitą, jej przyszłość i uzdrowienie, a nie partyjniackie waśnie; dlatego tak szybko, wraz z prawicą, znalazła się w opozycji wobec sanacji. Dla większej części stuletniej historii nurtu niepodległościowego samotność i niezrozumienie ze strony społeczeństwa jest zjawiskiem typowym. Wyraża to precyzyjnie nasza pieśń: Nie chcemy już od was uznania, ni waszych łez, ni waszych kies. Skończyły się dni kołatania do pustych głów, do zimnych serc... .

Przewodzący nurt polityczny nie może być jednak trwale oderwany od elity, bo tworzy nową i oddziałuje na starą. Wymaga to czasu, rzecz jasna. Mojżesz krążył 40 lat ze swym ludem po pustyni, aż wymarli wszyscy, którzy żyli i kształtowali się w niewoli egipskiej. Nowa elita, nazwana z czasem elitą Drugiej Rzeczypospolitej, zaczęła się formować po roku 1905, a ćwierć wieku później, w pełni uformowana,

szybko wyciągała Polskę wzwyż. Dwadzieścia pięć lat wystarczyło, aby urosło i dojrzało pokolenie, które od młodości obserwowało, jak padają złowieszcze mocarstwa. Wchłonęło tych ze starszych roczników, którym nie zabrakło odwagi, aby uwierzyć, że chcieć, to móc. Ta elita Polski Niepodległej potrafiła zbudować nowoczesne państwo, a potem bronić go z takim hartem i wolą zwycięstwa, jak od paruset lat nie potrafiono w Rzeczypospolitej. Dlatego tę właśnie elitę wycięto prawie w pień. We Wrześniu i podczas "Burzy", na Starówce i pod Monte Cassino rzucali siebie, jak kamienie na szaniec, a strzałami w tył głowy i zastrzykami fenolu mordowano ich w Katyniu i Buchenwaldzie, w łagrach, katowniach gestapo, NKWD i bezpieki. Nielicznych, którzy przeżyli, zmuszono do emigracji, pozostali w kraju musieli wegetować pod ciągłym nadzorem: każdy nieostrożny ruch groził najgorszymi konsekwencjami. Ta resztką potrafiła, w kraju i na wychodźstwie, odbudować nurt niepodległościowy - i decydująco wpłynąć na to, że Polska nie ograniczyła się do demokratyzacji w ramach totalitarnego obozu, że padły wszelkie koncepcje finlandyzacji, że - choć w dwuznacznych okolicznościach, odzyskaliśmy niepodległość. Ta resztką stała się też zarysem nowej elity, która zaczęła z wolna formować się po Sierpniu 1980 r. Podobnie jak poprzednio, tworzą ją ludzie młodzi, na których oczach padł sowiecki regime, a spośród dawnej elity dołączają ci, którym starcza odwagi i rozumu. Za jakiś czas - ta przyszła elita przejmie odpowiedzialność za losy Polski i Międzymorza.

Współczesne siły polityczne, formujące się od lat `70, w większej części wyrosły z peerelowskiej elity. Skłócone, godzące się - przyjmowane były ze zrozumieniem, bo dla rzeczywistości, w której żyli i żyją Polacy były czymś swoim, rozumiałym - równie ułomnym i nijakim moralnie, jak ta rzeczywistość. Stan ten się zmienia, bo dojrzewający naród wyrasta ponad zapyziałą elitę, która w dodatku nie potrafi rozwiązać głównych problemów, decydujących o egzystencji społeczeństwa. Wywodząca się spoza tej elity Konfederacja była - jeszcze jest, czymś innym, niezwykłym i niepokojącym.

Taki stan rzeczy umocnił, a nawet przesadnie wyolbrzymił pewne cechy właściwe nurtowi niepodległościowemu. Konfederaci, tak jak wcześniej bojowcy i legioniści, przyjmują postawę służby, to znaczy swoją aktywność dostrzegają jako wypełnienie narodowego obowiązku. Czynnikiem moralnym staje się najważniejszy: jeśli służymy Rzeczypospolitej, musimy być tego godni. Stąd wewnętrzna ascetyczność nurtu. W KPN obowiązują surowe kryteria; kto ich nie przestrzega, wypada za burtę. Dość powiedzieć, że w ciągu dwu niepełnych kadencji sejmowych, razem przez trzy lata - z KPN usunięto bodajże 14 parlamentarzystów. Żadnego innego ugrupowania nie było na to stać; dla większości klubów parlamentarnych strata posła jest prawdziwym nieszczęściem - i aby tego uniknąć, toleruje się zachowanie osób, naruszających zasady polityczne czy moralne. W KPN jest to nie do pomyślenia. Powód wykluczenia z KPN posłów prawie za każdym razem był taki sam: odmówili poddania kontroli pieniędzy, otrzymywanych z kancelarii Sejmu na prowadzenie biur poselskich, a rozliczanych oświadczeniami²³. W KPN obowiązuje zasada, że fundusze publiczne muszą być pod ścisłym nadzorem i wymagają drobiazgowych rozliczeń; stąd

23 System sejmowy, bardzo liberalny wobec posłów, faktycznie pozostawia poza kontrolą wydatkowane pieniądze; stąd biorą się takie dopuszczalne fakty, jak wynajmowanie na biuro poselskie własnego mieszkania i zatrudnianie w nim członków rodziny - że pominę drastyczniejsze przykłady.

powołanie wspólnej kasy, finansującej i rozliczającej działalność wszystkich biur poselskich. Wiemy dobrze, że władza może deprawować słabsze charaktery; stanowisko posła czy senatora jest wystarczająco znaczne, aby pozwalało czerpać nie zawsze legalne osobiste profity. W KPN jest to niemożliwe, a konfederacki system działa bezwzględnie i surowo. Stosujemy go, bo gdybyśmy dziś nie radzili sobie z takimi ujemnymi zjawiskami, to do czego by doszło, gdy przejmemy władzę? Konfederacja głosi, że zaprowadzimy porządek w Polsce; jak bylibyśmy w stanie go zrealizować, gdyby brakło nam stanowczości w utrzymywaniu porządku we własnych szeregach?

Obca jest nam materialistyczna zasada: : mniejszość musi korzystać więcej, aby chciała zapewnić szansę dla większości. Zakłada ona z góry, że politykiem kieruje jedynie osobista korzyść, w dodatku rozumiana bardzo przyziemnie. Zdarza się tak - i to wystarczająco często, aby teza wydawała się przekonująca. Gdyby jednak uznać ją za słuszną, poza nawias polityki wypadliby wszyscy ci, którzy prawdziwą politykę kreowali, przekształcając rzeczywistość. Tylko w Polsce, i tylko w niedawnej przeszłości: Piłsudski, Dmowski, Witos, Sikorski - a także, toutes proportions gardee - Gomułka. Silne indywidualności nie ubiegają się o zaliczki ani żądają materialnej zapłaty, to tylko polityczne karty łakomią się na grosze. Ale mali ludzie nie są w stanie dokonać wielkich rzeczy - opłacać ich, to wyrzucać pieniądze w błoto. Czy tak trudno zauważyć, jaką szansę dano większości - prawie całemu społeczeństwu, w zamian za to, że zdegenerowanej elicie - mniejszości, wolno wszystko? Żadną.

Ta zasada sprowadza politykę do naiwnej transakcji handlowej: jeśli z góry i dobrze zapłaci się rządzącym, pomyślą oni, co zrobić w interesie ogółu. W rzeczywistości ci, którym tylko zależy na zapłacie, gdy dostaną się na szczyty - będą już tylko troszczyć się, aby zachować swą pozycję - i wyłącznie w tym kontekście pomyślą o interesie ogółu. Czy to też trudno zauważyć?

Każde działanie, nie tylko polityczne, wymaga rzetelności. Inaczej staje się partactwem. Ale to oznacza, że kryteria moralne są w równej mierze potrzebne politykowi, jak lekarzowi czy inżynierowi, budującemu most. Wybitnemu politykowi potrzebne są jeszcze bardziej. Wy pracujecie na papierze, a ja na ludzkiej skórze - pisała Katarzyna II do filozofa Diderota. Czy nam się to podoba, czy nie, polityka kształtuje losy zbiorowisk ludzkich - i ta oczywistość nie ulegnie zmianie tylko dlatego, że ktoś sam termin zacznie deprecjonować. Pijany złodziejaszek, ukłęcający kłódkę, może uważać się za ślusarza - ale nie znieprawia to tego pożytecznego zawodu.

Nie chcę powtarzać się i przepisywać tego, co już napisałem w Rewolucji bez rewolucji. Prymat kategorii moralnych w polityce jest szczególnie ważny. Nie oznacza to, że nie można stosować różnych zaskakujących taktyk, powodować zamieszania po drugiej stronie, skrywanymi drogami zmierzać do celu. Polityka, jeśli w jakimś fragmencie zderza się z przeciwną - staje się grą. Albo walką, także bezwzględną wojną, w której ktoś zniszczy kogoś. Toczy się jednak w bardzo wyraźnych ramach. Uprawiać politykę - to wypełniać misję - może wielką, może zupełnie małą, a na pewno spełniać obowiązek. Kto nie jest tego świadom, nigdy nie będzie politykiem. Co najwyżej politykiem, zwykłym partaczem.

Niestety, nie jest to prawda powszechnie znana w Polsce. Przez całe dziesięciolecie rzecznicy materializmu politycznego wpajali nam, że polityka musi być nieuczciwa i służyć osobistym korzyściom tych, którzy potrafią z niej skorzystać.

Potwierdzała to rzeczywistość, w której agresor mówił o pokoju, a zapisanie się do partii zwiększało szanse na awans w pracy czy otrzymanie mieszkania.

Mało kto w Polsce, a i nie wszyscy w Konfederacji zrozumieli hasło IV Kongresu KPN, zwołanego wkrótce po naszym wejściu do Sejmu: Dla zasad, nie dla posad. To niezrozumienie stało się powodem politycznych pomyłek, gdy proponowano nam ministerialne posady, a Konfederacja upierała się przy programach. W kraju, gdzie - jak widzimy - wszystko jest do kupienia, ktoś, kto nie ma siebie na sprzedaż, traktowany jest jako niezrozumiały dziwak, albo diaboliczny gracz, którego taktyki nie sposób zrozumieć.

Te trzy czynniki: odrębność programowa, uformowanie się poza elitą społeczną oraz surowe przestrzeganie zasad moralnych - stawiały zawsze nurt niepodległościowy poza nawiasem istniejących układów i powiązań. Przed pierwszym odzyskaniem niepodległości był on w walce z mocarstwami zaborczymi i w opozycji wobec ugrupowań politycznych, jakie wyrosły z ówczesnej elity. Ta sytuacja powtórzyła się w naszych czasach. Nie chcieliśmy i nie mogliśmy wejść do elity, ukształtowanej w czasach PRL. Oznaczało to, że byliśmy atakowani z dwu stron: organa totalitarnego państwa stosowały metody brutalne, reformatorska opozycja chciała nas udusić.

W latach `70 ściagała nas bezpieka, a politycznie zwalczał KOR - co m.in. powodowało całkowite odcięcie od pomocy materialnej z Zachodu i niechętną, nieraz nawet wrogą taktykę przemilczania przez Radio Wolna Europa. Podczas festiwalu Solidarności 1980-81 wszyscy - zdawało się - mogli korzystać ze swobody, z wyjątkiem ludzi KPN, których ścigano jak wściekłe psy. Ja, i wielu innych czołowych działaczy KPN cały ten czas - od sierpnia 1980 r. - spędziliśmy w więzieniu. Dla Konfederacji stan wojenny rozpoczął się już jesienią 1980 r.; wtedy ponieśliśmy największe straty. Mogło tak się dzieć, bo jawne i niejawnie, a często tylko milczące porozumienia przewidywały wolność wyłącznie dla tych, którzy ułożyli się z władzą i zostali przez nią usankcjonowani - przynajmniej do czasu. KPN nie szła na żadne takie ugody - dlatego w interesie jednych i drugich miała być starta z życia politycznego Polski. W stanie wojennym traktowani byliśmy jako pomoc niezbędna, lecz krępująca. Przy, a może pod Okrągłym stołem Komitet Obywatelski i PZPR udzieliły sobie wzajemnej gwarancji bezpieczeństwa, gdy wszyscy znajdujący się poza tym układem mieli być zlikwidowani. Dlatego w wyborach czerwcowych 1989 r. Komitet Obywatelski, który otrzymał przydział 161 miejsc w Sejmie, nie ustąpił ani jednego KPN, a milicja i SB rozbiły wiece przedwyborcze Konfederacji; ja po raz ostatni zostałem zatrzymany przez MSW w lipcu 1989 r., a jeszcze we wrześniu odmówiono mi wydania paszportu zagranicznego.

Najkrócej: najpierw chciano nas zniszczyć fizycznie, później jako strukturę zorganizowaną, w końcu wyeliminować z życia politycznego. Daliśmy sobie radę, przetrwaliśmy atakowani z dwu stron - i tak weszliśmy w nowo rozpoczynającą się epokę Polski demokratycznej i niepodległej.

Tu dygresja. Są dwie szkoły uprawiania polityki. Różnią się tym, że zupełnie inaczej określają skuteczność działania. Pierwsza z tych szkół sprowadza skuteczność do osiągnięcia celów niesamodzielnych, najczęściej partykularnych i osobistych. Największym z takich celów jest zdobycie kluczowego stanowiska państwowego: prezydenta, premiera, ministra, zaś dla partii odpowiednio dużo miejsc w parlamencie, w samorządach itd. W formie zdegenerowanej chodzi tylko o korzyści osobiste: zaszczyty, pieniądze. Jeśli jednak zdobywa się upragnioną władzę, nie bardzo

wiadomo co z nią począć. Używa się jej co najwyżej do dalszego umocnienia swej pozycji, wsparcia przyjaciół, pogrążenia rywali. Gdzieś po drodze gubi się sens działania; wszystko sprowadza się do wywyższenia siebie i swoich, Raz po raz zabłyskują tacy skuteczni politycy; zdobywają dla siebie i swego ugrupowania wielkie wpływy, wierzą, że znaleźli się ponad rządem, sejmem, prezydentem, oburącz zagarniają profity - a potem krok po kroku tracą wszystko, spadają na margines życia politycznego - i nawet nie potrafią sobie wytłumaczyć, dlaczego tak się stało.

Druga szkoła - to polityka prawdziwa. Skuteczność jej ocenia się po zmianach na lepsze, dokonywanych w zastanej rzeczywistości. Stawia ona przed sobą cele samodzielne; samo wejście do Sejmu czy zdobycie władzy pozwala tylko uzyskać możliwości, pozwalające na dokonanie zmiany niezadowolającego stanu rzeczy na zadawalający. Widząc w państwie wspólnotę obywateli, powołaną w ich interesie, a w polityce rozumne działania na rzecz wspólnego dobra - o skuteczności możemy mówić dopiero wówczas, gdy nasza działalność przynosi korzyść narodowi, a co najmniej jego większości - a nie nam samym.

Tak pojmowana skuteczność mieścić się musi w granicach realizmu politycznego: być zgodna z istniejącą rzeczywistością i trendem procesu historycznego. Wprawdzie zastany stan rzeczy jest z reguły tym, co polityka chce poprawić, a więc zmienić - lecz nie wszystko można osiągnąć. Polityka realna to osiągnięcie tego, co możliwe. Dobra polityka jest w stanie dostrzec wszystkie czy prawie wszystkie możliwości. Zła polityka jest ślepa; nie widząc, co możliwe - nie może tego osiągnąć, albo zdąża do niemożliwości. Dobra polityka realna jest z reguły maksymalistyczna: chce osiągnąć wszystko, co możliwe - a więc bardzo wiele. Im więcej z tego możliwego uzyska się, tym większa skuteczność. Śmiałość myśli, odwaga zamierzeń - to niezbędny punkt wyjścia. Natomiast polityka minimalistyczna, wstępnie ograniczająca cele do których zmierza - nierealnie ocenia przeszkody, zatrzymuje przed nieistniejącymi barykadami, często zmierza do niemożliwości: powstrzymania procesy historycznego.

W takich czasach jak nasze - wielkiej zmiany dziejowej - najbardziej realistyczna jest polityka wielkich celów. Karły tego nie rozumieją; obawiają się zerwać z wczorajszą rzeczywistością. Stąd brały się w latach `70 w środowisku KOR postulaty, aby za warunek demokratyzacji przyjąć utrzymanie kierowniczej roli partii komunistycznej; jest to zasada dla nas nie sympatyczna, ale realizm wymaga jej przyjęcia - argumentowano. I wprowadzono tę zasadę do Porozumień Gdańskich oraz w aneksie do statutu "Solidarności". Oczywiście, postępowanie takie nie było wyrazem realizmu, ale świadczyło o jego braku. W następstwie zahamowano i skierowano w bok potężny ruch społecznego protestu, umożliwiając przygotowanie i wprowadzenie stanu wojennego. Za ten jaskrawy brak realizmu Polska zapłaciła olbrzymią cenę: krwi i cierpienia, dziesięciu lat policyjnej dyktatury, podczas której roztrwoniono zasoby, rozbito gospodarkę, podwojono zadłużenie zagraniczne, wpędzono społeczeństwo w ostry niedostatek.

Brak realizmu przesądził o niepowodzeniach ostatniego pięciolecia. Wstrzymywano się przed wyimaginowanymi niebezpieczeństwami; ograniczano zmiany politycznej w strachu przed bezsilnym już ZSRR, a w obawie przed zjednoczeniem Niemiec przedłużano pobyt wojsk sowieckich w Polsce. Papierowe strachy krępowaly ręce. Tajemnicą poliszynela jest, że gdyby pucz Janajewa z sierpnia 1991 r. trwał dzień dłużej, doczekałby się formalnego uznania z Warszawy. Upadł

PZPR, ale tak bardzo obawiano się wyplenić pozostałe po nim relikty, w tym dominujące w różnych dziedzinach postkomunistyczne kadry - że doczekały one spokojnie powrotu do władzy towarzyszy z SLD. Naiwna wiara, że dzień wczorajszy musi trwać wiecznie i niebezpiecznie jest z nim zrywać - spętała wszystkie posolidarnościowe rządy. Cena jest dzisiaj widoczna.

Tłumaczono, że tak być musi, bo zmiany w Polsce dokonują się ewolucyjnie. Była to jednak szczególna ewolucja, powodująca zatrzymanie wszędzie tam, gdzie się bano wyimaginowanych strachów. Natomiast zawsze, gdy chodziło o interes elity, sięgano do kroków rewolucyjnych. Najbardziej radykalna i prawdziwie rewolucyjna zmiana, do jakiej doszło w Polsce w ostatnich latach, dotyczy własności. Wielobilionowa, a może wielotrylionowa własność wspólna przeszła do rąk prywatnych. Nastąpiło uwłaszczenie pogodzonej elity. Równocześnie postawiono tamę uwłaszczeniu społeczeństwa.

Realne konieczności, jakie stoją przed Polską, są dokładnie przeciwne. Potrzeba nam rewolucji politycznej i ewolucji społecznej. Rewolucja polityczna zakończy się dopiero wówczas, gdy rządy będą działać w wyraźnym interesie społeczeństwa. Oznacza to również, że potrafią uruchomić programy, zapewniające nam szybki i wielki skok cywilizacyjny. W czasie wielkich przemian, a występują one nie tylko w naszej części Europy, lecz w prawie całym świecie, realistyczne są wyłącznie najbardziej ambitne programy. Polska stoi przed dylematem: albo w ciągu jednego pokolenia zrównać się z zachodnią Europą, albo stać się półkolonią i miejscem lokalizacji uciążliwych przemysłów. Niestety, nie stać nas obecnie na wielopokoleniową pracę organiczną. Takie są realia czasu.

Trzeba natomiast powstrzymać rewolucję społeczną: nagłą przemianę społeczeństwa bez większych dysproporcji majątkowych w społeczeństwo podzielone na bardzo bogatych i bardzo biednych. Raptowne zmiany własności burzą harmonię społeczną. Komuniści bardzo długo dbali aby polityczny konflikt między rządzącymi a społeczeństwem nie nabrał charakteru otwartego antagonizmu między nielicznymi bogaczami i licznymi ubogimi; dopiero od połowy lat `80 pozwolono na tworzenie wielkich prywatnych fortun. W ciągu ostatnich dziesięciu lat finansowa oligarchia uzyskała dominującą pozycję w Polsce; w znacznej części jest to oligarcha kompradorska, reprezentująca nie tyle własną, co zagraniczną własność. Taki stan rzeczy nie ma szansy na utrwalenie, lecz budzi coraz wyraźniejszy konflikt socjalny.

Trudno zgodzić się z występującymi tendencjami egalitarnymi; prowadzą one do zastoju gospodarczego i społecznego. Dzisiaj o wiele bardziej groźne jest dążenie do gwałtownego bogacenia się nielicznych kosztem ogółu. Groźne także dla zagarniających fortuny. Tego rodzaju proces prowadzi zawsze albo do gilotyn - dla tych, którzy nadmiernie się wzbogacili, albo do łagrów - dla tych, których pozbawiono własności.

Zmiana struktury społecznej narodu jest nieodzowna. Bogaci są potrzebni, a ich własność musi być szanowana. Idzie przede wszystkim o metodę. Procesy dyferencjacji socjalnej muszą przebiegać ewolucyjnie, bez żadnych wstrząsów. Kluczowa rola przypada prawdziwej klasie średniej. Dziś tą nazwę usurpuje się dla najbogatszych. W rzeczywistości tworzą ją drobni przedsiębiorcy, profesjonaliści uprawiający wolne zawody czy zatrudnieni w instytucjach i przedsiębiorstwach, wysoce kwalifikowani robotnicy. To oni właśnie powinni być przedmiotem troski państwa - ich inicjatywy powinna wspierać administracja publiczna. Wymaga to

uwłaszczenia całego społeczeństwa, do czego pierwszym krokiem może być przygotowany przez KPN program uwłaszczenia rodzin. Wymaga również przerwania patologicznego uwłaszczania niektórych kosztów ogółu.

Rewolucyjne zmiany polityczne, prowadzące do demonopolizacji władzy (nad państwem) i uspołecznienie władzy (państwa), wymagają ewolucyjnych przemian społecznych, zapewniających stabilizację Rzeczypospolitej. Jest to kardynalne założenie politycznej doktryny państwowotwórczej, lecz trudno zaprzeczyć, że tylko w taki sposób możemy zmienić koniec XX wieku w początek odrodzenia Rzeczypospolitej.

Polityka to przede wszystkim działania pośrednie. Można je przyrównać do bilardu. Bile są rozrzucone po stole; trzeba tak uderzyć w jedną z nich, aby odbijając się od innych pod różnymi kątami, wprowadziła wszystkie w ruch i skierowała do właściwego otworu. W polityce rzadko kiedy udaje się osiągnąć wielkie cele pojedynczym działaniem bezpośrednim. Trzeba wiedzieć co i jak chce się osiągnąć - i podjąć takie działania, które wywołają zamierzone ruchy pozostałych uczestników rozgrywki; wówczas nawet przeciwnicy nieświadomie będą wykonywać nasz plan. Zachowują się tak, jak bile na stole bilardowym, poruszają się i skutecznie zaczną wpadać do przewidzianego otworu. Jeśli nawet bila, która poruszyła pozostałe, do niego nie wpadnie - będzie i tak najbardziej skuteczną, bo rozstrzygającą dla całej gry.

W tym kontekście, aby ocenić rzeczywistą skuteczność polityczną, dobrze jest brać do ręki stare programy i przypominać sobie cele, które kiedyś można było co najwyżej spisać na papierze. Dziś już wiemy, co nastąpiło - co Polska osiągnęła z tego, co dla niej planowali politycy: rządzący i opozycyjni, głośni w świecie i mniej znani. Jest to jedyny test skuteczności.

W czasach, gdy prawie wszyscy wierzyli, że system sowieckiego zniewolenia jest trwały i żadna siła obalić go nie zdoła - przygotowaliśmy w nurcie niepodległościowym pięcioletni plan polityczny i generalnie bezkrwawego obalenia totalitarnej dyktatury PZPR i wyzwolenia Polski spod moskiewskiej hegemonii. Częścią tego planu było powołanie KPN; realizacja jego miała wykorzystać proces politycznej polaryzacji, następujący w PRL, oraz nadanie przewidzianemu masowemu niezadowoleniu społeczeństwa charakteru zorganizowanego, a w swych konsekwencjach - politycznego. Szczegóły przedstawiłem najpełniej w Memoriale z 1976 r. oraz Rewolucji bez rewolucji z 1979 r. Najtrudniejszym punktem tego planu były następstwa przewidzianej siłowej reakcji władzy - i wyprowadzenie z niej kraju; rozwinięte to zostało (wstępnie - na wiosnę 1980 r., ostatecznie - w końcu 1984 r. uchwałą II Kongresu KPN) w strategii Trzech horyzontów, jakie trzeba było przejść kolejno. Wreszcie potrzebny był program Wyjścia z czasowej stabilizacji, jaką tworzyły porozumienia Okrągłego stołu: wstępnie określił go, wyprzedzając wydarzenia, III Kongres KPN w początku 1989 r. Pewne kwestie były oczywiste. W 1989 r. osiągnęliśmy punkt zerowy: Polska faktycznie odzyskała niepodległość. Tym samym weszliśmy w jakościowo nowy etap polskiej rewolucji: uzyskując możliwość rozwiązywania własnych problemów - stanęliśmy przed koniecznością ich rozwiązania. Jednak formacje polityczne, obecne przy Okrągłym stole, były do tego niezdolne.

Był to jeden z trudniejszych momentów w dziejach KPN. Z programu odzyskania niepodległości Konfederacja musiała się przestawić na program umocnienia i wykorzystania niepodległości. Byliśmy do tego przygotowani: prace

programowe nad charakterem Trzeciej Rzeczypospolitej i rozwiązywaniem głównych problemów z jakimi zmierzyć musiało się państwo i społeczeństwo były już bardzo zaawansowane; bez porównania bardziej, niż w jakimkolwiek innym ugrupowaniu demokratycznym.

Jako jedyni dysponowaliśmy przygotowanym projektem konstytucji (przedstawiony on został szczegółowo po raz pierwszy w 1984 r. w książce Trzecia Rzeczpospolita. Zarys programu politycznego). Świeżo zakończyliśmy pracę nad zaktualizowaną wersją planu przeobrażeń ekonomicznych i nowej polityki gospodarczej państwa; w lutym 1989 r. III Kongres KPN uchwalił Program Sanacji Gospodarki Narodowej. Był to plan alternatywny wobec planu wprowadzanego w życie przez rządy Messnera i Rakowskiego, który następnie przybrał postać Planu Balcerowicza. Nasz Program Sanacji przewidywał rzeczywisty i całkowity powrót do gospodarki rynkowej, uczciwą prywatyzację, politykę ograniczonego interwencjonalizmu państwowego w celu nakręcania koniunktury i osłony własnego przemysłu i rolnictwa w trudnym okresie transformacji, wreszcie odczuwalną poprawę poziomu życia społeczeństwa - przy równoczesnym zahamowaniu dających się już odczuć zjawisk negatywnych, zwłaszcza inflacji i bezrobocia. W pełni rozwinięte zostały założenia nowej polityki zagranicznej. Postulowaliśmy wykorzystanie dobrej koniunktury międzynarodowej dla szybkiej reorientacji na Zachód i traktatowego związania Rzeczypospolitej z USA i krajami EWG, wzmocnionego dalszymi zmianami geopolitycznymi, zwłaszcza zjednoczeniem Niemiec; równocześnie należało podjąć wstępne działania zmierzające do integracji Międzymorza, poczynając od aktywnej pomocy Polski w odzyskiwaniu niepodległości przez kraje cierpiące jeszcze moskiewską niewolę. Mieliśmy również przygotowane plany w wielu innych istotnych dziedzinach, w tym plan całkowitej przebudowy sił zbrojnych i nowej polityki obronnej.

W sumie Konfederacja była najlepiej przygotowana do działań w nowych warunkach politycznych. Nie wynikało to wprawdzie z jakiejś naszej przewagi intelektualnej nad Komitetem Obywatelskim czy PZPR. To tam, a nie w KPN gromadzili się intelektualiści. Wyprzedziliśmy innych, ponieważ od lat byliśmy przekonani, że PRL musi upaść; ta świadomość powodowała, że wykorzystywaliśmy czas względnego zastoju, aby przygotować się programowo do nowych warunków. Natomiast Komitet Obywatelski, którego członkowie nie wierzyli w upadek systemu, ani w oddanie władzy przez PZPR - nie zawracał sobie głowy tworzeniem projektów, możliwych do realizacji tylko w państwie niepodległym. Ograniczano się do pomysłów ograniczonej demokratyzacji systemu, w szczególności do uzyskania koncesji na konstruktywną opozycję, a także przygotowywano program niezbędnych rewindykacji społecznych - i więcej nic. Tego przedstawiciele Komitetu Obywatelskiego domagali się przy Okrągłym stole, a następnie w Sejmie. Dopiero po powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego zaczęto gwałtownie poszukiwać programów pozytywnego, a nie opozycyjnego działania, biorąc, co im w ręce wpadło. Ta sama sytuacja powtórzyła się kilkanaście miesięcy później, gdy Lech Wałęsa wygrał wybory prezydenckie - ale ani on, ani jego ówczesny obóz polityczny nie mieli żadnego programu działania. Prawda jest żałosna: w latach 1989-90 władzę przejęło ugrupowanie do rządzenia nie przygotowane - i tego stanu rzeczy nie zmienił fakt, że podzieliło się ono na dwie części.

Co gorsza, nikt spośród nowych rządców Polski nie kwapił się nawet, aby przygotowane przez innych programy chociaż poznać. Po części wynikało to ze swoistego lenistwa politycznego i braku chętki szukania dalej, niż obok własnego nosa, a po części z niechęci przyznania się, że KPN zrobił to, czego oni nie potrafili. Dlatego stwierdzano, że trzeba stworzyć nowe programy, skrzętnie ukrywając, że już są, ale ze względów ambicjonalnych przykro z nich korzystać. Było to zachowanie typowe dla tego środowiska politycznego, które od początku, głośno krytykując ROPCiO a następnie KPN, po cichu brało przygotowane przez nas rozwiązania - jeśli tylko nadawały się do wykorzystania w ich interesie. Było tak cały czas, także po roku 1989; niejedno ugrupowanie polityczne powstałe w ostatnich latach, bez żenady przepisywało tezy z programów KPN. Nie mamy o to pretensji; cieszymy się, jeśli inni chcą wykonywać to, co uznajemy za słuszne. Śmiesz tylko nieraz, gdy nagle ktoś zaczyna głosić tezy, które niedawno zwalczał czy wyśmiewał: proszę popatrzeć, ilu mamy dzisiaj polityków, którzy uważali niepodległość za anachronizm, ale zaczęli się jej domagać natychmiast po tym, gdy ZSRR rozpadł się w 1991 r. Generalnie działała, i nadal działa prosta metoda: ci co sami nie mają programu, głośno krzyczą, że go trzeba stworzyć - stwarzając wrażenie, że go nikt nie ma. Tak zresztą wyraża się dyktatura ciemniaków - jak kiedyś nazwano rządy PZPR, co dzisiaj określić można łagodniej jako władzę głupków oświeconych.

Wielkim nieszczęściem dla Polski stało się, że ster Rzeczypospolitej przejęły w 1989-90 r. całkowicie nie przygotowane do tego siły polityczne. Pragnęli władzy, zdobyli władzę - i nie wiedzieli, co z nią zrobić.

U progu niepodległości w obozie demokratycznym występowała zasadnicza dysproporcja między posiadanymi siłami materialnymi a stopniem przygotowania do nowej sytuacji. Programowy i polityczny dorobek Konfederacji nie mógł zostać spożytkowany, bo KPN dysponował zbyt ograniczonymi środkami, co nie pozwalało mu na uzyskanie należytego miejsca na scenie politycznej.

Powody były proste. Cały czas KPN atakowany był i ograniczany z dwu stron: przez rządzącą PZPR i reformistyczną opozycję. Wprawdzie Konfederacja wyszła ze stanu wojennego i okresu represji policyjnych w nieporównywalnie lepszej formie niż "Solidarność" - ale też nie uzyskała takiego wzmocnienia, jakie było udziałem Związku, a raczej występującej w jego imieniu grupy lewicowych polityków. Przypomnijmy, że NSZZ "Solidarność" otrzymywał olbrzymią pomoc z zagranicy - tylko w okresie od 1987 r. co najmniej 5 milionów dolarów; aby ocenić rzeczywistą wartość tej kwoty przypomnijmy, że przeciętny zarobek miesięczny wynosił wówczas parędziesiąt dolarów. Teoretycznie była to pomoc dla wszystkich ugrupowań demokratycznych, w praktyce nie docierała nawet do całej "Solidarności", a tylko do wybranych grup. W następstwie porozumień przy Okrągłym stole dalsze środki materialne Komitet Obywatelski uzyskał od rządu, w tym papier i nieodpłatne usługi drukarskie na rozpoczęcie wydawania własnego dziennika; tak wiosną 1989 r. zaczęła się wielka kariera Gazety wyborczej. Wejście Komitetu Obywatelskiego do Sejmu, a następnie utworzenie rządu spowodowało, że wszystkie możliwości stanęły dla nich otworem.

Ta dysproporcja materialna przesądzała o stosunku sił, ale ostatecznie zadecydował układ polityczny. Nie przewidywał on obecności w życiu publicznym czynników, które nie uczestniczyły w Okrągłym stole. Miały one ulec całkowitej eliminacji. Była to powtórka sytuacji z lat 1980-81, z tą jednak różnicą, że obecnie nikt

nie był dostatecznie silny, aby próbować rozbić KPN, wsadzając jej przywódców do więzień. Sądzono, że uda się to uzyskać innymi metodami. To stanowcze dążenie do likwidacji wszystkich ugrupowań niezależnych od kierownictwa PZPR i wąskiej grupy przywódczej w Komitecie Obywatelskim wynikało nie tylko z potrzeb politycznych, stworzonych układami okrągłostołowymi. Działy także względy indywidualne, skądinąd zrozumiałe: nieprzejednana wrogość komunistów wobec tych, którzy dążyli do całkowitej zmiany systemu i pociągnięcia do odpowiedzialnych winnych przestępstw przeciwko narodowi, oraz zachłanne pragnienie władzy, całej władzy, tylko dla siebie, i tylko we własnym interesie - typowe dla wiodącej części Komitetu Obywatelskiego.

Trudno się temu dziwić. Elita polityczna, jak pisałem wyżej, była podzielona, ale rozumiała konieczność pogodzenia się. Te jej środowiska, które w poprzednich latach były opozycyjne, niecierpliwie pragnęły znów stać się rządzącymi. Dla nikogo spoza tej elity, a w szczególności dla Konfederacji, która zakwestionowała prawo peerelowskiego establishmentu do rządzenia Polską, nie mogło być miejsca w takim układzie.

Doszło do absurdalnej sytuacji: fakt obalenia totalitarnej dyktatury i przywrócenia Polsce suwerenności spowodował, że jedynej partii która się tego domagała od lat - teraz groziła likwidacja, a co najmniej zepchnięcie na polityczny margines.

Przełom polityczny, do którego doszło w latach 1989-90, nie oznaczał jednak końca polskiej rewolucji. Będzie ona zakończona dopiero wtedy, gdy zostaną rozwiązane wszystkie główne problemy z jakimi boryka się społeczeństwo. Po 1989 r. ograniczono się do rozwiązania najbardziej niezbędnych kwestii politycznych, nie robiąc najmniejszego kroku, aby rozwiązać problemy egzystencjalne, dotkliwe dla ogromnej większości narodu; jednostronnie pojmowane reformy gospodarcze utrudniły jeszcze bardziej rozsąplanie tego węzła. Każda głębsza i wolna od chęciństwa analiza prowadzi do wniosku, że bez zadawalającego rozstrzygnięcia kluczowych kwestii ekonomiczno-socjalnych czeka nas kolejna faza rewolucji, a stabilizacja po 1989 r. ma tylko charakter czasowy. Pojednanie podzielonej elity zawsze powoduje, że w obu działających w kraju obozach politycznych dominującą pozycję uzyskują skrzydła ugodowe - siłą rzeczy bardzo zbliżone do siebie. Rzeczywiście, w okresie 1986-88 kierownictwo nad PZPR przejęła frakcja reformatorska, a środowiska lewicowych intelektualistów umocniły swe przywództwo nad "Solidarnością". Taki układ sił jest niezbędny, aby ugoda między nimi była możliwa. Gdy jednak już do niej dojdzie, uniemożliwia w istocie konsekwentne i całościowe rozwiązywanie występujących problemów społecznych, gdyż prowadzi do decyzji połowicznych, w dodatku zgodnych z partykularnymi interesami elity. To powoduje potęgujące się niezadowolenie społeczne i przesądza o konieczności dalszych zmian rewolucyjnych.

Świadomość takiego rozwoju wydarzeń narzuciła taktykę polityczną KPN. Gdy jesienią 1988 r. okazało się, że nie uda się doprowadzić do wywołania masowego i trwałego ruchu społecznego protestu, bo ugodowe skrzydła PZPR i "Solidarności" do tego nie dopuszczają - zdecydowaliśmy się nie przeciwdziałać ugodzie, mimo że doskonale rozumieliśmy, iż postawi to KPN w bardzo trudnej sytuacji. Nie chcieliśmy uczestniczyć w Okrągłym stole, wiedząc, że jest on tylko miejscem porozumienia się - czy też zmywy elity, a więc nie rozstrzygnie zasadniczych polskich problemów. Z drugiej strony pchał on sprawy naprzód - i to znacznie. Łatwo było przewidzieć, że

odbudowa "Solidarności" i przyznanie Komitetowi Obywatelskiemu koncesji na oficjalną konstruktywną opozycję uruchomi procesy prowadzące do zmiany władzy i upadku totalitaryzmu. Dla Polski było to korzystne, choć niewystarczające. Nadchodzący okres stabilizacji politycznej był niezbędny przed następnym przyspieszeniem historycznym.

Takie założenie przyjęliśmy już na przełomie 1988/89 r. - i przedstawiliśmy na III Kongresie KPN. Wynikała z niego strategia polityczna na cały okres tymczasowej stabilizacji pookrągłostołowej. Główne zadanie, jakie stało przed Konfederacją, można streścić w dwu tezach: 1. Umacniać niepodległościowy i demokratyczny kierunek przemian, oraz 2. Nie dać się zniszczyć. Polska wkraczała na drogę budowy postulowanej przez nas Trzeciej Rzeczypospolitej - trzeba było to wspierać ze wszystkich sił. Ugrupowania niezdolne do konsekwentnej realizacji tego historycznego zadania chciały nas wyeliminować z życia politycznego - musieliśmy się obronić, bo aby móc działać dla Polski w dalszym ciągu, trzeba najpierw istnieć. Więcej, musieliśmy się systematycznie umacniać, aby w przyszłą fazę rewolucji KPN weszła możliwie silna i pod każdym względem przygotowana.

Ta strategia przetrwania nie rezygnowała z działań bieżących, mających na celu zarówno usuwanie relikwów PRL, jak przyspieszanie korzystnych zmian politycznych. Konieczne było jednak utrzymanie się na powierzchni życia politycznego i umacnianie własnej pozycji.

Zagrożenia były dwojakie: doprowadzenie do likwidacji KPN (i innych struktur niezależnych) a co najmniej do zepchnięcia na margines życia politycznego - albo wchłonięcie przez rządzący układ polityczny - co również było likwidacją, wprawdzie nie nazwy, lecz programu.

Całe zachowanie się polityczne Konfederacji od 1989 r. wynika z konsekwentnie stosowanej Strategii przetrwania. Prawie nieprzerwanie podejmowaliśmy dynamiczne działania aktywne. Wzięliśmy udział w wyborach czerwcowych 1989 r., z pełną świadomością, że dokonany już podział mandatów nie pozwala nam uzyskać ani jednego. Ale przez same uczestnictwo w wyborach silniej weszliśmy na nową scenę polityczną. Liczne ugrupowania niezależne, jak Liberalno-Demokratyczna Partia "Niepodległość" czy Ruch "Wolność, Równość, Solidarność", do niedawna jeszcze odgrywające istotną rolę, po wyborach czerwcowych praktycznie rozplynęły się. Wybory prezydenckie 1990 r., w których nie miałem żadnych szans, dały nam stały elektorat bazowy oraz wytworzyły przekonanie społeczne o potrzebie i trwałości istnienia KPN. Przeskoczyliśmy kolejną poprzeczkę, co nie udało się "Solidarności Walczącej" (Partii Wolności) - a więc ugrupowaniu, które w latach '80 siłą materialną i rangą polityczną nie ustępowało KPN. Wybory parlamentarne 1991 r. przyniosły nam liczącą się pozycję w Sejmie; zdystansowaliśmy - i to znacznie - liczne inne ugrupowania, w tym również takie, które - wydawało się - miały ogromną szansę (np. partia X - wciąż korzystająca z ogromnego sukcesu Stana Tymińskiego w wyborach parlamentarnych, czy KLD - partia stworzoną wokół istniejącego rządu). Wybory 1993 r., choć nie zaspokoily daleko sięgających nadziei, utrwaliły pozycję KPN jako stronnictwa parlamentarnego i dały nam miejsce w ekskluzywnym Klubie Sześciu głównych ugrupowań politycznych współczesnej Polski. W pobitym polu pozostały ugrupowania niedawno jeszcze odgrywające czołową rolę, tworzące rządy i rządzące Polską (ZChN, PC, RdR, PL i inne mniejsze); już po wyborach likwidacji uległ KLD, a jego resztki weszły do Unii Wolności, wyraźnie słabszej niż przed

wyborami była Unia Demokratyczna - jej poprzedniczka. W ciągu 1994 r. umocniła się znacznie pozycja polityczna KPN, jako jedynego prawdziwie opozycyjnego ugrupowania politycznego, występującego bezkompromisowo przeciwko większości parlamentarnej, kierowanej przez SLD.

W ciągu minionych pięciu lat, tak przecież trudnych, tylko dwa stronnictwa polityczne urosły w siłę i znacznie wzmocniły swoją rangę polityczną. PSL, przekształcając się wewnętrznie, zachowało swoje stare struktury i majątek z okresu PRL, zrzucając równocześnie kuratelę PZPR i stając całkowicie samodzielną partią, o silnym poparciu społecznym i znacznych możliwościach politycznych. Znacznie większy skok uczyniła jednak w tym samym czasie Konfederacja. Nie daliśmy się zniszczyć. Pod względem rozwoju struktury i możliwości materialnych, a także poparcia społecznego i rangi politycznej KPN obecnie jest nieporównywalnie silniejszy, niż był wiosną 1989 r. W toku realizacji strategii przetrwania wykazaliśmy się wystarczająco dużą skutecznością.

Większość ugrupowań politycznych w minionym pięcioleciu może odnotować tylko wyraźny regres. SLD daleka jest od siły, jaką w 1989 r. przedstawiała PZPR, a Unia Wolności pozostała tylko cieniem ongiś potężnego Komitetu Obywatelskiego i skupiającego ponad 250 parlamentarzystów OKAP. Dawny obóz Lecha Wałęsy rozpadł się, a wchodzące ongiś w jego skład partie centroprawicowe wegetują na politycznym marginesie. Trwa jeszcze jako odrębna siła polityczna "Solidarność", ale nie jest to już dawny potężny Związek, dominujący w życiu publicznym, tworzący i obalający rządy.

Po roku 1989 nie zabrakło prób, aby wciągnąć KPN w układy establishmentu. Jak nie można kogoś zniszczyć, trzeba go wchłonąć. Proponowano nam bodajże trzy miejsca w Komitecie Obywatelskim i udział w podstolikach Okrągłego stołu, a także rezygnację z samodzielnego udziału w wyborach 1989 r.; w nagrodę może znalazłby się jakiś jden mandacik sejmowy. Później proponowano nam wsparcie innego kandydata w wyborach prezydenckich, obiecując korzyści polityczne - i nie tylko. Gdy znaleźliśmy się w Sejmie I kadencji, oferty zaczęły się mnożyć. Bodajże wszyscy przywódcy liczących się stronnictw sejmowych - poza SLD oczywiście, proponowali mi stanowisko wicepremiera i parę tek ministerialnych dla kolegów w zamian za wsparcie tworzonego pod ich egidą rządu. Gdy nie starczały obietnice, szukano innych środków. W jednym przypadku był nim oszczerczy szantaż. O poparcie KPN ubiegał się rząd Olszewskiego. Gotowi byliśmy tego poparcia udzielić, ale pod warunkiem zmiany polityki rządu, a w szczególności odejścia od grubej kreski i planu Balcerowicza. Rozmowy zakończyły się jednak fiaskiem; 2 czerwca 1992 r. premier Olszewski odrzucił możliwość zmiany linii rządu i oferował KPN jedynie posady ministerialne. KPN nie można jednak kupić, a nasza odmowa poparcia rządu przesądziła o jego upadku. Ratując się, Olszewski i Macierewicz sięgnęli do zwykłego szantażu, grożąc, że ujawnią materiały sugerujące, że Leszek Moczulski był współpracownikiem UB; czynili to, mając w ręku dokumenty, stwierdzające niezbicie, że Moczulski żadnym agentem nie był²⁴. Szantaż się nie powiódł, ale tylko głupcy

24 M.in. w teczce operacyjnej figuranta Moczulskiego jest plan działań, jakie mają być podjęte przeciwko Leszkowi Moczulskiemu, zawierający punkt 4b przewidujący czynności mające stworzyć i uzasadnić wrażenie, że L.M. jest współpracownikiem SB. Nie jest to jedyny zachowany dokument tego rodzaju.

mogli przypuszczać, że skoro nie ugiąłem się przed bezpieką, to ugnę przed chwilowymi posiadaczami przygotowanych przez bezpiekę materiałów.

Po upadku rządu Olszewskiego dalej trwały próby pozyskania KPN, ale stopniowo zaczęły słabnąć, gdy dla wszystkich stawało się jasne, że nas kupić nie można, a za stanowiska i korzyści materialne nie zrezygnujemy ani z programu, ani z zasad i przekonań politycznych. Próby takie podejmowane są jednak do dziś dnia; całkiem niedawno proponowano nam poparcie kandydata na prezydenta w jednym z miast, argumentując: jest tam 6 bilionów do podziału. Wprawdzie tego argumentu użył działacz polityczny niskiego lotu, co może tłumaczyć, że był bardzo zdziwiony odrzuceniem takiej atrakcyjnej propozycji.

Nikt nie zaprzeczy, że Konfederacja była jedynym liczącym się ugrupowaniem politycznym, które w minionym, pięcioleciu nie odeszło od swojego programu. Wszyscy inni to czynili, dokonując głębokich modyfikacji swojej linii politycznej i programowej; niektórzy czynili to wielokrotnie, wyginając się w różne, także przeciwne strony. Pod względem konsekwencji politycznej i wierności własnym zasadom okazaliśmy się nad wyraz skuteczni. Oparliśmy się wszelkim zasadzkom, wyminęliśmy rafy i mielizny; w tym samym czasie wielu innym ugrupowaniom zabrakło tej programowej skuteczności i dali się wodzić na manowce; płacą teraz za to wysoką cenę, jak owo ugrupowanie uchodzące powszechnie za fundamentalistyczne, a które nie straciło żadnej okazji wejścia do rządu, bez względu na jego program i charakter.

W minionym pięcioleciu KPN nie ograniczał się do trwania i wierności własnemu programowi. Przeprowadziliśmy wiele udanych akcji. Gdy powstał rząd Mazowieckiego z udziałem postkomunistycznych ministrów, groziło że PZPR przetrwa okres krytyczny, zachowując swe struktury w całym kraju. Nie można było do tego dopuścić. Postanowiliśmy zniszczyć wolę przetrwania PZPR, aby rozsypał się od środka. Jesienią i zimą 1989/90 przeprowadziliśmy akcję usuwania PZPR z ich twierdz: gmachów Komitetów partyjnych. W sumie zajęliśmy 140 budynków, w tym większość Komitetów Wojewódzkich i Komitet Centralny. Staraliśmy się, aby akcja usunięcia przebiegała w momencie, gdy odbywała się jakaś szersza narada z działaczami z terenu. Grupy konfederatów obsadzały budynek, wieszały antypezetperowskie transparenty w oknach i nakazywały wszystkim udać się do domu. Nie spotkaliśmy się z ani jedną próbą oporu. Natomiast początkowo, w trzech przypadkach, już po okupacji budynku, rząd Mazowieckiego wysłał na odsiecz milicję. Usuwani z własnych siedzib towarzysze opuszczali je w poczuciu absolutnej bezsilności; trudno było nie uznać, że to już koniec. Symptomatyczny jest przykład Krakowa; usunięci z własnego budynku delegaci na ostatni Zjazd PZPR zwrócili się do KPN, aby mogli w nim odbyć przedzjazdową naradę; spotkali się z odmową i zaproszeniem, aby tę naradę przeprowadzili w lokalu KPN, z czego skorzystali. Gmach b. Komitetu Krakowskiego stał w tym czasie pusty; konfederaci przekazywali wszystkie zajęte budynki władzom komunalnym na cele społeczne, ale w niektórych miastach bały się one je przejmować. Te działania stworzyły atmosferę, w której PZPR, bezsilny mimo posiadania ministrów rządzie, mógł się tylko rozwiązać. Strach pomyśleć, co by było, gdyby przetrwał do wyborów 1993 r.; dziś mielibyśmy już PRL w całej pełni.

W roku 1990 przeprowadziliśmy kolejną akcję tego samego rodzaju. Rząd Mazowieckiego bał się podnieść sprawę ewakuacji wojsk sowieckich z Polski.

Wiadomo było, że wymaga to porozumienia międzypaństwowego, ale Moskwa była jak najdalej, aby wystąpić z inicjatywą w tej sprawie. Jeszcze latem 1990 r. premier Mazowiecki deklarował, że interes narodowy Polski wymaga obecności wojsk radzieckich na terytorium Rzeczypospolitej. Po kilku akcjach rozpoznawczych, badających reakcje sowieckie (głodówka i okupacja komendantury Dowództwa Północnej Grupy Wojsk Radzieckich w Legnicy), między 23 sierpnia a 17 września 1990 r. grupy młodzieżowe KPN zablokowały ok. 50 koszar sowieckich, uniemożliwiając wchodzenie i wychodzenie kogokolwiek, dostawę żywności itd. W kilku wypadkach (np. w Rembertowie) Rosjanie wezwali na pomoc polską policję, ale ograniczyła się ona tylko do ochrony obiektów wewnętrznych, np. węzłów łączności. Powstała sytuacja nie do zniesienia dla potężnego mocarstwa, z którego armii czyniono sobie kpinę; w tych warunkach zarówno stronie polskiej, jak sowieckiej zaczęło zależeć na pilnym rozpoczęciu rozmów o ewakuacji wojsk ZSRR. Gdy tylko to zostało ogłoszone, natychmiast przerwaliśmy wszystkie blokady sowieckich obiektów.

Wybory prezydenckie, a następnie parlamentarne stworzyły nową sytuację; w Polsce został przywrócony system demokratyczny. To spowodowało, że KPN wstrzymał się od działań niekonwencjonalnych. Zyskaliśmy nowe możliwości, zwłaszcza parlamentarne - i na nich się skupiliśmy. Ale nie ograniczyliśmy się tylko do akcji sejmowych. W latach 1992-1993 przeprowadziliśmy co najmniej sześć większych akcji zewnętrznych, odwołując się bezpośrednio do społeczeństwa lub uczestnicząc w masowych protestach. Może najbardziej spektakularne było nawiedzenie Górnego Śląska przez blisko pięćdziesięciu posłów KPN i parokroć więcej ekip propagandowych: jednego dnia zorganizowały one blisko 200 imprez. Najbardziej masowa akcja miała miejsce latem 1993 r., kiedy konfederaci obeszlili 6 milionów mieszkańców, doręczając materiały polityczne. Przesądziło to o tym, że w wyborach wrześniowych 1994 r. KPN weszła do Sejmu.

W Sejmie klub parlamentarny KPN należy do najbardziej aktywnych. Wprawdzie z racji swej niedostatecznej liczebności zarówno w I jak i w II kadencji nie mógł sam przesądzać o ostatecznym stanowisku Izby, ale udawało mu się decydująco wpływać na nie w nadspodziewanie dużej ilości przypadków. Najzupełniej przykładowo podam tylko, że doprowadziliśmy do pociągnięcia do odpowiedzialności konstytucyjnej Jaruzelskiego i współpracowników, winnych wprowadzenia stanu wojennego, wywalczyliśmy przewrót do emerytur dodatków za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia (niestety, ustawę tę zawetował następnie Prezydent), doprowadziliśmy do ustawowej rewaloryzacji emerytur, ujawniliśmy i zastopowaliśmy aferę Banku Śląskiego czy łączenia stanowisk ministerialnych z braniem pieniędzy za zasiadanie w radach nadzorczych. Nasze przeciwdziałanie powstrzymało wiele niedobrych rozwiązań, m.in. pierwszą, bardzo groźną wersję ustawy o Narodowych Funduszach Inwestycyjnych czy mianowanie skazanego w USA za szpiegostwo na rzecz ZSRR Zacharskiego szefem polskiego wywiadu. Katalog jest bardzo długi, odsyłam do materiałów, publikowanych przez Biuro Informacji i Prasy KPN.

Skuteczność i waga polityczna działań KPN w Sejmie II kadencji jest wyraźnie większa, niż w I kadencji. Spowodowane to zostało m.in. innym charakterem politycznym Sejmu. Obecny jest o wiele bardziej jednorodny, co pozwala Klubowi Parlamentarnemu KPN na działania o większym stopniu efektywności politycznej. Jesteśmy jedynym rzeczywiście opozycyjnym klubem, jedynym klubem

niepodległościowym i jednorodnie centroprawicowym. Narzuca to nam poważniejszą obowiązką, ale pozwala odgrywać ważniejszą rolę.

Biorąc pod uwagę wszelkie działania, podejmowane przez Konfederację w minionym pięcioleciu, najważniejsze skutki dotyczyły utrwalenia niepodległego i demokratycznego charakteru Rzeczypospolitej. Początkowo nie było to takie jasne; w latach 1989-90 parlamentarni przywódcy "Solidarności" usiłowali zamazać jakościowo inny charakter państwa, uznając go IV Rzeczpospolitą (numer III przyznawano PRL). Nie chodziło o nazwę, ale o podkreślenie kontynuacji. Ostatecznie wszyscy przyjęli postulowany przez nas termin III Rzeczypospolitej - trzeciego w naszych dziejach państwa niepodległego. Mieliśmy do czynienia ze szczególnymi zakusami na demokrację: bardzo długo zwyciężał pogląd, że nie potrzebne są partie polityczne. bo wszechogarniający ruch społeczny, łatwy do manipulowania - wszystko zastąpi. Aktywna obecność KPN przekreśliła takie zamiary. W zasadniczym stopniu wpłynęliśmy na ograniczenie tempa i zakresu patologii prywatyzacyjnych. Z efektami broniliśmy poziomu życia warstw uboższych, zwłaszcza emerytów i bezrobotnych oraz zagrożonych utratą pracy. Czyniliśmy to wszystko, będąc poza rządem. Konfederacja okazała się jeszcze zbyt słaba, aby móc narzucić swój program ewentualnym koalicjantom. To skazywało nas na niełatwe i niewdzięczne trwanie w ciągłej opozycji. Z roli tej wywiązaliśmy się dobrze, nieprzerwanie wpływając w sposób kształtujący na rzeczywistość. Tylko paru stronnictwom się to udało; poza KPN, wszystkie wywarły ten wpływ rządząc krajem. Jak ciężko jest wywierać opozycji realny wpływ na to, co się dzieje w państwie, przekonuje się obecnie Unia Wolności - dochodząc do wniosku, że odsunięcie od władzy jest równoznaczne z utratą możliwości wpływu na rządy. Gdyby KPN kiedykolwiek uznał taki kapitulanski pogląd, nic nie osiągnęlibyśmy w minionym pięcioleciu - i zapewne zeszlibyśmy ze sceny politycznej.

Trwając, umacniając się, rozwijając przeróżne działania polityczne i przygotowując do nowej fazy przemian polskich, Konfederacja była nieprzerwanie atakowana ze wszystkich stron. Najbardziej widoczne, i o dużym stopniu szkodliwości, są działania prowadzone przez środki masowego przekazu. KPN jest przedmiotem nagonki zarówno telewizji, jak prasy o różnym zabarwieniu; celują w tym związana z UW Gazeta wyborcza oraz postkomunistyczny Sztandar Młodych. Gorsze od wszelkiego rodzaju paszkwilów jest przemilczanie. W okresie pięciu miesięcy przed wyborami 1993 r. w programach informacyjnych publicznej telewizji KPN pojawiła się ponad dwadzieścia razy mniej niż Unia Demokratyczna, a blisko 10 razy mniej, niż PC i RdR. Niewątpliwie wpłynęło to ujemnie na wyniki wyborcze Konfederacji. Sytuacja nasza nadal jest trudna. lecz bez porównania lepsza, niż w latach 1989-91, kiedy przez całe miesiące środki masowego przekazu nie dostrzegały w ogóle istnienia KPN.

Niezbyt dotkliwie, lecz najbardziej perfidne są próby atakowania KPN od środka. Systematycznie różnego rodzaju emisariusze, wysyłani przez różne ośrodki polityczne, starają się przekonać lub przekupić działaczy KPN, aby zbuntowali się przeciwko programowi i kierunkowi działań KPN i doprowadzili do rozłamu. Dwukrotnie te prowokacyjne działania miały nieco szerszy zakres. Symptomatyczne, że w oba wypadki poprzedzały rozpoczęcie kampanii prezydenckiej, a zbuntowani działacze KPN postulowali, aby nie wystawiać własnego kandydata; za każdym razem miało to miejsce wcześniej, niż Rada Polityczna zdecydowała, czy KPN będzie w

ogóle uczestniczył w wyborach. Po raz pierwszy doszło do tego latem 1990 r., a grupa działaczy usiłowała założyć tzw. Frakcję Demokratyczną KPN. Skończyło się na usunięciu z Konfederacji ok. stu osób; główny przywódca tej grupy zaraz potem został zupełnie niespodziewanie wybrany wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej w jednym z głównych miast polskich. Druga próba podjęta została latem 1994 r., a grupa działaczy stara się stworzyć tzw. Frakcję Reformatorską KPN. Jak dotychczas, spowodowało to usunięcie parudziesięciu osób. Tym razem frakcyjniści występują nie tylko przeciwko samodzielnemu udziałowi KPN w wyborach prezydenckich, ale ponadto domagają się odejścia od niepodległościowego i państwowotwórczego programu Konfederacji, postulując ideowe przekształcenie partii w liberalną, bardzo podobną do nieboszczyka KLD.

W obu wypadkach bez większego trudu uzyskaliśmy dowody inspiracji zewnętrznej; ostatecznie większość ludzi, do których zwracano się z takimi propozycjami, nie dała się kupić. Szkodliwość podobnych działań jest jednak dla Konfederacji niewielka. Ułatwiają one samooczyszczanie się struktury; jest dla nas tylko pożytkiem jeśli możemy pozbyć się osób łatwych do kupienia, albo na tyle naiwnych politycznie, że idą za nimi. Więcej szkody powodują towarzyszące temu kampanie prasowe (niektóre gazety zawczasu wiedzą, kto się zbuntuje). Ale i to mają ograniczoną skuteczność. Ostatecznie, przez całe piętnaście lat istnienia KPN prasa rokrocznie zapowiadała, że Konfederacja rozpadnie się, lub że już przestała istnieć. W tym samym czasie zapewniano o trwałości ugrupowań, które wkrótce miały się rozsypać. Tego rodzaju zaklinanie rzeczywistości, relikw propagandy peerelowskiej, ciągle charakteryzuje naszą wolną prasę, a zwłaszcza tę jej część, która zdyscyplinowanie wykonuje dyrektywy swoich mocodawców.

Przez minione pięć lat Konfederacja pozostawała samotna. Zaczyna się to zmieniać wraz z porządkowaniem i dojrzeniem naszego życia politycznego. W ostatnich wyborach samorządowych w większości regionów KPN nie miała już kłopotów z organizowaniem centroprawicowych koalicji. Przez całą swoją historię Konfederacja była partią niezłomną. Nie odstąpiliśmy od przyświecających nam zasad, nie daliśmy się kupić, zachowaliśmy czyste ręce, mamy ciągle ten sam program, któremu jesteśmy wierni.

Z izolacji powoli wychodzimy. Niezłomni pozostaniemy.

3. Czas burzy i naporu

Zaczyna się nowy akt.

Pulsujący kryzys gospodarczy, narastające ubóstwo społeczne i rozlewająca się coraz szerzej fala przestępstw wstrząsają i burzą słabiutką stabilizację. Dobije ją zaogniający się kryzys polityczny. Mija czas, w którym rządziły Polską dwa wewnętrzne, ugodowe skrzydła przeciwstawnych obozów politycznych. Oba okazały się niezdolne, aby w tym trudnym czasie burzy i naporu pewną ręką poprowadzić Polskę.

Obóz, który w uproszczeniu możemy nazwać obozem PRL albo wczorajskich (zwany popularnie komuną, czy też, nie całkiem prawdziwie, lewicą) zawsze cechowała niezdolność do skutecznego rządzenia, a jeśli przez dziesiątki lat utrzymywał się u władzy, to tylko siłą i groźbą Moskwy. Jego skrzydło umiarkowane podjęło w latach 1987-89 nieudaną próbę uratowania PRL, a dzisiaj równie nieudolnie stara się ratować obecną, postpeerelowską stabilizację. Drugi obóz, który - również

w uproszczeniu - możemy nazwać demokratycznym, jest już w stanie zaawansowanej dezintegracji. Jego skrzydło umiarkowane, określane jako dzisiejsi, rządziło w latach 1989-93; objęło władzę, ciesząc się entuzjastycznym poparciem ogromnej większości społeczeństwa, lecz w ciągu czterech lat doprowadziło do kompromitującej klęski wyborczej: miałość, chamie, złoty róg. Być może dałoby radę rządzić Polską dobrze zorganizowaną i w łatwych czasach, zwłaszcza pozbawionych tyłu pokus szybkiego wzbogacenia się, ale w trudnym okresie przemian żaden z wywodzących się z tego obozu rządów nie potrafił przetrwać dłużej, niż paręnaście miesięcy.

Przed wszystkim oba umiarkowane skrzydła nie potrafiły, a prawdę mówiąc nawet nie zaczęły rozwiązywać podstawowych problemów egzystencjalnych społeczeństwa. Wysunięte na czoło wszystkich spraw przez wielomilionowy ruch protestu społecznego w 1980 r., kwestie to są nadal aktualne i nieprzerwanie oczekują na zadawalające rozstrzygnięcia; bez tego nie ma mowy o trwałej stabilizacji Rzeczypospolitej. Rok 1989 obudził nadzieje, lecz szybko zgasły. Przez prawie całe ostatnie dziesięciolecie, kiedy kolejno rządili umiarkowani z obu obozów, wysiłek państwa skupiano na reformach - państwo dezintegrujących, a dążących do utrzymania istniejącego porządku politycznego, bardzo różnego, przynajmniej, przed i po Okrągłym stole. Dokonywane przekształcenia, a więc powierzchowne wprowadzanie instytucji demokratycznych i reformy ekonomiczne, powodujące bardziej zmiany właścicieli niż wzrost efektywności gospodarki - służyły niemal wyłącznie interesowi wąskiej elity. Zaostrzyło to jeszcze bardziej i spotęgowało problemy egzystencjalne społeczeństwa.

Szybko zbliża się czas, gdy po kompromitacji skrzydeł wewnętrznych obu obozów - o losie Polski rozstrzygnie starcie dwu skrzydeł zewnętrznych, maksymalistycznych,

Nastąpi to w nieco zmienionym układzie politycznym. Mimo postępującego pogodzenia się postpeerelowskiej elity i wytwarzania nowego establishmentu utrzymały się dwa obozy historyczne: PRL i demokratyczny. Każdy z nich jest w jakiejś mierze kompletny politycznie: ma swoją lewicę i prawicę, swoich socjalistów, socjalliberałów, demoliberałów, konserwatystów itd. Oczywiście podział na tego rodzaju dublujące się obozy szybko staje się anachroniczny, ale jest typowy dla każdej rewolucji politycznej. Efektem pojednania się elity jest stopniowy zanik bariery dzielącej obozy; ich stykające się skrzydła zaczynają się łączyć. Przykładem tego jest już Unia Pracy, skupiająca ludzi kontynuujących, bez zmiany przekonań, swą poprzednią działalność tak w PZPR jak w "Solidarności" - a także koalicje UW-SLD, zawierane w różnych radach miejskich. Z czasem doprowadzi to do pełnej integracji życia politycznego; liczyć się będą tylko kategorie merytoryczne (wyżej opisane pięć głównych współczesnych orientacji politycznych) - a nie historyczne.

Najbliższa faza, której nie sposób ominąć, doprowadzi do rozbitcia obu obozów i zamiany systemu dwudzielnego na trójdzielny. Różne ugrupowania z wewnętrznych skrzydeł obu obozów będą zlewać się, tworząc w dolnej i środkowej części sceny politycznej słabo zintegrowany układ określany mianem Bagna²⁵. Polityczne jego znaczenie będzie mniejsze od możliwości materialnych, bowiem znajdą się tutaj ugrupowania, które uprzednio skompromitowały się, nieudolnie rządząc krajem. Skrzydła zewnętrzne obu obozów, cały czas silnie z sobą zantagonizowane, przejmą

25 Termin stworzony w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej (le Marais), powszechnie przyjęty w historiografii i politologii zajmującej się badaniem mechanizmów występujących w rewolucjach politycznych.

kierownictwo walki politycznej. Oba mają charakter maksymalistyczny: jedni, wczorajsi do kwadratu, chcą powrotu do unowocześnionej PRL, drudzy, jutrzejsi, pragną zupełnie nowych rozwiązań, kryjących się w rzeczywistej treści pojęcia Trzeciej Rzeczypospolitej. W wyniku tego starcia zostanie określony najbardziej zasadniczy charakter państwa, a więc dopiero ono zadecyduje ostatecznie o losie Polski. Pokonane ugrupowanie maksymalistyczne przestanie istnieć, a Bagno przyłączy się do zwycięzcy.

Widać już wyraźnie jak rysuje się ten nowy układ polityczny. Zapowiadają go coraz silniejsze procesy dezintegracyjne, występujące w obu obozach i w większości stronnictw politycznych.

W ciągu ostatnich miesięcy wzbiera fala reakcji aparaczkowskiej w SLD. Towarzysze nie rozumieją, jak to może być, że rok już mija, odkąd nasi wrócili do władzy, a tu nadal trwa ten demokratyczny bałagan. Niektórzy zadają sobie pytanie, czy ci nasi to naprawdę są nasi. Z pewnym rozbawieniem słuchałem, gdy na posiedzeniu Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu, podczas debaty nad Raportem, a raczej samosądem nad nowymi kadrami MSZ - szef SLD wzywał do umiaru, a jeden z jego kolegów klubowych komentował: a nie mówiłem, że ten Kwaśniewski to człowiek Geremka! Niecierpliwe oczekiwania, że nareszcie wróci stare i coraz silniejsze emocje biorą górę nad zwykłym rozsądkiem. Wysoce wykształceni i inteligentni ludzie z SLD, poruszeni sprawą haitańską, doprowadzili w Sejmie do niemałego zamieszania, stawiając sprawę z tradycyjną pryncypialnością: nie będziemy wspierać imperializmu amerykańskiego w uciemianiu narodów Ameryki Łacińskiej!; wpędziło to w kłopotliwe położenie ich własny rząd, który musiał albo narazić się swojej większości parlamentarnej, albo zepsuć sobie stosunki z USA, nie wiedzieć cui bono, i to w sytuacji, gdy tak bardzo potrzeba kredytów. Przy innej okazji posłowie z SLD (i Unii Pracy!) usiłowali z uchwały sejmowej wyrzucić przypomnienie, że w 1939 r. ZSRR napadł na Polskę.

Tak dzieje się w Sejmie, gdzie ciągle jeszcze panuje - przynajmniej zewnętrznie - wzajemna grzeczność i tzw. wysoka kultura, a ostrzejsze przedstawianie stanowiska uchodzi za faux pas. Co poza Sejmem, co zdala od Warszawy - gdzie głowę podnoszą tępi aparaczkowcy i urażeni w swych ambicjach byli właściciele Polski Ludowej; wczoraj mieli cały kraj, a dziś tylko postnomenklaturowy urząd albo spółkę z.o.o. Nie wolno zapomnieć, że to wszystko ma sporą bazę społeczną; ostatecznie we wrześniu 1993 r. na SLD głosowało blisko 3 miliony osób; co dziesiąty dorosły Polak. Często można spotkać się z hasłem: Komuno, wróć! Na pytanie, o którą komunę chodzi: tę, co rządziła przed 1989 r. czy tę, co rządzi dzisiaj - nie ma na ogół odpowiedzi. Być może dlatego, że dawni esbecy i aparaczkowcy to dzisiaj socjalkonserwatyści, opozycyjni wobec socjalliberałów, pragnący powrotu nie tylko do ancien regime`u ale przede wszystkim do normalnego ustroju. Takiego, do jakiego przywykli.

Oni stanowią większość obozu. Jeszcze niezbyt śmiali politycznie, szybko odzyskują dawną pewność. Niedługo rozbiją i podzielą SLD, a przynajmniej wypchną z niej umiarkowanych i intelektualizujących reformatorów. Otwarcie zażądadają powrotu do PRL.

Dalej zajmę się pomysłami i planami, jakie szykowane są przez tę nową większość. Tutaj chcę tylko podkreślić szybko następującą pezetpeerelizację SLD i coraz wyraźniejsze kwestionowanie dotychczasowej umiarkowanej linii politycznej i

przywództwa tego ugrupowania. Dominujący poprzednio liberalowie i postkomunistyczni biznesmeni spychani są wyraźnie w bok. Odejście Borowskiego z funkcji Ministra Finansów z większym sprzeciwem spotkało się w UW, niż w SLD; chyba większość tego klubu nie ukrywała swego zadowolenia. Trudno powiedzieć, kto ostatecznie stanie na czele zewnętrznego, maksymalistycznego skrzydła obozu PRL: może będzie nim państwowiec Cimoszewicz, może socjalista Miller. Mniejszość pozostanie przy dotychczasowej linii reformatorskiej - to znaczy liberalnej. Zapewne z czasem spłynie do Bagna; jeśli tak, to Kwaśniewski nie będzie długo trwał na jego lewym skrzydle.

Dezintegracja obozu demokratycznego nastąpiła już dawno, a po ostatnich wyborach wkroczyła w krytyczną fazę. Nigdy nie stanowił on jednolitej struktury politycznej; autonomiczną pozycję zawsze zajmowała w nim KPN, a począwszy od "Solidarności Walczącej" (1982 r.) od głównego pnia odszczepiło się wiele grup. Dawny Komitet Obywatelski podzielił się wkrótce po przejęciu władzy, a do lata 1993 r. wyrosło z niego co najmniej sześć większych i kilka mniejszych ugrupowań; wszystkie zasiadały w parlamencie. Ale do Sejmu II kadencji weszły tylko dwa (UD i BBWR), uzyskując wyniki dużo niższe od spodziewanych. W Sejmie kontraktowym OKP liczył ponad 160 posłów, w Sejmie I kadencji wywodzące się z niego ugrupowania - ok. 250, w Sejmie II kadencji - 80. Dodając do tego mandaty poselskie uzyskane przez KPN - która zawsze była osobna - ledwo udaje się przekroczyć setkę.

Na sytuację w obozie demokratycznym decydująco oddziałują konflikty, mające swój początek jeszcze w Komitecie Obywatelskim, owym gronie wymownych dyletantów, zawsze niejednolitym, a skłóconym bardziej o pieniądze, niż programy - gdy tylko doszli do władzy. Antagonizmy sięgają bardzo głęboko. Ależ proszę pana, ten Geremek to człowiek Kwaśniewskiego - przekonywał mnie nie dawno pewien działacz Unii Wolności, nawiasem mówiąc zarekomendowany przez (byłego?) działacza Porozumienia Centrum. Zwłaszcza mniejsze ugrupowania i przeróżne frakcje zaczynają już spływać do Bagna; zjawisko to umocni się lada moment, bowiem taki jest charakter tych postpeerelowskich środowisk towarzysko-intelektualnych. Jeśli tak, Jarosław Kaczyński ma szansę stać się przywódcą prawego skrzydła tego niewątpliwie centralnego ugrupowania.

Rzeczywisty spadek wpływów obozu demokratycznego nie jest aż tak tragiczny, jakby wynikało z podziału mandatów sejmowych. W wyborach wrześniowych ugrupowania postsolidarnościowe i KPN otrzymały łącznie blisko 7 milionów głosów, dobrą połowę wszystkich oddanych - a ponad dwa razy więcej niż SLD. Na obecną Unię Wolności (UD+KLD) oraz związane z nią mniejsze ugrupowania padło tyleż głosów ile otrzymało PSL. Jeśli tak silne poparcie społeczne przyniosło znikomą ilość mandatów sejmowych, to powód jest prosty: obok manipulacji opinią publiczną (o czym niżej) zadecydowało ogromne rozbieżności całego obozu demokratycznego. Głosy oddawane na mniejsze ugrupowania były marnowane; 4,75 mln. głosów nie dało ani jednego mandatu, gdy obecne ugrupowania sejmowe zdobyły łącznie 9 mln głosów - i wszystkie 460 mandatów. Unia Wolności wyszła jeszcze obronną ręką; jej półtora miliona głosów dało ponad 60 mandatów, gdy blisko 3 miliony głosów, zdobyte przez postsolidarnościową centroprawicę i samą "Solidarność" nie dały ani jednego mandatu.

Przywódcy, co najmniej, dobrze rozumieli zasady nowej ordynacji wyborczej, pozbawiające mniejsze ugrupowania jakiejkolwiek szansy wejścia do Sejmu. Nie

wystarczyło to jednak aby przełamać partykularyzmy i podziały. Apele o jedność były słabe i niezbyt szczere. Wybory 1993 r. stały się miażdżącym dowodem, że rozbitcie obozu demokratycznego poszło tak daleko, że nawet najbardziej oczywisty interes wszystkich nie był w stanie doprowadzić do zjednoczenia chociażby chwilowego, na czas wyborów.

Mimo tej dotkliwej nauki, większość nie chce być mądra po szkodzie. W pierwszym porywie doszło wprawdzie do ruchów zjednoczeniowych: Unia Demokratyczna połączyła się z KLD, a na prawicy powstało parę sformalizowanych związków z najsilniejszym Przymierzem dla Polski na czele. Już po kilku miesiącach ujawniły się ruchy odśrodkowe. W Unii Wolności dramatyzuje się kryzys wewnętrzny, a partię rozrywają w równej mierze różnice programowe i światopoglądowe jak sprzeczne interesy osobiste. PdP traci jedność, gdy tylko dochodzi do próby sprawdzenia jej w praktyce; różny stosunek do Wałęsy przywódców tego ugrupowania, czy odejście PC i ZChN z Prawicy Razem w warszawskiej Radzie Miejskiej świadczą dowodnie, że czynniki dezintegracyjne przeważają nad rozumem. Nadal kontynuowane są podziały różnych mniejszych ugrupowań. Wszystko to prowadzi od ogromnego osłabienia struktur i możliwości politycznych, ale powoduje też spadek poparcia społecznego dla poszczególnych ugrupowań. Unia Wolności po wchłonięciu KLD ma nieco mniejsze poparcie niż w wyborach 1993 r. uzyskała sama Unia Demokratyczna; opublikowany w październiku 1994 r. sondaż Pentora ujawnia, że poparcie dla skupiającego pięć partii PdP wynosi 2%, a więc dwa razy mniej, niż otrzymała w wyborach sama PC, trzy razy mniej, niż otrzymał ZChN, mniej nawet, niż pojedynczo uzyskali słabsi członkowie tego ugrupowania - RdR i PL.

Całe szczęście, że siła elektoratu obozu demokratycznego jest znacznie większa od obecnej siły zorganizowanych formacji obozu. Nadal po stronie przeobrażeń demokratycznych i niepodległościowych opowiada się co najmniej połowa społeczeństwa. To znacznie mniej, niż w 1989 r., gdy większość ta przekraczała trzy czwarte, ale nadal wystarczająco dużo, aby decydować o Trzeciej Rzeczypospolitej. W tym ogromnym elektoracie następuje wyraźne przesunięcie na prawo. KPN plus wszystkie postsolidarnościowe ugrupowania centroprawicowe, niechętne wobec UD, uzyskały ponad 4 mln głosów, gdy Unia Demokratyczna i jej sojusznicy (więcej, niż dzisiejsza UW) - tylko 2 mln. głosów (dla porównania dodajmy, że SLD zdobyła 2,8 mln głosów - półtora miliona mniej, niż w 1989 r., różne ugrupowania lewicowe - UP, Samoobrona itd. - 1,75 mln głosów, a PSL nieco ponad 2 mln głosów). W ostatnich miesiącach ten proces przesuwania się na prawo ulega przyśpieszeniu, co w efekcie przyniosło umocnienie się prawego skrzydła UW czy niewątpliwy sukces "Solidarności" w zbieraniu podpisów pod projektem konstytucji. Oznacza to, że nie tylko program demokratyczny ma poparcie większości społeczeństwa, ale jego wersje centroprawicowe, zdobywając 30% głosów w ostatnich wyborach, wysunęły się na pierwsze miejsce i nadal idą do przodu. Gdyby już w wyborach 1993 r. wystąpił blok zjednoczonej centroprawicy, zdobyłby zapewne więcej niż połowę miejsc z Sejmu. Jego rozbitcie zapewniło sukces SLD.

Rażąca dysproporcja między przekonaniami społecznymi a stopniem zorganizowania odpowiadających im formacji politycznych występuje w obydwu obozach. Więcej niż połowa osób, opowiadających się po stronie obozu demokratycznego, nie popiera żadnego ze stronnictw wchodzących w jego skład. W obozie PRL kierująca nim grupa reformatorów, dążąca do stabilizacji obecnego

systemu, pozostaje w ogromnej mniejszości wobec masy pragnącej powrotu do ich własnego PRL. Antyinteligencja, tak silnie występująca w całej historii PZPR, zakorzeniona jest jeszcze mocniej w formacjach epigońskich, a baza społeczna obozu PRL jako zdrajców traktuje tych, którzy sprzedali socjalizm; pamiętajmy, że Okrągły stół krytykowany jest zarówno z prawa, jak lewa. Jeśli te głosy nie zamieniły się jeszcze w okrzyki, to przycisza je znacznie niewygasła obawa przed rozliczeniami.

Tak łączą się dwa zasadnicze czynniki: kompromitacja wewnętrznych skrzydeł obu obozów, niezdolnych do uporania się z głównymi problemami Polski oraz przesuwanie się opinii publicznej w kierunku skrajnych skrzydeł. Zapowiada to rychłe utworzenie układu trójdzielnego.

Teoretycznie - bardzo szybkie. W praktyce mogą wystąpić opóźnienia. Układ trójdzielny oznacza rozbitcie obu trwających ciągle obozów, co dla ich głównych przywódców, czy kandydatów na przywódców oznaczałoby prawdziwą katastrofę. A mają oni w ręku bardzo wiele: pieniądze, gazety, dominujące wpływy w telewizji. Nic dziwnego: jedni rządzą (i nadal mają w ręku ważne państwowe agendy), drudzy rządzą. Jedni i drudzy potrafią to wykorzystać, o czym świadczą rozliczne dowody.

Wydarzenia nie toczą się bowiem tak samoistnie i żywiołowo, jak niektórzy usiłują przypuszczać. W poważnym stopniu są kontrolowane, a nawet sterowane zza kulis. Nie ma to nic wspólnego ze spiskową teorią historii, głoszącą iż jakiś tajny synhedryn decyduje o wszystkim. Ponadto w ostatnich latach mieliśmy raczej do czynienia z zakulisowymi interwencjami zupełnie nieudanymi. Wąskie kierownictwa różnych formacji politycznych z powodzeniem manipulowały opinią publiczną, aby uzyskać jakieś konkretne cele. Pomysły były równie diaboliczne, jak naiwne, ale w bardzo poważnym stopniu zdeterminowały ostateczny kształt wydarzeń. Ono niektóre przykłady.

Wiosną 1989 r. mędrcy z kierownictwa PZPR doszli do wniosku, że mając "Solidarność" w Sejmie, podzielią się z nią odpowiedzialnością za społeczne koszty reform i łatwiej uzyskają kredyty z Zachodu; zagrożeniem dla tego pomysłu było, jak wywiódł sekretarz KC Czarzasty, że ludzie mogą się bać głosować na kandydatów Komitetu Obywatelskiego. W efekcie dokonano manipulacji środkami masowego przekazu, aby wytworzyć przekonanie, że już wszystko wolno. Efekty znane, a Czarzasty jest dzisiaj niezależnym i samodzielnym biznesmenem średniej skali.

Była to zresztą manipulacja pozytywna, korzystna społecznie. Półtora roku później, podczas wyborów prezydenckich, w gronie specjalistów od kształtowania opinii publicznej, skupionych w sztabie Tadeusza Mazowieckiego, ktoś wpadł na pomysł, że potrzebny jest mechaniczny zajac, który zabierze głosy Lechowi Wałęsie. Groziło bowiem, że Wałęsa wygra w pierwszej turze. Doprowadzenie do drugiej tury miało zapewnić zwycięstwo Mazowieckiemu, bo Wałęsa nie mógłby liczyć na przyrost głosów, a premiera od grubej kreski mieli poprzeć epigoni PRL. Rolę zajaca wyznaczono Tymińskiemu, który teoretycznie nie miał żadnych szans: rządowa telewizja za włosy ciągnęła go do góry, popularyzując na każdy sposób. Do tego doszła nieprzewidziana silna osobowość kandydata, a nastroje niezadowolenia z polityki rządowej okazały się szersze, niż sądzono. Mechaniczny zajac sprawił się nad podziw: zabrał Wałęsie co trzeba, ale Mazowieckiego zepchnął do rowu. I pomyśleć, że gdyby nie doszło do tej manipulacji, to większa część niezadowolonych pozostałaby w domu - i Tadeusz Mazowiecki byłby dzisiaj Prezydentem RP.

Ta wpadka nie przypominała starej prawdy: kto pod kim dołki kopie... Dlatego postanowiono znów sięgnąć do wielkiej manipulacji, aby wygrać wybory 1993 r. Ówczesny rząd chciał mieć trwałą większość sejmową - a więc trzeba było wyrzucić z parlamentu wszystkich tych centroprawicowych intrygantów. Pracujący dla Suchockiej wybitni eksperci od socjotechniki trafnie ocenili, że zdecydowana większość Polaków ledwo zauważyła, że nastąpiła zmiana ordynacji wyborczej, a mało kto wie, na czym polegają nowe zasady gry. Manipulacja polegała na tym, aby zwłaszcza rządowa telewizja nie upowszechniła, broń Boże, na czym polegają rygory nowej ordynacji i ukołysała obywateli w przekonaniu, że wystarczy pójść i oddać głos na kogo ochota. Ostrzeżenia KPN zostały zagłuszone. Na ekranie kłócili się politycy, zachwalano przeróżne programy, znudzeni wyborcy wyłączali telewizory i mało kto wiedział o co chodzi na prawdę. Manewr udał się znakomicie: dobre cztery miliony wyborców wyszło na dudka; równie dobrze mogli pozostać w domu, jak oddawać swe jałowe głosy. Lecz ani jeden głos, jaki padł na UD, nie został zmarnowany: wszystkie przynosiły mandaty. Udałoby się nad podziw, gdyby...No właśnie, gdyby nie otwarło to drogi do sukcesu postkomunistów.

Trudno pozbyć się smutnej refleksji: te same ugrupowania, ci sami ludzie, dysponujący tak ogromnymi możliwościami - równie nieudolni jak w rządzeniu są również w prowadzeniu swych własnych działań, nawet sprytniutko pomyślanych. Może jest to jak z owym wiecznym dyrektorem, co spieprzył w produkcji, potem w kulturze, potem na placówce zagranicznej, a potem w nauce; pojawia się podejrzenie, że może się nie nadaje?²⁶

Nie trzeba z powyższego wyciągać wniosków, że manipulacje zawsze się nie udają. Ani zakładać, że jeśli się nie udawały, to zainteresowani z nich zrezygnują. Niestety. Całkiem niedługo szykują się jakieś nowe i wielkie. Na razie trwa walka o narzędzia.

Tak należy rozumieć toczące się od miesiący dramatyczne zmagania o Krajową Radę Radiofonii i Telewizji. Spektakularne odwołania i powołania, głośnie zastanawianie się, czy zostało złamane prawo, czy może nie. Prawo zapewne jest łamane, lecz nie przez jedną stronę, a wszystkie. To, co najważniejsze, załatwiane jest po cichu. Od roku rząd różnymi drogami oplątuje i chwyta środki masowego przekazu. A właściwie nie rząd, tylko dwa rządowe skrzydła. Premier Pawlak i ludzie z PSL robią to dość frontalnie i bez większych efektów, SLD bardziej pokrętnie i z doskonałymi rezultatami; nie powinno to specjalnie dziwić, jeśli przypomnimy sobie, że ostatnią całościową weryfikację kadr Radia i TV przeprowadzono wiosną 1982 r. Unia Wolności uporczywie i stanowczo broni posiadanych pozycji. Wielkim przegranym ma być Lech Wałęsa. Sieć Polonia 1 miała robić kampanie prezydencką dla obecnego Prezydenta - i już jej nie ma, zwierzchnik sił zbrojnych nawet nie obronił wojskowych częstotliwości, na których nadawały stacje Nicolo Grauso (to może częściowo tłumaczy późniejszy zatarg z min. Kołodziejczykiem). Koncesję dostał Polsat, stworzony - jak czytamy w gazetach - przez człowieka posługującego się różnymi paszportami; stoi ktoś za nim? kto? - zgadnij koteczku, że pozwolę sobie zacytować Stefana Kisielewskiego. Zaczyna się obracać karuzela personalna w

26 Jeśli dodamy do tego niedawną informację, że Unia Wolności zaangażowała na giełdzie pieniądze uzyskane jako zwrot kosztów kampanii wyborczej - i połowę straciła, bo działała według rad swych wybitnych ekonomistów i byłych ministrów Kuczyńskiego i Osiatyńskiego - nie śmiać chce się, a płakać. Ostatecznie to oni decydowali o naszej gospodarce i finansach.

publicznej TV. Kto stoi na jej czele? - wiadomo, Wiesław Walendziak, dziennikarz raczej prawicowych przekonań, lecz nie wspierany przez żadne stronnictwo. Ale ktoś znalazł się w Radzie Nadzorczej TVP S.A., która może go w każdej chwili odwołać? SLD ma tam większy udział, niż w Sejmie.

Równocześnie pojawia się afera z ustawą o tajemnicy państwowej, która może stać się kagańcem dla prasy. Coraz szybciej następuje monopolizacja rynku reklamowego, gdzie na pewno można zarobić ogromne pieniądze, ale też zyskać możliwość zamknięcia ust każdej stacji czy gazecie, albo kazać im deklamować nie swoim głosem. Jakaś bliżej nie znana w Polsce firma niemiecka wykupuje za dobre pieniądze udziały w licznych gazetach prowincjonalnych, mających zresztą więcej czytelników, niż dochodu; zapewne nowi właściciele pragną pokryć możliwy deficyt. Przypomina się kariera zmodernizowanego "Życia Warszawy", bujnie rozkwitającego ostatnimi laty za pieniądze wspomnianego Grauso, a ostatnio gwałtownie przychudłego; podobno ma go kupić jakiś Szwed czy Norweg, być może, po warszawsku mówiąc, z tych Skandynawów co Pan wiesz, a ja rozumiem. Jak w tej anegdocie o góralu spod Makowa, co wrócił z Chicago, aby kupić łąkę, ale - jak się okazało, nie dla siebie, tylko sąsiada, który teraz po niej chodzi i się śmieje.

Masowa manipulacja opinią publiczną, ciągle jeszcze bardzo łatwa w Polsce, gdzie ludzie mogą uważać, że telewizja kłamie, ale jej wierzą, nie wypełnia możliwych działań, zmierzających do utrzymania obecnego stanu rzeczy. Coraz gorętszy staje się spór, w czym rękę ma znajdować się wojsko; jeśli ktoś ma względem niego jakieś zamiary, to nie o manipulację tutaj chodzi. Ale sprawa nadaje się do manipulacji. Unia Wolności okrzyknęła, że Wałęsa targnął się na źrenicę demokracji, jaką ma być cywilny minister obrony²⁷; trudno stwierdzić, w jakim stopniu spowodowały to potrzeby zbliżających się wyborów prezydenckich, a w jakim emocje i chęć odwetu za jesień 1990 r. Tak czy inaczej, argumenty zostały szybko upowszechnione przez telewizję i większości Polaków wydają się trafne; krzyk, że Wałęsa zagraża demokracji i konstytucji skutecznie zagłusza ostrzeżenia, że to SLD szykuje się do konstytucyjnego zamachu stanu. Ale o tym za chwilę.

Środki administracyjne i pieniądze, gra polityczna i posunięcia ekonomiczne, sekretne intrygi, szantaże i naciski oraz świadomie wywoływane wielkie skandale mają służyć zamrażaniu istniejącego systemu politycznego. Na jego zachowaniu zależy prawie wszystkim głównym siłom politycznym. Polska staje się polem starcia różnych obcych interesów, głównie gospodarczych, ale nie tylko. Im też odpowiada, jeśli utrzyma się tak, jak jest. Z drugiej strony te same czynniki działają na rzecz destabilizacji. Coraz bardziej brutalna rywalizacja polityczna między poszczególnymi ugrupowaniami i wewnątrz nich, wrywanie sobie dostępu na majątku narodowego, a chociażby drobnej jego części, presje wewnątrzpolskie i zza granicy, gotowość porzucenia każdego, jeśli inny dobrze zapłaci, awantury i skandale, aby pogrążyć rywala - każde z tych działań rozbija stabilizację. Wszystko razem przypomina koniec XVIII wieku: odradza się Polska skłóconej i bezrozumnej prywaty, bezwolny teren starcia interesów i racji zewnętrznych potęg - bezpośrednie zagrożenie dla ludzi i Rzeczypospolitej.

27 Mało kto skojarzył, że to cywil Wałęsa pragnął całkowicie przejąć kontrolę nad armią, a przeciwstawiał się temu wojskowy - admirał Kołodziejczyk. Inna rzecz, że cywila wsparli generałowie, a wojskowego - cywilni politycy SLD i UW.

Wreszcie, co najważniejsze: społeczeństwo. Ciągłe spokojne, choć z błyskami gniewu, przelatującymi to to, to tam. Ciągłe milczące - co tli się za tym milczeniem, żaden sondaż nie zdołał odgadnąć. Manipulowane, temperowane groźbami ekonomicznymi, bezrobociem, nędzą, zarobkiem, sterowane przez polityków, biznesmenów. duchownych - ale do czasu przecież. Jak zachowa się? Podczas wyborów? - i jeszcze przed wyborami? - i po wyborach? - i gdy któryś rząd upadnie, albo nie upadnie?

Wszystko to działa opóźniająco lub przyspieszająco, ale zasadnicze procesy rozwijają się zgodnie ze swą własną logiką. Historia nie powtarza się, ale jej mechanizmy są bardzo podobne, jeśli nie identyczne. Jak w innych rewolucjach politycznych, kruszeje system dwu obozów, rodzi układ trójdzielny.

Nawet mi na myśl nie przychodzi, aby wróżyć, kiedy się ostatecznie uformuje. Wystarczy świadomość, że tak będzie - i możliwość przewidywania, jak będzie.

Najtrudniej przewidzieć rozmiar Bagna. Zapewne będzie rozległe, po obu stronach jest wielu kandydatów. Może sięgnie od Józefa Oleksego, refleksyjnie zamyślnego na klęczniku przed Czarną Madonną - aż do orędownika laicyzacji Donalda Tuska? Może znacznie szerzej? Czy utopi się w nim PSL i jaka część Unii Wolności? Odważniejsi będą szli ku zewnętrznym skrzydłom, ostrożniejsi, albo tylko zmęczeni czy politycznie osłabli - do środka. Tych drugich zawsze jest więcej, a we współczesnej Polsce nadmiar prawdziwy. Ale może chwycą drugi oddech?

Przemiany zachodzące w obozie PRL są proste. A może tylko takie wydają się, gdy patrzymy z drugiej strony barykady? Skrzydło zewnętrzne formuje się szybko. Brak jeszcze odważnych, co jawnie staną na czele. Baza społeczna jest duża i politycznie, z naszego punktu widzenia, dość jednorodna. Oni sami dostrzegają u siebie wiele różnic - i nie wszystkie potrafią przezwyciężyć. Łączy ich generalnie chęć odwetu. Może dzisiaj jest to zamiar łagodny, może dążą tylko do zwykłego przyznania im racji, społecznego potwierdzenia, że mieli dobre zamiary, że lepiej rządzą, że inni zmarnowali ich dorobek - i że należą się im przeprosiny. No, ale jeszcze nie przejęli całkiem władzy, nie zdobyli środków odwetu - a ci, którzy rządzą w ich imieniu, nie przestają zadawać się z drugą stroną.

Kształtujący się program maksymalistycznego skrzydła też jest prosty. Trzeba przywrócić PRL. Przynajmniej samą istotę tego państwa. To znaczy przywrócić monopol władzy. Dość już tych demokratycznych zabaw z ustawiczną zmianą rządów. Gdy władza znowu spocznie w rękach tych, którzy są do tego najlepiej przygotowani, bo wyrosli z partii rządzącej blisko pół wieku - rządy będą znowu długotrwałe i zapanuje porządek. Robotom da się pracę i rozrywkę w telewizji, inteligencję przykróci i zapędzi do uczciwej roboty; czy zauważyliście, towarzyszu, że literatom ostatnimi laty nie chce się pisać książek? Wiele trzeba będzie zmienić, inaczej niż było; prywatne przedsiębiorstwa to niewątpliwie korzystny postępek. Z Amerykanami warto dogadać się; mogą Chińczycy, możemy i my. Szkoda, że w Moskwie źle się dzieje - no, ale tylko do czasu.

To nie satyra. Niestety. Proszę pamiętać, że z dawnego PZPR odeszła prawie cała inteligencja, gdy aparatczycy i terenowi aktywiści nie mieli gdzie iść. Bardziej inteligentni i przedsiębiorczy zakładają własne przedsiębiorstwa, reszta z trudem adaptuje się do nowej sytuacji. Intelktualiści i reformatorzy partyjni zawsze stanowili małą grupę i urosli w znaczenie dopiero wtedy, gdy już nikt nie wiedział co robić. Niektórzy z nich zdążyli zasilić Unię Pracy czy Unię Wolności. Pozostali będą mogli

przyłączyć się do skwapliwie oczekiwanej odrodzonej partii, albo pozostaną sami. To znaczy, spłyną całą grupą do Bagna.

Groźną siłą maksymalistycznej formacji restauratorów PRL będzie brak refleksji. Sama tylko chęć powrotu do swego. Najtrudniej przewidzieć, co uczynią bezmyślni. A tacy stanowią dołowy trzon obozu PRL. Rozzuchwaleni coraz bardziej z każdym dniem - wkrótce ruszą. Wprawdzie po ślepym torze, ale czas jakiś potrwa, nim trafią głową w zaporę.

O wiele bardziej skomplikowane jest tworzenie maksymalistycznego skrzydła obozu demokratycznego. Jak trudne, świadczy doskonale błąd wyborczy KPN. Dążąc do absolutnego zwycięstwa, chcieliśmy w 1993 r. zabrać elektorat lewicy - i temu poświęciliśmy główny wysiłek, zakładając, że elektorat prawicy sam do nas przyjdzie²⁸; nie doceniliśmy skutków manipulacji telewizyjnej, zawierzaliśmy, że ludzie sami zrozumieją, jak w 1990 r., że nie należy marnować głosów. Muszę uderzyć we własną pierś; zapomniałem o chętnie przeze mnie powtarzanej myśli Edmunda Burke: działalność polityczna powinna być dostosowana nie do ludzkiego rozumowania, ale do ludzkiej natury - rozum zaś jest jej częścią, i to nie największą. Że nie największą, ani najważniejszą - dowodzi najlepiej sytuacja w całym obozie demokratycznym. Największą słabością wszystkich rządów solidarnościowych był niedostatek myślenia - i nie zmieniło się na lepsze, gdy byli premierzy i ministrowie znaleźli się w opozycji. Dotyczy to również Belwederu, jeszcze nie straconego - ale atakowanego i niszczonego zewsząd, także od środka, także przez siebie.

Baza społeczna obozu PRL jest może zróżnicowana politycznie, ale jednolita w pragnieniu powrotu ich czasów. Natomiast obozu demokratycznego nie łączy dzisiaj żadne jedno pragnienie. Odrzucając nawet tę część obozu, bardzo wielką, jaka ześlizguje się do Bagna, w pozostałej reszcie nadal mamy do czynienia z podziałami i partykularyzmami, całkowicie niezdolnymi do samodzielnego stworzenia czegoś większego: programu czy struktury. Politycznie dojrzały są bardzo nieliczni: Ruch Trzeciej Rzeczypospolitej czy Unia Polityki Realnej, programowo bardzo odmienni (niepodległościowcy i liberałowie). Mimo pogłębionej jedności w wierze i poszanowaniu tradycji, daleki od politycznej dojrzałości jest ZChN; inne ugrupowania wywodzące się z Komitetu Obywatelskiego są bardziej rezultatem ambicji osobistych i politycznej intrygi, niż sprecyzowanych i odrębnych dążeń programowych. Strukturalnie cała centroprawicowa opozycja parlamentarna jest bardzo słaba: żadne ugrupowanie nie obejmuje siecią organizacyjną całego kraju, a działalność polityczna jest widoczna prawie wyłącznie w większych miastach.

Na tym tle Konfederacja ze swą siłą polityczną, rozbudowanym programem i obejmującą szczelnie cały kraj strukturą (15 obszarów, 49 okręgów, ponad 300 rejonów, kilkaset grup działania) wydaje się być predestynowana do objęcia kierownictwa całego skrzydła maksymalistycznego. Paradoksalne, ale te atuty

28 Parę tygodni przed wyborami 1993 r. pisałem: *Główny kierunek ofensywy wyborczej Konfederacji wymierzony jest w lewicę...Z SLD stoczyć musimy ciężką walkę o elektorat pracowniczy...Powtórzone zostanie zapewne zjawisko, jakie nastąpiło w wyborach prezydenckich: ogromna większość wyborców, niezależnie od swych sympatii politycznych i środowiskowych, nie chciała głosować na kandydatów, którzy nie mieli szans zwycięstwa... zapewne... sympatie centroprawicowe wyrażą się w głosowaniu na KPN* (L. Moczulski, *Czas nadziei, czas goryczy*, s. 343-346). Tymczasem okazało się, że skierowanie głównego wysiłku na prawicę i czynne pozyskanie tej części elektoratu byłoby najwydajniejszą metodą nie dopuszczenia do zwycięstwa SLD.

przeszkadzają, zamiast pomóc w uformowaniu politycznego obozu. Zbyt wielu przywódców drobniejszych ugrupowań ma do nas pretensję, że nie potrafili stworzyć tego, co my. Inni boją się naszej dominacji. Jeszcze inni weszli zbyt głęboko w obecny establishment, wiąże ich gęsta sieć interesów i zależności, aby nie obawiali się zbyt silnej partii porządku, jaką jest KPN. My sami zrobiliśmy mało, albo nic - aby przełamać te uprzedzenia. W miarę, jak pozaparlamentarne ugrupowania tracą elektorat²⁹ sięgamy do wyborców ponad ich głowami, co nie może się podobać. Jak jednak inaczej mamy tam dotrzeć, skoro oni stracili czy tracą zaufanie? Dodać do tego trzeba ustawiczny atak na Konfederację ze strony całego obozu PRL oraz ugrupowań skłaniających się ku Bagnu, a także wrogość obecnego establishmentu, skądinąd zrozumiałą. Wiedzą dobrze, co dla nich oznacza, gdyby Konfederacja stanęła na czele całej prawicy. Dlatego starają się odwlec ten moment, ile tylko można.

Utworzenie współczesnych Frontu Ludowego (zdominowanego przez postkomunistów) oraz Obozu Zjednoczenia Narodowego czy Obozu Wielkiej Polski (kierowego przez siły zdecydowane na całkowite zerwanie ze spuścizną PRL) w całkowicie nowoczesnej postaci jest konieczne i nieuniknione. Rozpad systemu dwudzielnego i tworzenie się trójdzielnego przesądza o powstaniu tych przeciwstawnych bloków. Konieczność polityczna decyduje, abyśmy stworzyli nasz Obóz Rzeczypospolitej niepodległej i demokratycznej w sposób planowy i dobrze przygotowany. Jeśli opory i siła partykularyzmów nadal będą zbyt duże, o jego uformowaniu przesądzą być może wydarzenia polityczne i procesy żywiołowe, zwłaszcza samoczynne skupianie się elektoratu wokół przeciwstawnych bloków skrajnych.

Niezależnie bowiem od tego, jak przebiegać będzie reorganizacja dotychczasowej sceny politycznej i z jaką szybkością integrować się będą nowe bloki - walka polityczna rozgorzeje z całą mocą. Dotychczasową sytuacją, w której ugodowe skrzydła szukały z sobą porozumienia, a przynajmniej zachowania obecnego modus vivendi - zostanie zastąpiona bezpośrednim starciem skrzydeł maksymalistycznych. Nie ma możliwości kompromisu pomiędzy pragnącymi powrotu do PRL oraz rzecznikami sanacji Rzeczypospolitej. To wielkie starcie już się zaczyna. Jego ważnymi bitwami będą referendum konstytucyjne i wybory prezydenckie; zderzymy się również przy innych, być może jeszcze ważniejszych okazjach - ale przygotowania do tych dwu planowanych już się rozpoczęły.

Obecny układ sił w Zgromadzeniu Narodowym przesądza, że dopiero referendum powszechne rozstrzygnie o losie konstytucji, uchwalonej przez połączone Izby. Jeśli zostanie zrealizowany rozkład jazdy, przygotowany przez Przewodniczącą Komisji Konstytucyjnej - Aleksandra Kwaśniewskiego, konstytucję uchwali Zgromadzenie Narodowe 30 grudnia 1994 r., lub w pobliżu tego terminu.

²⁹ Potwierdzają to wszystkie sondaże. Wprawdzie o wzroście poparcia postsolidarnościowej prawicy miały świadczyć wyniki wyborów samorządowych 1994 r. To nieporozumienie; przy niskiej frekwencji wyborczej (i poważnej absencji środowisk, zainteresowanych tylko wielką polityką, co na wsi boleśnie dotknęło PSL, a w miastach KPN) mocniej wystąpiło echo wyników poprzednich wyborów. W 1990 r. zwyciężały prawie wszędzie Komitety Obywatelskie; gdy podzieliły się, połowa aktywów znalazła się na prawicy, reszta w obecnej UW. Ostatnie wybory wygrywały na ogół stronnictwa burmistrzowskie czy wójtowskie, albo koterie radnych; dało to nadreprezentację zarówno postsolidarnościowej prawicy, jak Unii Wolności. Ilość uzyskanych przez nie głosów znacznie odbiega in minus od wyników z wyborów samorządowych 1990 r., a także parlamentarnych 1993 r.

Wówczas referendum mogłoby odbyć się już na przełomie zimy i wiosny 1995 r. Możliwe, a nawet prawdopodobne są opóźnienia - nawet tak wielkie, że referendum połączone będzie z wyborami prezydenckimi. Ciągłe istnieje też ewentualność, że samo uchwalenie Konstytucji przesunięte zostanie na okres po wybraniu nowego Prezydenta. Niestety, nie zależy to od nas; decyzję ma w swoim ręku większość parlamentarna, a ściślej mówiąc SLD, który uzależnia terminy od swoich potrzeb politycznych. Idąc do tej bitwy, nie znamy jej dnia ani godziny; musimy być przygotowani, że najwcześniejszym realnym terminem referendum może być nawet koniec lutego 1995 r.

Starcie toczyć się będzie na dwu płaszczyznach: (1) czy Polska zachowa demokrację, oraz (2) czy będziemy mieli państwo sprawnie zorganizowane - funkcjonalne?

Pierwsze pytanie może dziwić. W powszechnym przekonaniu system demokratyczny nie ma alternatywy. Nikt poważny nie domaga się odejścia od demokracji. Jeśli w opinii publicznej występują obawy, to przed ewentualnymi autorytarnymi zakusami Lecha Wałęsy; jest to spowodowane jednak głównie antywałęsowską kampanią niechętnych mu polityków i środków masowego przekazu. Prawdziwe niebezpieczeństwo tkwi gdzie indziej; w licznych i wpływowych środowiskach, orbitujących ongiś wokół władców PRL, a obecnie pragnących powrotu do starego systemu. Wymaga to odejścia od systemu demokratycznego.

Zagrozenie demokracji ze strony tych kręgów już uwidoczniło się wyraźnie, Świadczą o tym działania SLD, szczególnie charakterystyczne w ostatnich miesiącach. Znamienne, że środki masowego przekazu nie chcą (nie mogą?) poświęcać temu większej uwagi. Tymczasem sprawy zaszły już tak daleko, że epigoni PRL przygotowują w najlepsze swoisty konstytucyjny zamach stanu. Założenie jest bardzo proste. Chodzi wyłącznie o to, aby rządzącej koalicji, zdominowanej przez SLD, zapewnić konstytucyjnie monopol władzy, to znaczy doprowadzić do tego, aby wszystkie naczelną organa Rzeczypospolitej (Sejm, Senat, Prezydenta) pozbawić realnej możliwości odwołania rządu. Gdyby do tego doszło, byłoby to zastąpienie demokracji rzeczywistej przez pozorowaną.

Nie jest to pomysł nowy, że tylko przypomnę zapis o przewodniej roli PZPR w konstytucji PRL. Dzisiaj nie wchodzi w grę takie ostentacyjne rozwiązanie. Zostanie ono zastąpione czymś nie rzucającym się w oczy, jakimś pozornie technicznym przepisem np. wprowadzającym takie warunki i terminy składania wotum nieufności, że rząd będzie nie do odwołania, uzupełnionym postanowieniem o prawie gabinetu do samoreorganizacji (wymiany ministrów, a nawet premiera) bez konieczności uzyskiwania czyjejkolwiek aprobaty. Nie wykluczone jest utrzymanie obecnej zasady, że Prezydent powołuje premiera i ministrów - ale przy przekazaniu Zgromadzeniu Narodowemu prawa wyboru prezydenta. Wtedy nowy Prezydent byłby wybrany przez obecne Zgromadzenie Narodowe - w którym dominują rzecznicy orientacji PRL. Podobnych pomysłów może być wiele; na zewnątrz każdy z nich będzie wyglądał całkiem niewinnie.

Powie ktoś, że takie postanowienia mogą być wykorzystane przez każde ugrupowanie rządzące, a postkomuniści nie muszą wygrać przyszłych wyborów parlamentarnych. Jeśli uda się im wprowadzić taką właśnie, antydemokratyczną konstytucję - to muszą. Przynajmniej tak będą uważali. Przypomnijmy, że w tej dziedzinie mają ogromne doświadczenie. Ich rząd - pewny, że nie można go odwołać -

jest w stanie do końca bieżącej kadencji parlamentarnej tak przygotować wybory, że zwycięży w przedbiegach; wystarczy tylko dobrze skoordynować działania UOP, ministerstw Finansów oraz Pracy i Spraw Społecznych.

Tak pomyślany plan ma tylko jedną słabość: zapis konstytucyjny, de facto przekreślający demokrację, musi być zgłoszony jawnie - co grozi zaalarmowaniem społeczeństwa, a reakcja opinii publicznej może wpłynąć na zachowanie licznych posłów i senatorów oraz zagrozić potrzebnej większości dwu trzecich. Chętni do konstytucyjnego zamachu stanu mogą jednak sądzić, że ten kłopot mają już z głowy.

Otóż we wrześniu 1994 r., na pierwszym posiedzeniu Zgromadzenia Konstytucyjnego przyjęto regulamin pozwalający, aby ostateczny projekt konstytucji, zwany jednolitym, uchwalony został na jednym posiedzeniu - w parę godzin i faktycznie poza kontrolą opinii publicznej.

Na czym to polega?

Przypomnijmy, że każda ustawa jest rozpatrywana przez Sejm w trzech czytaniach na posiedzeniach plenarnych, a pomiędzy nimi dyskutują nad nią komisje sejmowe. Po uchwaleniu przez Izbę nowy akt prawny trafia jeszcze do Senatu, co oznacza dwa kolejne posiedzenia, nie licząc komisji. Przy najszybszym tempie zajmuje to co najmniej kilka tygodni. Tymczasem nowa Konstytucja ma zostać uchwalona na jednym posiedzeniu, zapewne w piątkowe popołudnie 30 grudnia - bez transmisji telewizyjnej, w przeddzień Sylwestra. Ogromna większość Polaków będzie miała tego dnia zupełnie co innego na głowie, niż śledzenie postępu prac Zgromadzenia Narodowego.

Ten plan jest tym bardziej prawdopodobny, że uchwalony przez większość regulamin łamie przepisy Ustawy Konstytucyjnej o trybie przygotowania i uchwalenia konstytucji. Dokonano bardzo prostego zabiegu; za pierwsze czytanie uznano prezentację siedmiu różnych projektów konstytucji, mimo że przepis ustawy mówi wyraźnie, że może się ono odbyć dopiero nad jednym i jednolitym projektem, przygotowanym przez Komisję Konstytucyjną. Dzięki temu ten projekt, który będzie uchwalony, trafi dopiero na drugie czytanie - i w ciągu paru godzin zostanie przyklepany. Nikt bez ważnego powodu nie naraża się na zarzut złamania prawa, i to ustawy konstytucyjnej - w dodatku zarzut ewidentnie uzasadniony³⁰.

SLD od samego początku rozgrywa tę sprawę bardzo zręcznie. Dąży do pozornego skomplikowania prac, tak aby szykowany projekt zgłosić jak najpóźniej.

30 Mówi się, że Ustawa Konstytucyjna o trybie przygotowania i uchwalenia konstytucji napisana jest niejasno i występują w niej luki. To prawda, ale przepis, który złamano jest bardzo jasny i nie nastrocza żadnych wątpliwości interpretacyjnych: mówi o jednym i jednolitym projekcie Konstytucji, przygotowanym i aprobowanym większością głosów przez Komisję Konstytucyjną i wymaga dwu czytań w Zgromadzeniu Narodowym, rozdzielonych parotygodniową przerwą. O tym, że sama ustawa skonstruowana jest nie najlepiej - wszyscy zainteresowani wiedzą od dawna; obecna większość parlamentarna, która się na to skarży, miała rok czasu, aby dokonać nowelizacji. Nawet nie podjęto próby wystąpienia z takim wnioskiem. My tego nie czyniliśmy w obawie, aby poprawiając ustawę, nie zastąpiono czasem referendum zatwierdzającego (które ma aprobować - lub nie - konstytucję uchwaloną już przez Zgromadzenie Narodowe) przez referendum wstępne (rozstrzygające, czy jakąś kwestię, np. zakaz czy przyzwolenie aborcji umieścić w przygotowywanym dopiero projekcie); postulat przeprowadzenia takiego referendum zgłosiła Unia Pracy, nie wiadomo czy rzeczywiście tylko z własnej inicjatywy. Uczyniono tak, ponieważ inaczej konstytucyjny zamach stanu byłby niemożliwy. Żaden inny powód, poza chęcią ukrycia do ostatniej chwili postanowień przywracających lewicy monopol władzy - nie doprowadziłby do takiego drastycznego skrócenia publicznych prac nad ostatecznym tekstem konstytucji.

Dlatego posłowie SLD tak zabiegali, aby dyskutować wszystkie projekty konstytucji, zgłoszone w poprzedniej kadencji; gdy PC wycofało swój projekt, próbowano uznać, że nie ma do tego prawa. O wiele miesięcy opóźniono rozpoczęcie rzeczywistych prac, motywując to oczekiwaniem, aż wpłynie projekt "Solidarności". Powód takiego zachowania jest dzisiaj jasny: dyskusją nad tymi projektami wypełniono pierwsze posiedzenie Zgromadzenia Narodowego, co pozwoliło na faktyczne zredukowanie procedury uchwalenia właściwego, jednolitego projektu z dwu do jednego posiedzenia.

Te łamiące prawo posunięcia osłonięte zostały udanymi manewrami politycznymi. Do wiadomości publicznej nie przeniknęły szczegóły prawdopodobnych zakulisowych ustaleń, ale każdy mógł dojrzeć wyniki. Gdy na posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego posłowie Konfederacji Polski Niepodległej wystąpili przeciwko łamaniu Ustawy Konstytucyjnej i zażądali, aby w regulaminie przewidziano dwa czytania jednolitego projektu konstytucji, poparli nas tylko pojedynczy posłowie z BBWR i UW. Zgromadzenie ogromną większością regulamin uchwaliło. Opozycyjne kluby Unii Pracy i Unii Wolności nie sprzeciwiły się. Co więcej, uczyniono wszystko, aby teoretyczną gadaniną przykryć całą sprawę. Również środki masowego przekazu co najwyżej wzmiankowały, że KPN jak zwykle jest przeciwna. Ani telewizja, ani którykolwiek z wielkich dzienników nawet nie zająknął się, na czym polega i czym grozi dokonane złamanie prawa. To milczenie jak najgorzej rokuje na przyszłość.

Kolejnym zabiegiem przygotowawczym jest dążenie, aby do ostatecznego projektu konstytucji wziąć jak najwięcej z innych projektów. Przesądzone już chyba jest, że z projektu "Solidarności" zaczerpnie się wszystkie prawa socjalne, a z projektów UW i prezydenckiego - prawa obywatelskie; nie ma zresztą projektu, z którego nie da się czegoś przepisać. Chodzi o stworzenie zasłony dymnej - wrażenia, że konstytucja jest wyrazem rzeczywistego kompromisu. Tymczasem, gdy konstytucja wprowadzi faktyczny monopol władzy, wszystkie inne jej postanowienia staną się zwykłą wata; prawa socjalne i obywatelskie będą tyle samo warte, co gwarancje zawarte kiedyś w konstytucji PRL.

Problemem dla konstytucyjnego zamachu stanu będzie dopiero referendum. Cały wysiłek polityczny SLD skupia się obecnie na tym, aby wcześniej zneutralizować jakiegokolwiek sprzeciw. Dużym ułatwieniem dla postkomunistów byłoby poparcie konstytucji przez większość sił politycznych. Spodziewają się, że sporo pomoże im zapożyczenie z innych projektów. Sprzeciw Unii Wolności będzie mało zrozumiały, gdy w konstytucji znajdą się wszystkie proponowane przez UW deklaracje demokratyczne i słowne gwarancje, że mamy państwo prawa. W trudnej sytuacji będzie "Solidarność", jeśli zostaną przepisane gwarancje socjalne zawarte w jej projekcie. Trudno bowiem protestować, gdy czyjeś postulaty zostały uznane i przyjęte.

Sieci zostały jednak zarzucone znacznie szerzej. Tajemnicą poliszynela jest, że SLD proponuje Episkopatowi ratyfikację konkordatu z Watykanem, domagając się w zamian poparcia dla takiej Konstytucji, jaką uchwali Zgromadzenie Narodowe. Teraz już wiemy, że odroczenie tej ratyfikacji było efektem nie tylko zacierzwienia, ale i chytrności politycznej: stworzono przedmiot przetargu. Zarysowuje się inny manewr, oparty o regułę kija i marchewki. Publicznie zaczęto omawiać pomysł powołania nowego rządu, opartego o koalicję SLD-UW. Marchewka ma zachęcić UW, która jawnie skarży się, że nie potrafi być partią opozycyjną; skoro miałyby wrócić do rządu, to chyba nie będzie protestować, że konstytucja uniemożliwia jego obalenie. Kij ostrzega PSL: uważajcie, bo możecie nie być potrzebni! Ciekawe, kto kupi się na to:

może i ci zagrożeni, i ci zachęceni? Dość proste podchody stosowane są wobec Unii Pracy. Natomiast Wałęsę SLD stara się skonfliktować z UW i przycisnąć do muru: gdy zmięknie, możliwy będzie kompromis. Nawet na pozaparlamentarną opozycję centroprawicową nastawiona jest wędka; jako pierwszy próbował coś złowić marszałek Oleksy - i nie jest wykluczone, że pierwszą rybkę już ma. Ale to dopiero początek. Trafiają się i niezaplanowane(?) okazje. Taką był emocjonalny spór o ministra obrony, pochłaniający całkowicie Unię Wolności i czyniący z niej sojusznika SLD. Doczekamy się i ewidentnie zaplanowanych. Chociażby nowej afery typu teczki, przygotowywanej od sierpnia 1994 r. przez ministra Cimoszewicza. Podobno ma dowody ma różne machlojki dokonywane przez tysiąc liczących się osób; z wielką uwagą trzeba obserwować, kogo skompromituje (także z własnych szeregów), a kto poczuje się na tyle zagrożony, że zacznie chyłkiem przechodzić na drugą stronę, godząc się na SLD-owską konstytucję.

Konfederacja jedna stawia opór. Wiemy, że w Zgromadzeniu Narodowym raczej nie damy rady - choć nadal istnieje szansa, że mimo wszystko zmusimy SLD do porzucenia zamiaru dokonania konstytucyjnego zamachu stanu (ta książka też może się do tego przyczynić). Jeśli to się nie uda, możemy jedynie stosować taktykę opóźniającą, aby mieć więcej czasu na dotarcie do opinii publicznej. Na szersze wykorzystanie w tym celu środków masowego przekazu nie ma co liczyć. Raczej wręcz przeciwnie: znów należy spodziewać się manipulacji przez przemilczenie, a dziennikarzom będzie zamykać się usta. Na razie manewry z przydzielaniem koncesji radiowych i telewizyjnych spowodowały, że niejeden zamilkł.

Środki masowego przekazu będą raczej wykorzystywane do kolejnej manipulacji. Łatwo przewidzieć, jakiej. Rozpęta się cała burza, dotycząca kwestii silnie poruszających emocje, jak aborcja czy nauka religii w szkołach. Nie ma potrzeby, aby były one normowane przez konstytucję; wystarczą zwykłe ustawy. Rozgorączkowane spory na te i inne tematy skutecznie mogą zasłonić to, co najważniejsze: pozornie techniczne i mało zrozumiałe dla nie prawników przepisy, w rzeczywistości likwidujące demokrację.

Groźba konstytucyjnego zamachu stanu to jedno. Występuje i drugie zagrożenie: że zostanie uchwalona zła konstytucja, niefunkcjonalna. W pewnym sensie jest to groźniejsze. Konstytucyjne zapewnienie faktycznej nieusuwalności rządu może przynieść wiele kłopotów, ale ostatecznie społeczeństwo znajdzie sposoby, aby niechciany rząd obalić. Koszty będą tylko wyższe, niż przy konwencjonalnych procedurach parlamentarnych. Natomiast uchwalenie złej konstytucji może doprowadzić do tego, że Rzeczpospolita będzie kuleć przez wiele lat.

Tym razem spór konstytucyjny przeciwstawia sobie rzeczników interesów partykularnych i rzeczników interesu państwa. Większość stronnictw pragnie wygodnego sobie, staroświeckiego ustroju parlamentarno-gabinetowego; nawet projekt przygotowany w Belwederze przyjmuje w istocie taki model państwa. Różnice są względnie nieduże: sprowadzają się one do większych lub mniejszych kompetencji prezydenta oraz utrzymania lub nie Senatu jako drugiej Izby legislacyjnej. Zachowany na zostać system, w którym poszczególne władze hamują się nawzajem - tak bardzo, że mogą całkowicie sparaliżować państwo. Wiele krajów europejskich drogo zapłaciło za taką konstytucję - i pozbyło się jej, wprawdzie po szkodzie; ostatecznie uczyniły to Włochy. Najbardziej znany jest przykład Francji, która w 1958 r. odrzuciła system parlamentarno-gabinetowy, oraz Niemiec, które po wojnie go nie wprowadziły; nie

trudno zauważyć, że w tych państwach rządy są trwałe - a o ich istnieniu decyduje wola społeczeństwa, a nie zmienne kombinacje i układy polityków. Nietrwałość rządu służy natomiast partykularnym interesom partii politycznych i różnych nieformalnych grup nacisku. Gdy konstytucja pozwala wykorzystywać jedną władzę państwową przeciw drugiej - otwiera się pole działania dla przeróżnych polityków. System taki jest wyraźnie korupcyjny.

Bardziej nowoczesne rozwiązania demokratyczne (jak francuski), czy też systemy, które dobrze zdały długotrwałą próbę czasu (jak amerykański) - nie przeciwstawiają sobie władz państwowych, lecz bardzo ostro rozdzielają ich kompetencje oraz powodują, że poszczególne organa wspierają się, a nie przeszkadzają. Jedyny projekt konstytucji, oparty o takie założenia, złożyła Konfederacja Polski Niepodległej.

Musimy być świadomi istoty sporu, który już rozgorzał. Zapewnienie rzeczywistej nieusuwalności rządu, czego pragną epigoni PRL, oznacza likwidację demokracji. Uzależnienie władzy wykonawczej i władzy ustawodawczej tylko od społeczeństwa, a nie od siebie nawzajem - oznacza skuteczną realizację demokracji.

Spór o kształt konstytucji toczył się już od pewnego czasu w Komisji Konstytucyjnej. Zdecydują zapewne nie argumenty, ale maszynka do głosowania. Ostateczne rozstrzygnięcie przyniesie referendum konstytucyjne.

Trudno jest przecenić znaczenia tego referendum. Rozstrzygnięciem o kształcie ustrojowym Rzeczypospolitej, może zdecydować o utrzymaniu demokracji. Ale pośrednie jego skutki będą równie ważne, bo przesądzą o kierunku rozwoju Polski na przyszłe lata. Wprawdzie jest to szansa podwójna: dla tych, którzy pragną ocalić demokrację i niepodległość - a także dla tych, którzy marzą o powrocie PRL.

Ci ostatni nie bardzo chcą ryzykować i poddać się takiej próbie. Zwłaszcza dla stronnictw, które niebawem spotkają się w Bagnie, zagrożenie jest zbyt duże. Dlatego już dzisiaj trwają wstępne pogawranki na temat jakiegoś nowego Okrągłego stołu. Pada nazwa miejsca, gdzie mógłby się on odbyć: w rządowym pałacyku w Łącku czy Łańsku, zagubionym w jesiennych lasach, zdala od oczu wścibskich dziennikarzy, po cichu, w tajemnicy przed społeczeństwem. Cel jest jasny: doprowadzić do porozumienia wszystkich wokół jednego projektu konstytucji, uzyskać zgodę - choćby kupioną za wysoką cenę. Przesądzić to ma o wyniku referendum. Rzeczywiście, gdy wszystkie, czy prawie wszystkie stronnictwa wezwą, aby głosować tak - sprawa zostanie załatwiona bez większego zainteresowania społecznego.

Do dziś płacimy wysoką cenę za poprzednie porozumienie ponad głowami społeczeństwa - Okrągły stół 1989 r. Nieszcześnie dla Polski było powstrzymanie przez ugodowców z "Solidarności" masowego ruchu protestu, wzbierającego tak silnie w 1988 r. - i zastąpienie go kiepską ugodą. Jeśli to samo uda się przy konstytucji - straty trzeba będzie długo odrabiać.

Obawy stronnictw establishmentu łatwo zrozumieć. W referendum weźmie udział zapewne około 15 milionów obywateli. Aby odrzucić przygotowaną przez SLD i jej sojuszników konstytucję trzeba jakieś 8 milionów głosów. Jest to możliwe. Ale gdy tylko rozgorzeje prawdziwa społeczna batalia o konstytucję, to nawet jeśli nie uda się zebrać takiej ilości - na pewno będą to miliony. Niezależnie od ostatecznych wyników referendum, w trakcie poprzedzającej go kampanii utworzy się potężny, kilkumilionowy obóz polityczny, broniący demokracji. Będzie to obóz, który odegra zasadniczą rolę w nowym systemie trójdzielny. Jeśli nawet nie uda mu się wygrać w

tym starciu - wejdzie z rozpędu w wybory prezydenckie jako najsilniejsze, wielomilionowe ugrupowanie, które już łatwo wysunie jednego kandydata. Jeśli wygra referendum - przesądzi o swoim zwycięstwie w najbliższych wyborach prezydenckich i parlamentarnych.

Dlatego SLD i ci, których Sojusz pozyskuje - zrobią wszystko, aby obejść referendum, zamienić go w wydarzenie bez większego znaczenia, przy słabym zainteresowaniu społecznym. Dążyć będą do tego również wówczas, gdy będą mieli pewność wygranej.

Ale szansa naszego zwycięstwa jest wysoka. Referendum jest rodzajem plebiscytu. Są tylko dwie odpowiedzi: tak i nie. W rzeczywistości politycznej 1995 r., gdy konstytucja będzie dziełem zdominowanej przez SLD większości parlamentarnej, pytanie staje się czytelne: tak czy nie powrotowi PRL? Z analiz wyników wyborów i licznych sondaży wynika jasno, że powrotu PRL życzy sobie od 15% do 30% obywateli, a jest mu stanowczo przeciwne od 50% do 65% Polaków. Ta większość podzieliła się bardzo podczas dwu ostatnich wyborów parlamentarnych; w referendum nie ma nawet technicznej możliwości rozbicia głosów. SLD może wygrać tylko dzięki manipulacji: gdy uda się ukryć przed społeczeństwem, o co w istocie jest spór, albo gdy większa część przeciwników powrotu do PRL pozostanie w domu, a elektorat SLD i jego sojuszników zdyscyplinowanie pójdzie do urn.

Jasne ujawnienie, o co idzie w referendum konstytucyjnym postawi w bardzo trudnej sytuacji ugodowe skrzydło obozu demokratycznego, a zwłaszcza Unię Wolności i niektóre ugrupowania pozaparlamentarne. Albo przyłączą się one do skrzydła maksymalistycznego, co w przypadku Unii Wolności oznaczało będzie utratę dotychczasowej czołowej pozycji politycznej, albo grozi im kompromitacja polityczna jako rzeczywistych lub domniemyanych sojuszników SLD. Do muru zostanie również przyciśnięte PSL. Będzie musiało się jasno zdecydować, po czyjej jest stronie - czego obecnie starannie unika. Wprawdzie frekwencja na wsi będzie znacznie mniejsza niż w miastach, a elektorat PSL odegra względnie niedużą rolę, ale nie ułatwi to sytuacji Stronnictwa.

Gdy o ważniejszym referendum mało kto w Polsce myśli, a przynajmniej przyznaje się do tego - wybory prezydenckie są w centrum uwagi opinii publicznej. Przeważa przekonanie, że kampania już się rozpoczęła, niektórzy kandydaci zgłaszają się, innych szukają poszczególne ugrupowania, a prasa spekuluje kto ma jakie szanse. Jest to przysłowiowe dzielenie skóry na niedźwiedziu. Po pierwsze: nie jest wykluczone, że nowa konstytucja wprowadzi obieralność Prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe czy sam Sejm - a wtedy wyborów powszechnych nie będzie. Po drugie: wybory prezydenckie odbędą się w końcu 1995 r. - a obecnie wydaje się bardzo mało prawdopodobne, aby ich termin został przyśpieszony. O szansach kandydatów można będzie poważnie mówić w drugiej połowie przyszłego roku. Do tego czasu zapewne wiele się zmieni, a nieznanym dzisiaj wynik referendum konstytucyjnego w znacznej mierze przesądzi o zachowaniu wyborców, którzy kilka miesięcy później będą wybierać prezydenta.

Przewidywać dzisiaj, kto zostanie wybrany - to wróżyć z fusów. Można natomiast z dużym stopniem prawdopodobieństwa określić, spośród jakiej grupy osób zostanie wybrany przyszły Prezydent RP. Zagadnienia wyborów prezydenckich od lat zajmują zachodnich politologów i istnieje już ogromna literatura na ten temat. Podstawowe wnioski są zgodne. Wprawdzie dotyczą one krajów zachodniej Europy i

USA, a specyfika polska jest nieco inna, lecz nie wydają się aby prowadziło to do istotnych różnic.

Podstawowym kryterium przy ustalaniu listy potencjalnych kandydatów jest stopień ich znajomości przez wyborców. Z reguły przyjmuje się, że aby kandydat na prezydenta miał szansę wyboru, to przeciętny wskaźnik jego znajomości w okresie 24 a nawet 36 miesięcy poprzedzających dzień wyborów - musi wynosić co najmniej 90%. Kolejnym kryterium jest stopień zaufania społecznego. Nie poparcia - to bowiem udzielane jest jednej osobie, a zaufania, które można mieć naraz do wielu polityków. Otóż uznaje się, że taki przeciętny wskaźnik zaufania nie może być niższy, niż 20%. Trzecie kryterium ma inny charakter: kandydat musi dysponować, albo być w stanie stworzyć strukturę wyborczą, obejmującą cały kraj. Skupia ona rzeszę członków komisji wyborczych i mężów zaufania oraz osoby, zwane na Zachodzie ochotnikami (wolontariuszami) które będą propagować różnymi metodami swego kandydata.

Gdybyśmy przyjęli te surowe kryteria, to zakładając, że wybory miałyby odbyć się w tym roku, lista realnych kandydatów obejmuje tylko kilka osób. Biorąc pod uwagę nasze specyficzne warunki - Polska jest w toku wielkich przemian, co pozwala na szybsze niż w ustabilizowanych państwach zdobywanie popularności przez kandydatów - możemy te kryteria nieco złagodzić. Dotyczy to zwłaszcza okresu, w którym kandydat legitymuje się wysokimi wskaźnikami. Możemy go spokojnie skrócić do 12 miesięcy, a także obniżyć wyjściowe wartości: współczynnik znajomości do 85% a współczynnik zaufania do 15%.

Interesujące może być, jacy politycy mieliby szansę, gdyby wybory były dzisiaj. Chciałbym, aby Czytelnik potraktował to jako abstrakcyjne ćwiczenie; wybory będą rok później, a za 12 miesięcy lista realnych kandydatów może zupełnie inaczej wyglądać. Zwłaszcza, że złagodzililiśmy kryteria zachodnich politologów, przyjmując, że liczą się przeciętne wskaźniki z ostatnich właśnie dwunastu miesięcy przed wyborami.

Przeciętny wskaźnik znajomości powyżej 85% oraz zaufania powyżej 15% w okresie jesień 1993 r.- jesień 1994 r. charakteryzował tylko dziesięciu polityków. Pięciu z nich związanych jest z Unią Wolności: Jacek Kuroń, Leszek Balcerowicz, Hanna Suchocka, Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek (kolejność nazwisk w zależności od wskaźnika zaufania); dwu z Sojuszem Lewicy Demokratycznej: Aleksander Kwaśniewski, Włodzimierz Cimoszewicz; po jednym z PSL - Waldemar Pawlak, i z KPN - Leszek Moczulski, oraz ustępujący Prezydent Lech Wałęsa. W rzeczywistości kandydatów w tej grupie jest tylko pięciu, bowiem zarówno Unia Wolności jak SLD wystawią po jednym kandydacie.

Wybory jednak będą - powtórzmy to raz jeszcze - za rok. W tym czasie ilość kandydatów może ulec zwiększeniu, bo niektórzy politycy mogą stać się bardziej znani i budzić więcej zaufania. W zasadzie przyjmuje się, że możliwe jest uzyskanie odpowiednich wskaźników przez osoby, które rok wcześniej legitymowały się 67% stopniem znajomości społecznej. Takich polityków jest obecnie ośmiu. Tym razem najwięcej - po dwu - ma obóz belwederski: prof. Religa i Andrzej Olechowski, oraz SLD: Józef Oleksy i Leszek Miller, zaś po jednym z UW: Barbara Labuda, z "Solidarności": Marian Krzaklewski, z UP - Ryszard Bugaj, oraz b. minister prof. Krzysztof Skubiszewski. Wszyscy oni mają szansę osiągnięcia wskaźników, niezbędnych dla realnego kandydata.

W sumie obie grupy zawierają osiemnaście nazwisk, ale możliwych kandydatów jest tylko siedmiu (po jednym na ugrupowanie i nie biorąc pod uwagę prof. Skubiszewskiego, który wycofał się z życia politycznego).

Czy za rok realni kandydaci wywodzący się będą tylko z tej grupy? Możliwy jest zawsze fuks. Ktoś, o którym nikt nie słyszał jeszcze sześć miesięcy przed wyborami. Takim czarnym koniem był Stan Tymiński, choć - jak pisałem wyżej, dostał pomoc, której zapewne nie spodziewał się. Ewentualność, że taki fuks pojawi się w drugich z kolei wyborach jest mało prawdopodobna, ale nie wolno jej wykluczyć. W grę wchodzić mogą jeszcze jacyś politycy, nie wymienieni w powyższej ósemce. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że najmniejszą szansę mają politycy dość znani i cieszący się niejakim zaufaniem: tacy, którzy legitymują się wskaźnikiem znajomości od 33 do 66% i zaufania od 5 do 10%. Odbierani są oni jako politycy II ligi - liczący się, ale nie decydujący. Kto trafił do tej grupy, w wyborach prezydenckich ma nieporównywalnie mniejsze szanse wyrwania się do czołówki, niż politycy o stopniu znajomości poniżej 33% - bo ich jeszcze do żadnej kategorii nie zakwalifikowano. Wylansowanie w ciągu roku takiego mało znanego kandydata jest trudne, ale możliwe. W polskich warunkach musiałby on mieć bardzo silne wsparcie telewizyjne: co najmniej parę razy na tydzień pokazywać się na ekranie.

Mamy więc 18 nazwisk i siedmiu możliwych kandydatów. Zakładam, że ani Unia Wolności, ani SLD, ani obóz belwederski nie wystawią więcej niż jednego kandydata; gdyby tak było, doszłoby do rozłamów w tych ugrupowaniach i zmniejszenia ich szans wyborczych. Gdyby wybory odbywały się dzisiaj, największe prawdopodobieństwo zwycięstwa ma Waldemar Pawlak; w drugiej turze zwycięża on zarówno z Wałęsą, jak Kwaśniewskim czy Kuroń - czyli kandydatami posiadającymi obecnie największe po nim szanse.

Powyższa hipoteza opiera się na przyjmowanym powszechnie założeniu, że obecny układ polityczny, oparty o sześć stronnictw parlamentarnych (BBWR reprezentuje obóz belwederski) i ewentualnie NSZZ "Solidarność" przetrwa do końca przyszłego roku. A tak być nie musi. W wyborach prezydenckich nie muszą występować przedstawiciele obecnych stronnictw, zwłaszcza że istnieje wyraźna tendencja do tworzenia szerszych bloków programowych. Byłoby doskonale, gdyby każdy z nich był wyrazisty programowo, tzn. opowiadał się za odrębną orientacją polityczną. Osiągnęlibyśmy wówczas stan typowy dla ustabilizowanych państw demokratycznych. Takich wyrazistych opcji programowych można dziś naliczyć w Polsce sześć - i tyłuż powinno być maksymalnie kandydatów.

Oto istniejące rzeczywiście opcje polityczne: socjaldemokraci i rzecznicy interesów pracowniczych: Cimoszewicz, Miller, Labuda, Krzaklewski, Bugaj (w kolejności stopnia zaufania); socjalliberałowie: Kuroń, Kwaśniewski, Geremek, Oleksy; demoliberałowie: Balcerowicz, Mazowiecki; chadecy: Suchocka, Wałęsa; agraryści: Pawlak; etatyści (państwowcy): Moczulski.

O wiele bardziej prawdopodobne jest, że w procesy polityczne przyszłego roku zdominuje przechodzenie od systemu dwu- do trójdziałnego. Zarówno referendum konstytucyjne, jak wybory prezydenckie przyspieszają, jeśli nie wymuszają stworzenie tego układu. Wówczas będziemy mieli do czynienia z następującą sytuacją:

- Lewica - Obóz PRL (skrzydło maksymalistyczne): Cimoszewicz, Miller;
- wpływający do Bagna: Kwaśniewski, Oleksy;

- Bagno: Pawlak, Balcerowicz, Olechowski, Religa, Skubiszewski, Labuda, Bugaj;
- spływający do Bagna (umiarkowani obozu demokratycznego): Kuroń, Suchocka, Mazowiecki, Geremek, Wałęsa;
- Prawica - Obóz Rzeczypospolitej (maksymaliści obozu demokratycznego): Moczulski, Krzaklewski.

Konieczne jest zastrzeżenie, że chociaż powyższy układ może powstać dopiero w przyszłym roku, to poszczególnych polityków zaliczałem do poszczególnych grup w zależności od dzisiejszego ich uplasowania. Najbardziej kontrowersyjne może się wydawać zaliczenie Pawlaka, obecnie znajdującego się w samym środku sceny politycznej, tam gdzie powstaje Bagno; wiele wskazuje, że przesunie się on w stronę wyrazistszego skrzydła - i to nie PRL³¹. Może tam natomiast znaleźć się Barbara Labuda, a więcej znanych polityków SLD trafić do Bagna.

W powyższej konfiguracji mamy do czynienia z pięcioma, a może tylko trzema kandydatami (aby zapewnić szansę kandydatowi umiarkowanemu, trzy części formującego się Bagna musiałyby wystawić jednego kandydata). Modyfikując nieco ten układ, za realne możemy uznać uformowanie się czterech bloków wyborczych: maksymaliści PRL (czyli Lewica), Bagno (zdominowane przez umiarkowanych postsolidarnościowców), ludowcy (wyrwą się z Bagna na prawo), maksymaliści demokratyczni (czyli Prawica). Trzy z tych bloków będą w stanie względnie łatwo porozumieć się co do jednego kandydata każdy; w Bagnie będzie to znacznie trudniejsze (konflikt Wałęsy i UW, wpływ umiarkowanych z SLD) i być może zostanie wysuniętych dwu kandydatów. Z tej czwórki bądź piątki tylko dwójka przechodzi do drugiej tury. Teoretycznie możliwa jest każda para, choć mało prawdopodobne, aby weszli razem kandydat ludowców i maksymalistów demokratycznych, albo kandydat SLD i Unii Wolności; pokazuje to, kto to czyje wsparcie może liczyć. Przynajmniej teoretycznie.

Również teoretycznie najmniejsze szanse ma kandydat (dwaj kandydaci?) Bagno. To centrowe i umiarkowane ugrupowanie w wyborach prezydenckich ma szansę zwycięstwa tylko pod dwoma warunkami: że wysunie jednego kandydata, oraz że skupi szerokie spektrum polityczne, dosłownie od Kwaśniewskiego przez Kuronia i Suchocką po Kaczyńskiego. Nie bardzo zdają sobie z tego sprawę w Unii Wolności, a także w Belwederze; gdy jednak sytuacja stanie się zrozumiała, zapewne będziemy mieli i próbę stworzenia tak szerokiego bloku - i spektakularne wyrwanie się niektórych z Bagna ku prawemu skrzydłu. Ugrupowania po obu stronach środka będą miały bowiem znacznie większe szanse.

Ale możliwe są znaczne modyfikacje tego układu. Nie wszystkie bowiem obozy polityczne muszą wysunąć własnych kandydatów. W szczególności dotyczyć to może PSL, nie odległego od rozwiązania wasz prezydent, nasz premier. Gdyby doszło do tego przy zachowaniu obecnej koalicji rządowej, możliwe są trzy warianty:

W pierwszym - do drugiej tury wejdą SLD i któryś z dwu wysuniętych kandydatów postsolidarnościowców (Wałęsa, Mazowiecki?). Zwycięża wówczas

31 Wypomina się Stronnictwu Ludowemu jego wymuszone współzycie z PZPR, nie pamięta, że w początkach PRL to właśnie PSL stanowiło najbardziej masową opozycję polityczną, porównywalną tylko z późniejszą "Solidarnością", a krwawo rozgromioną; chłopci przez cały okres Polski Ludowej byli warstwą dyskryminowaną i niszczoną administracyjnie i ekonomicznie. Te czynniki są bez porównania ważniejsze od działalności komunistycznej agentury w ruchu ludowym, czy nomenklaturowego przerastania aparatów PZPR i ZSL.

zapewne Kwaśniewski; poprze go większość elektoratu PSL, gdy elektorat obozu demokratycznego pozostanie podzielony.

W drugim wariantcie obaj postsolidarnościowi kandydaci pozbawią się nawzajem szansy, a do drugiej tury wejdą kandydaci obu skrzydeł maksymalistycznych. Daje to Prawicy szansę zwycięstwa, bo elektorat solidarnościowy będzie musiał poprzeć antykomunistę (ta grupa wyborców nie działa tak emocjonalnie, jak znaczna część elektoratu centroprawicy, nienawidzącego Wałęsę, Mazowieckiego itd.); także znaczna część elektoratu PSL wystąpi przeciwko postkomuniście.

Trzeci wreszcie wariant, najmniej prawdopodobny: postsolidarnościowcy wystawią jednego kandydata, wejdzie on do drugiej tury wraz z SLD i może zwyciężyć, ale szanse będą raczej wyrównane. Ani Wałęsa, ani Kuroń, ani Mazowiecki nie otrzymają poparcia większości elektoratu centroprawicy - raczej nie pójdzie on do urn, zaś w takim układzie elektorat PSL w większości poprze SLD. Wariant ten będzie realny tylko pod warunkiem porozumienia Wałęsy z Unią Wolności (wspartego przez Unię Pracy, liberałów z SLD i pozaparlamentarne Porozumienie dla Polski). Przy niepowodzeniu w tworzeniu takiego bloku - automatycznie mamy do czynienia z opisanym wyżej wariantem drugim.

Trzy powyższe warianty opierają się na założeniu, że w wyborach nie będzie uczestniczyć PSL. Jak można sądzić, takie założenie przyjmuje się obecnie w Belwederze i w SLD. Być może uzasadnione jest ono jakimiś nie znanymi opinii publicznej konkretnymi zobowiązaniami. Pytanie, czy będą mogły być dotrzymane. W ciągu roku wiele może bardzo zmienić się.

Zupełnie nowa sytuacja powstałaby, gdyby nastąpiła zmiana koalicji rządowej (PSL zostałby zastąpiony przez UW i UP); wstrzymajmy się jednak od analizy tego bardzo interesującego układu.

Jeszcze parę uwag. Dzisiaj wydaje się co najmniej mało prawdopodobne, aby obóz postsolidarnościowy (umiarkowany) wysunął na swego kandydata Wałęsę, ale jeśli wysunie kogoś innego, to Wałęsa nie zrezygnuje i też się zgłosi. Jeszcze mniej prawdopodobne jest, że zostanie stworzony szeroki obóz posierpniowy, obejmujący wszystkie ugrupowania wyrosłe z Komitetu Obywatelskiego, zaś zupełnie nieprawdopodobne - że wysunie on Wałęsę.

Niewiele można się również spodziewać po próbie odbudowania dawnego obozu Wałęsy z okresu wojny na górze w 1990 r. Z pozaparlamentarnych partii centroprawicowych mógłby Wałęsa pozyskać tylko część, głównie z ZChN i części RdR. Tymczasem cała centroprawica pozaparlamentarna jest bardzo słaba politycznie i strukturalnie, a jej elektorat w poważnej mierze rozpląnął się (jak świadczą ostatnie badania opinii publicznej). Wprawdzie nie ma ona własnego kandydata, ale nie oznacza to, że wróci do Wałęsy. Szuka najwyraźniej kogoś nowego, ale te poszukiwania dokonywane są w kręgach osób niedość znanych opinii publicznej. Być może będzie to fuks, ale jeśli nawet, to uda się go przepchnąć najwyżej do drugiej tury wyborów, gdzie musi przegrać (nawet jeśli osiągnie równie olśniewający sukces, jak Tymiński). Wielkie ryzyko takiej ewentualności polega na tym, że podobny czarny koń może zostać równie łatwo wykorzystany jak było to z Tymińskim; przy cichym poparciu Unii Wolności, również SLD - będzie on odbierał głosy Wałęsie, ale także Pawlakowi, tym samym zapewniając zwycięstwo lewicy. Cała ta kombinacja wymaga

znalezienia kandydata o charyzmie nie ujawnionej dotychczas, a nie mniejszej od Tymińskiego; tacy ludzie, niestety, nie są liczeni na kopy, ani na ósemki.

W dawnym obozie Wałęsy ważną rolę odgrywała "Solidarność". Sytuacja wewnętrzna w Związku najprawdopodobniej spowoduje, że nie wysunie on własnego kandydata i nikogo nie poprze oficjalnie. Wtedy elektorat podzieli się i poprze różnych kandydatów.

Na zakończenie wskażmy na następujący rozkład zależności:

Kandydat SLD jest najbardziej zagrożony przez PSL, a w mniejszym stopniu przez Unię Wolności, choć także przez Unię Pracy, "Solidarność" i KPN (elektorat pracowniczy). SLD bardzo zależy, aby nie powstał szerszy blok demokratyczny, a więc lewica będzie starała się wpływać, aby ugrupowania postsolidarnościowe wysunęły trzech kandydatów: Wałęsę, kogoś ze stronnictw parlamentarnych i kogoś z pozaparlamentarnych; ponadto dążyć będzie, aby PSL sam wyłączył się z gry.

Kandydat PSL jest najbardziej zagrożony przez SLD i centroprawicę, a nie ma szansy na porozumienie z postsolidarnościowcami (ani z Wałęsą, ani z UW).

Kandydat UW jest najbardziej zagrożony przez Wałęsę, ale także przez SLD. Nie ma szans porozumienia z PSL.

Kandydat maksymalistów demokratycznych jest zagrożony przez Wałęsę i UW, nie ma szans porozumienia z SLD, może porozumieć się z PSL.

Wałęsa jest najbardziej zagrożony przez wrogą mu część stronnictw postsolidarnościowych oraz PSL, ale mimo tego może rachować na porozumienie zarówno z SLD, jak z PSL.

Powyższe uwagi należy traktować wyłącznie jako niepełny opis stanu rzeczywistego i uwarunkowań głównych aktorów na rok przed wyborami. Dlatego pragnę jeszcze raz stanowczo podkreślić: to tylko ćwiczenie. Pozwala ono Czytelnikowi, jeśli będzie śledził uważnie wyniki rankingów znajomości i zaufania do polityków, aby systematycznie korygował listę kandydatów, a umieszczone na niej nazwiska plasował w możliwych schematach i orientował względem siebie. Im bliżej wyborów, tym bardziej będzie to bliskie prawdy. Tego rodzaju analityczne, a więc zimne podejście pozwala ocenić w jakiej mierze różne przymiarki i poszukiwania kandydatów prowadzone przez poszczególne ugrupowania polityczne są poważne, a w jakiej stanowią tylko emocjonalne i nierealistyczne chciejstwo.

Tworząc listę osób, które dzisiaj mogą być uznane za realnych kandydatów, pominęliśmy jedno kryterium: strukturę organizacyjno-kadrową, niezbędną do przygotowania i przeprowadzenia kampanii wyborczej. Dzisiaj istnieje sześć takich struktur: pięć partii, reprezentowanych w Sejmie (SLD, PSL, UW, UP, KPN) oraz NSZZ "Solidarność". BBWR nie dysponuje ogólnokrajową strukturą, ale wespół z Belwederem jest w stanie ją powołać. Bardzo sceptycznie trzeba się odnieść do możliwości stworzenia wystarczająco rozbudowanej struktury przez którekolwiek z ugrupowań pozaparlamentarnych; raczej następuje redukcja ich potencjału organizacyjnego.

Tyle analizy. A teraz trochę realiów.

Jest rzeczą zastanawiającą, że rok przed wyborami prezydenckimi społeczeństwo nie ma jasnego obrazu, kto może realnie kandydować. W krajach o ustabilizowanej demokracji byłoby to nie do pomyślenia. U nas nawet sondaże powodują wzrost dezorientacji. Przedstawia się respondentom zadziwiające listy, złożone z kandydatów realnych i nierealnych, a nawet obejmujące osoby spoza świata

politycznego, które stanowczo zapowiadają, że nie zamierzają kandydować. Ranking wewnątrz takiej grupy, nie wiedzieć dlaczego traktowanej jako zamknięta, może tylko zaciemnić obraz. Często jest to robione, aby lansować jakąś osobę; wystarczy tylko zestawić ją z postaciami mało znanymi - i wypada doskonale.

Ta mgławicowość obrazu, lansowanego przez polityków i służące im środki masowego przekazu, zapowiada jak najgorzej. Szykowana jest nowa manipulacja. Jeśli ludzie nie potrafią dojrzeć prawdziwego stanu rzeczy przez zasłony utkane z fal eteru - manipulacja powiedzie się.

Polityka, pisałem o tym wyżej, to głównie działania pośrednie. Formułuje się opinie, forsuje, a gdy zaczynają być głoszone powszechnie - krytykuje i podważa. Do słownika politycznego wszedł nowy termin: fakt prasowy. Coś, co nie zdarzyło się, ale zostało dokładnie opisane w gazecie. Środki przekazu tak kreują rzeczywistość fikcyjną, ale - co gorsza, przy jej pomocy chcą kształtować rzeczywistość.

W kontekście wyborów prezydenckich skomentujmy czy poddajmy korekcie niektóre z obiegowych już opinii. Na boku pozostawmy to, co się pisze i pokazuje w telewizji o KPN (najchętniej nic, a jeśli już - to źle) i przejdźmy od razu do osób z innych obozów i orientacji politycznych.

Od dłuższego czasu tworzone jest przekonanie, że obecny Prezydent RP - Lech Wałęsa - pozbawiony jest jakichkolwiek szans wyborczych. To oczywiście nieprawda: jego szanse są duże. Podstawową słabością tego kandydata jest brak struktury ogólnokrajowej, która byłaby w stanie przeprowadzić kampanię wyborczą. Ten właśnie powód, a nie chęć popadania w konflikty z wszystkimi - tłumaczy wielką, i bardzo wczesnie rozpoczętą aktywność wyborczą Wałęsy. Musi on uzyskać to, co inni posiadają: strukturę. Teoretycznie mogłaby nią być "Solidarność" - i Wałęsa bardzo o to zabiega, jak na razie bez powodzenia. Drugą ewentualnością jest stworzenie nowej struktury w oparciu o BBWR i ewentualnie część pozaparlamentarnej prawicy. Wymaga to jednak czasu, a pod tym względem zaczyna robić się późno. Prezydent może wreszcie szukać innych sojuszników. Pierwsza jego koncepcja, aby skupić cały obóz postsolidarnościowy natychmiast zawałowała się; sprzeciw Unii Wolności, tak zajadły i pełen emocji - jest nie do przełamania. Wałęsa może myśleć o porozumieniu z PSL, ale to wymaga aby ruch ludowy nie wystawił własnego kandydata - co jest mało prawdopodobne. Jakieś rozwiązanie musi jednak znaleźć, bo inaczej trudno mu będzie stanąć w wyborcze szranki.

Największym atutem Lecha Wałęsy jest, że umie zwyciężać w takich personalnych barażach. Przynajmniej do tej pory zawsze zwyciężał - zarówno w wielkich, jak małych konkurencjach. Ale największą słabością - że umie tylko zwyciężać, ale potem nie bardzo wie, co ze zwycięstwem zrobić. Właściwie Lech Wałęsa jest politykiem straconych możliwości. Kilkakrotnie zdobywał batutę dyrygenta całego naszego życia politycznego - i nic. W 1981 r., gdy odparł zakusy innych i umocnił swe przywództwo w Związku - mógł albo przygotować "Solidarność" do złamania stanu wojennego, albo doprowadzić do ugody z władzą; nie podjął poważniejszej żadnej z tych możliwości. Latem 1989 r. miał faktycznie władzę nad krajem; zimą 1990 r. - faktycznie i formalnie. W obu przypadkach nie wiedział, co z tą władzą zrobić; ostatecznie przekazał ją innym - i stracił merytoryczną kontrolę nad powołanymi przez siebie rządami. Kiedyś, przemawiając do tłumu ze schodków wejściowych parafii św. Brygidy w Gdańsku, Wałęsa wołał: dajcie mi tylko program, a ja go wykonam. Tragedią tego człowieka jest, że programu rządzenia krajem sam nie

może stworzyć, a jego doradcy - byli, obecni - nie są do tego zdolni jeszcze bardziej. Dlatego wszystko topi się w polityce personalnej, ale coraz to nowe wyciągane przez Prezydenta osoby z czasem stają się jego krytykami.

Obecnie największe szanse ma Waldemar Pawlak. Wprawdzie po cichu, ale rozpoczął on już kampanię wyborczą. Ścisłej mówiąc, prowadzi ją tandem Pawlak-Struzik; ten drugi, na razie marszałek Senatu, szybko wysunie się na czołowe miejsce na scenie politycznej. Obaj dokonali, czego inni nie potrafili: względnie szybko i gładko przejęli kierownictwo nad PSL i trzymają go coraz mocniej. W kampanii wyborczej na razie role są tak podzielone, że Pawlak nieprzerwanie jeździ trasą Ochotniczych Straży Pożarnych, odbywając jedno po drugim wiejskie spotkania, gdy Struzik pracuje w środowiskach bardziej elitarnych: samorządowych, akademickich, polonijnych.

Wysuwając swoją kandydaturę na Prezydenta, Pawlak będzie w trudniejszej niż inni sytuacji, bo wejdzie w konflikt ze wszystkimi, także ze swoimi potencjalnymi sojusznikami (a może nimi być zarówno Wałęsa jak SLD; w tych kręgach już mówią o nim primadonna jednego sezonu). Co gorsza, może znaleźć się także w konflikcie z własnym stronnictwem. Dla PSL pewniejsze, a dla większości działaczy korzystniejsze jest, aby trzymać w garści rząd, a nie stawiać wszystko na jedną kartę wyborów prezydenckich. Zapewne Pawlak zdaje sobie sprawę, że gdyby dziś wystąpił przeciwko wszystkim, to jako Prezydent będzie izolowany, jego wybór stworzy silne parcie na utworzenie koalicji SLD-UW. Z drugiej strony obecny premier jest raczej niecierpliw i nie myśli w kategoriach dłuższej przyszłości. Jak na razie, wszystko przychodziło mu bardzo łatwo, zaś szybka kariera może powodować zawrót głowy.

Pod jednym względem Pawlak jest podobny do Wałęsy; łatwiej było mu zostać premierem, niż zdecydować o programie rządu. Ale jest od Wałęsy bardziej elastyczny: pozwala to, że ten w istocie prawicowy szef zachowawczego, wspartego o tradycję i ziemię stronnictwa, czującego równą odrazę do socjalistów jak do liberałów - stoi już od roku na czele rządu zdominowanego przez postkomunistów: socjaldemokratów i liberałów. I wcale nie wiadomo, kto na tym lepiej wyjdzie.

Czołowe miejsce w sondażach prezydenckich zajmuje Aleksander Kwaśniewski. Wydaje się jednak, że na przyszłość większe szanse ma Włodzimierz Cimoszewicz, jeśli potrafi działać stanowczo i odważnie. I on przygotowuje staranie swoją kampanię, a niektóre posunięcia skłaniają do głębszej refleksji. Blisko cały rok po ostatnich wyborach Cimoszewicz czekał, aż Kwaśniewski, a także Oleksy i Miller przygotują najlepszy grunt dla kandydata SLD. Nie chciał wejść zbyt wcześnie na scenę - co odbijało się na wynikach sondaży, ale jest posunięciem racjonalnym. Jego wystąpienie z zapowiedzią, a następnie ogłoszeniem list pobierających podwójne wynagrodzenia dostojników - wypadło kiepsko. Ale spowodował to nie błąd Cimoszewicza, tylko trafiona w punkt akcja KPN. Obecny minister sprawiedliwości dysponuje jednak dostateczną ilością czasu i różnymi atutami, pozwalającymi na osłabienie, a nawet eliminację wielu innych kandydatów, zwłaszcza z SLD i UW.

Jesienią 1994 r. Wałęsa, Pawlak i kandydat SLD (najgłośniejszy wysuwany Kwaśniewski) mieli największą szansę wyboru. W wąskich kręgach establishmentu mówi się, że jesienią 1995 r. ta trójka zostanie zdystansowana przez innych. Możliwe. Jednak analizowanie szczegółowych możliwości każdego z tych innych, mieszczących się przecież na przedstawionych wyżej listach - dziś może raczej zaciemnić, niż rozjaśnić obraz.

Referendum konstytucyjne i wybory prezydenckie nadają rokowi 1995 r. wyjątkowe znaczenie. Może ono być jeszcze większe, jeśli odrzucenie w referendum konstytucji, lub połowiczny wynik głosowania spowodują konieczność pilnego przeprowadzenia wyborów parlamentarnych. Dodajmy do tego coraz wyraźniejszą wizję rozpadu obecnej koalicji rządowej. Doprowadzić to może, nawet jeszcze przed końcem 1994 r., do stworzenia rządu Bagna, opartego o umiarkowane skrzydła SLD i UW, albo do długotrwałego kryzysu politycznego i niechęci Prezydenta oraz niezdolności Sejmu do powołania nowego rządu. Sam zbieg tych wydarzeń, w znacznej części już przesądzonych, narzuca zasadniczą zmianę polityczną. Waga jej gwałtownie rośnie, jeśli w pełni uświadomimy sobie, że spodziewane wydarzenia nakładają się na okres politycznego przełomu: ostatecznej kompromitacji rządów umiarkowanych skrzydeł obu rozpadających się obozów historycznych: peerelowskiego i solidarnościowego, połączonej z zanikaniem całego układu dwudzielnego. Wszystko to może spowodować, że rok 1995 stanie się historyczną cezurą równą rokowi 1989, a może nawet przewyższającą go.

Pięć lat temu jedno było tylko pytanie - i jedna odpowiedź: czy ma zostać utrzymany totalitarna PRL, choćby w zmodyfikowanej i zdemokratyzowanej postaci. Zdecydowana większość społeczeństwa odpowiedziała: nie!. Było to rozstrzygnięcie polityczne, które przesądziło o politycznym zwrocie Polski - ale tylko o politycznym zwrocie.

W nadchodzącym roku padną dwa zasadnicze pytania - i będzie to rok historyczny, jeśli na oba uzyskamy jasną odpowiedź. Pierwsze pytanie dotyczyć będzie ustroju państwowego Rzeczypospolitej. Rozstrzygnięcie może, choć nie musi, przynieść referendum konstytucyjne. Drugie pytanie nie zostało jeszcze wyraźnie postawione, ale zostanie zadane może jeszcze w tym roku, a nie później niż podczas wyborów prezydenckich: jaki ma być ustrój gospodarczy, co zrobić z gospodarką Polski?

W roku 1989 padła odpowiedź negatywna: Polacy nie chcieli kontynuować PRL. Nikt nie pytał, czego chcieli. Nie zadając tego pytania, rządzący starali się odpowiedzieć na drodze faktów dokonanych. Nowe rozstrzygnięcia konstytucyjne zapadły zarówno wiosną i w końcu 1989 r. (nowelizacja konstytucji PRL), jak wiosną 1990 r. (samorządy) oraz jesienią 1992 r. (mała Konstytucja). Bez wątplenia stworzyły one kompletny ustrój państwa. Tyle, że zły, mało funkcjonalny, a przede wszystkim nie odpowiadający oczekiwaniom narodu. Ciągły, choć nie spektakularny i nie znajdujący głośniejszego odbicia w środkach przekazu napór społeczny domagający się prawdziwej konstytucji odczuwalny jest wyraźnie przez rządzących. To przesądziło, że w przyszłym roku Polacy zdecydują o przedłożonym im projekcie konstytucji.

W większym jeszcze stopniu na drodze faktów dokonanych rządzący pragnęli rozstrzygnąć o ustroju gospodarczym i losie naszego majątku narodowego. Samowolnie doprowadzili do zmian bardzo daleko idących, w wielu wypadkach nieodwracalnych lub trudno odwracalnych. Znaczna część własności państwowej przeszła w ręce prywatne, w tym obcego kapitału. Mając do wyboru wiele z możliwych modeli gospodarki rynkowej, arbitralnie wybrano społecznie najbardziej wątpliwy. Uwikłano gospodarkę polską w gęstą sieć powiązań i zależności międzynarodowych, korzystnych dla kręgów kompradorskich, lecz często szkodliwych dla rodzimej ekonomiki, hamujących transformację gospodarki i wstrzymujących jej rozwój. Obowiązki socjalne państwa ułożono według modelu typowego dla krajów

latynoskich, a nie dla zachodniej Europy. Wszystko to budzi sprzeciw społeczny. Obecnie ponad połowa Polaków wypowiada się negatywnie o prywatyzacji gospodarki, ale są to wyniki sondaży, zaś te nie mają mocy stanowiącej. Dojrzeła konieczność, aby o tych kwestiach wypowiedzieli się rozstrzygająco obywatele. Dobrze będzie, jeśli wiążąca odpowiedź padnie podczas nadchodzących wyborów prezydenckich czy parlamentarnych.

Ważne wydarzenia, zasadnicze decyzje - wszystko to będzie miało miejsce w kraju podzielonym politycznie i niespokojnym społecznie. Najważniejsze z tego, co nas czeka, może być bezpośrednie i rozstrzygające włączenie się społeczeństwa. Ludzie w większości mają już dość tego, co się dzieje - i zapewne dadzą temu wyraz. Masowe ruchy społeczne, wzbierające okresowo, są najważniejszym elementem czasu wielkich przemian. Taka fala nadchodzi. W tym miejscu chciałoby się napisać nowy rozdział: o charakterze nadchodzącego poruszenia społecznego, jego determinantach, czynnikach napędowych, możliwościach sterowniczych - ale lepiej będzie wstrzymać się i ograniczyć tylko do jednego: najbardziej prawdopodobnej formy masowego protestu.

Nadal prawie powszechnie panuje przekonanie, że najskuteczniejszą formą protestu jest strajk pracowniczy. Tak było w czasach PRL; przed strajkiem generalnym rząd komunistyczny - właściciel gospodarki i główny pracodawca - nie był w stanie się obronić. Zdolny był natomiast siłą łamać wszystkie inne wystąpienia publiczne, zwłaszcza demonstracje uliczne. O takie założenia oparłem koncepcję Rewolucji bez rewolucji (1979 r.) - i historia przyznała jej rację. Ale z wydarzeń ostatnich 15 lat rządzący potrafili wyciągnąć wnioski. Przebudowa systemu gospodarczego, inne zasady własnościowe oraz rozdzielenie ekonomiki i administracji spowodowały, że dzisiaj władze polityczne są dość nieczułe na masowe strajki, a ich koszty mogą przerzucić na społeczeństwo. Nie oznacza to, że tego rodzaju formy protestu przeżyły się całkowicie; nadal mogą być skuteczne, lecz nie w takim rozmiarze, jak kiedyś. Same, zwłaszcza strajki okupacyjne, okazują się z reguły niezbyt efektywne. Raczej należy je traktować jako działania dodatkowe, nawet tylko uzupełniające. Prowadzi to do zasadniczego zmniejszenia roli związków zawodowych jako organizatora protestu społecznego, zwłaszcza, że tracą one swe funkcje polityczne³².

Wprawdzie jak kiedyś, tak i teraz, masowe wystąpienia są o tyle skuteczne, o ile realizują trafną myśl polityczną. W ustroju totalitarnym, aby osiągać cele polityczne, należało je pozbawiać ewidentnego charakteru politycznego. W warunkach demokracji wręcz przeciwnie: masowe wystąpienia społeczne liczą się tym bardziej, im bardziej ich charakter i treść są polityczne. Dlatego w ostatnich latach rządy starały się każdy konflikt społeczny sprowadzić do poziomu sporu zbiorowego pomiędzy pracownikami a pracodawcą. To normalne, że takie spory występują; polityczne działania władz zmierzają do tego, aby konflikt społeczny, polityczny w swym wymiarze, zredukować do negocjacji o warunki pracy i płacy.

Główną formą zbiorowego protestu społecznego w warunkach demokracji jest demonstracja publiczna. Nie może ona być traktowana jako działanie izolowane. Zgromadzenie ludzi w jednym miejscu może być bardzo silnym narzędziem presji na władze, ale wysoką skuteczność uzyskuje się tylko wtedy, gdy jest to fragment szerzej

32 Jest to zjawisko normalne, wszędzie występujące; dlatego - na przykład - brytyjskie potężne Trade Unions musiały powołać Labour Party, która przejęła generalne funkcje kierownicze. Tak jest wszędzie w zachodniej Europie.

zakrojonego działania politycznego, w szczególności wspartego z wystąpieniami parlamentarnymi. Najbardziej efektywne są działania zintegrowane, rozłożone w czasie; ich apogeum powinna stanowić centralna i najbardziej masowa demonstracja, poprzedzona innymi demonstracjami, a także różnymi działaniami masowymi, również strajkami - i wzmocniona bezpośrednimi wystąpieniami politycznymi.

Oczywiście, demonstracje publiczne, podobnie jak strajki, nie są jedynymi możliwymi formami zbiorowych wystąpień. Ich gama jest względnie szeroka, a formy mogą okazać się zaskakujące.

W nadchodzącym okresie będziemy mieli do czynienia z dwoma głównymi niebezpieczeństwami. Ponieważ narasta potrzeba zasadniczych rozstrzygnięć, a przesądzić o nich może niezadowolenie społeczne - rządzący są w stanie stworzyć sytuację zawieszenia decyzji we wszystkich najistotniejszych kwestiach. Wystarczy wstrzymać się z przygotowaniem konstytucji, ułagodzić spory w elicie władzy, zgalwanizować stare czy po cichu wynegocjować nowe układy koalicyjne, zawrzeć porozumienie co do prezydentury, tak aby wybory przebiegły zgoła kameralnie - i na oczach społeczeństwa, ale bez jego udziału, ukształtuje się nowy stan rzeczy, wymagający co najwyżej późniejszej legalizacji. Tego rodzaju odejście od procedur demokratycznych, a przynajmniej ich ducha - wymaga kontrakcji nie tylko stanowczej, lecz organizującej sprzeciw społeczny. Jak go stymulować i poprowadzić - to inne zagadnienie.

Drugie niebezpieczeństwo ma inny charakter. Rządzący ciągle mają nadzieję, że uda się im rozstrzygnąć kwestie ustrojowe, prezydentury, ogólnie władzy - wcześniej, nim niezadowolenie i sprzeciw społeczny zdąży narosnąć. W następnej fazie naród ujmie się w ryzy. Tego rodzaju działania uprzedzające będą mieć charakter wielkiej manipulacji. Rozstrzygnięcia zapadać będą na różnych konwentykłach, a ludziom będzie wmawiać się, że to oni sami zadecydowali tak wspaniale. Słowem, powtórzy się manewry, stosowane od pięciu lat. Tyle tylko, że bardziej rozbudowane - i oparte na świadomych oszustwach. Tak na przykład można się obawiać, że tym razem na masową skalę będziemy mieć do czynienia z fałszerstwami wyborczymi. Generalnie spotkamy się z dążeniem, aby nafaszerować kłamstwami świadomość społeczną, opornych poprowadzić za fałszywymi bożkami, a tych, którzy się nie dadzą zwieść na manowce - odizolować, wyłączyć z gry. Tym razem stawką takiej manipulacji nie będzie zdobycie prezydentury czy większości parlamentarnej - lecz coś znacznie więcej: ponowne ujarzmienie Polaków.

Groźba jest tym większa, że poważna część społeczeństwa jest bierna i pogrąża się w apatii. Trudne warunki bytowania powodują, że ludzie przestają myśleć o kwestiach ogólniejszych. Niepowodzenia życiowe prowadzą często do marazmu. Możliwości szybkiego wzbogacenia się, otwierane przez aktywniejszymi jednostkami - kierują ich uwagę w innym kierunku. Świadoma społecznie mniejszość jest zmęczona - wszak rewolucja w Polsce trwa już blisko piętnaście lat.

Musimy nie tylko organizować gotowych do czynu i skupiać zrozpaczonych, ale tchnąć nowe życie w tę beziłę i apatię, gdzie tylko jest. Wola polityczna złamie marazm. Cynicznej socjotechnice skuteczniej można przeciwstawić prawdę, bo rozwiały się już złudzenia i przestają działać dawne mity. Siła - siłę, bo nie brakuje już jej w narodzie. Pieniądzom - bezinteresowność, bo tej nikt nie potrafi przekupić. Układom - strach, bo dzień sprawiedliwości nadchodzi.

Późno, ale nareszcie wkraczamy w czas ostatecznych rozstrzygnięć. Oczekiwany nie tylko u nas, w równej mierze przez naszych sąsiadów i przyjaciół. Pryskażą fikcje, łamią się pozorne stabilizacje.

Ziemia jeszcze nie drży. Ale zadrży.

4. Przesłanie

Piszę tę książkę z przerwami, od ostatnich dni lipca do końca października. Pointę dopisuje historia. Właśnie słyszę w radio, i dziennikarze dzwonią z pytaniami, co sądzę o aferze z odwołaniem wizyty rosyjskiego premiera Czernomyrdina w Warszawie z powodu jakiejś awantury na dworcu centralnym.

Odpowiedź mniejsza: Czernomyrdin i tak nie mógłby przyjechać do Warszawy, a ściślej mówiąc - wyjechać z Moskwy.

Rosja się wali, Większa Smuta przyspiesza swe tempo, a rozkład nowoczesnego państwa bardziej druzgocze całe życie kraju, niż było to możliwe w początkach XVII wieku. Dziesiątki milionów ludzi tracą podstawy egzystencji, toną we wszech ogarniającym chaosie i pogrążają w rozpacz. Nieudolne władze boją się zarówno wstrzymać ruinę starego systemu jak wprowadzać nowy. Ich los jest przesądzony. Ale bronią się. Czernomyrdin ledwo co obronił się przed dymisją, musi być na miejscu, pilnować spraw, ratować co się da. Polski pretekst pozwala mu pozostać, umacnia w obliczu opozycji, ułatwia rozgrywać bijatyki z różnymi Żyrynowskimi.

To nasza szansa.

Odpowiedź większa: w Polsce stworzono już warunki, pozwalające byle komu lekce sobie ważyć Rzeczpospolitą.

Proszę zastanowić się, czemu rosyjscy handlowcy nie odważyliby się wywołać podobnej burdy na dworcu w Paryżu, czemu premier moskiewski nie potraktowałby w uwłaczający sposób rządu fińskiego albo austriackiego? Jeśli sami nie potrafimy dbać o ład i dobre imię Rzeczypospolitej, czemu spodziewać się tego od innych? Popatrzmy wokół. Traktuje się Rzeczpospolitą jak dojną krowę dla siebie, złą macochę dla społeczeństwa, w mętnej wodzie ogólnego zamieszania łowi fortuny, deklaracje o państwie prawa wykorzystuje dla bezprawia, prywatnie góruje nad wszystkim. Oto ogłaszane są listy wysokich urzędników, pobierających podwójne wynagrodzenia, a jeden tylko minister potrafił podać się do dymisji. Najcięższe zarzuty moralne traktuje się jak żetony w politycznym pokerze, popiera ludzi, na których ma się haka, zwalcza uczciwych, bo tych nie ma czym zaszantażować. Wszyscy walczą z wszystkimi. Sejm walczy z Prezydentem, Prezydent z rządem, rząd sam z sobą i własną koalicją parlamentarną, ministrowie z ministrami - taką staje się polska rzecz powszechna i najzupełniej pospolita. Chęć osłonięcia się urzędem jest równie wielka, jak poniżenia przeciwnika - i nikogo nie obchodzi, gdy cierpi na tym autorytet Polski. Nie tak dawno można było oglądać w telewizji (wielokrotnie!), że Prezydenta RP na sejmowym spotkaniu, a Prezesa Rady Ministrów na konferencji prasowej potraktowano jak śmiecie - przy czym oni obaj i dali pretekst do tego, i nie potrafili obronić powagi urzędu. Skoro rządząca elita - ci stojący na czele kraju, reprezentujący państwo, naród, wyborców, współobywateli - sami nie potrafią bronić autorytetu Rzeczypospolitej, a podłą ją tylko, sprowadzając do poziomu skundlonego peerelu, czemu dziwić się, że jakiś Czernomyrdin również sobie pozwala. Na pochyle drzewo łysa koza skacze. Nie

tak dawno byliśmy - po raz kolejny, natchnieniem świata - nawet się bardzo nie namęczyli, aby Polskę zepchnąć z piedestału, poniżyć, wdeptywać w błoto.

Pyta mnie dziennikarz, co radziłbym rządowi, jak zareagować na despekt moskiewski. Nie mam nic do poradzenia. Trudno radzić srokom, aby zachowywały się jak orzeł. Gdyby zresztą posłuchały, dopiero znaleźlibyśmy się w kłopotcie.

W tej Polsce, którą już można pogardzać i bezkarnie obrażać - wszystko, co mogę powiedzieć, to: odejdźcie! Wy, którzy zbudowaliście demokrację koleżków, którzy dbacie tylko o własne fortuny i zaszczyty, którzy ludzi sprowadzacie do rzędu cyfr w roczniku statystycznym, a Rzeczpospolitą do rodzinnego folwarku - odejdźcie! Zarówno ci, którym brakuje rozumu i charakteru, jak ci, którym brakuje uczciwości. Głupcy i złodzieje, miernoty i zaprzańcy, czepiający się obcych klamek, sprzedający za nędzne pieniądze. Jak kraj mogą wyciągnąć z błota ci, których nie obchodzi los współobywateli, a pogardliwy śmiechem reagują na samo słowo Ojczyzna? Dość. Nowych potrzeba nam rządów. Takich, co istotę programu potrafią zmieścić w trzech słowach, z których tylko jedno jest ważne - przede wszystkim Polska.